

KS. DARIUSZ OKO I TOMASZ TERLIKOWSKI:

Miażdżymy aborcyjną okładkę „Wysokich Obcasów”



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 9/262 26 LUTEGO–4 MARCA 2018

**Zbigniew Ziobro kontra
Mateusz Morawiecki?
Teorie spiskowe w PiS**



**OD „CROWN”
DO „KORONY KRÓLÓW”
ILE KOSZTUJĄ
SERIALOWE
KREACJE**

**Słowiański katolicyzm
uratuje Kościół?**

ATAK NA POLSKĘ

**Jak powstrzymać
tę brutalną nawałnicę?**

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



9 772299 850000

Nakład: 96,5 tys. egzemplarzy

Wyznaczamy nowe standardy współpracy

- Profesjonalna wycena portfeli wierzytelności
- Skuteczne odzyskiwanie należności
- Kompetentna obsługa osób zadłużonych

www.getbacksa.pl



Zarządzanie
wierzytelnościami



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Tezy o wojnie

Dwa razy już pisałem na tych łamach o swoim pesymizmie dotyczącym przebiegu, nazwijmy to tak, propagandowej wojny polsko-izraelskiej. I napiszę to po raz trzeci, tym bardziej że z każdym dniem przybywa do tego argumentów.

Po pierwsze, trudno wygrać wojnę, jeśli nie jest jasno ustalony cel, do którego się dąży. Pierwotnie celem Polski miała być, jak rozumiem, ochrona dobrego imienia Polaków i przeciwdziałanie sytuacjom, w których przypisuje się narodowi polskiemu współudział w Holokauście. Tylko że w wersji, w jakiej ustawa została przyjęta, tego celu ona spełniać nie może, a to ze względu na niejasność sformułowań oraz na wykluczenie spod jej przepisów działalności artystycznej i naukowej. Czyli przypadki najbardziej chorej i głupiej antypolskiej propagandy, uprawianej choćby przez Jana Tomasza Grossa oraz Jana Grabowskiego, i tak pod ustawę nie podpadają.

Po drugie, nie uda się wygrać wojny, jeśli dowódcy armii nie rozumieją przeciwnika, nie są

Ogłaszając w ustawie karalność stwierdzenia o współsprawstwie narodu polskiego w Holokauście, Sejm uderzył w dogmat religii Holokaustu, który mówi o powszechnym współdziałaniu narodów Europy w zbrodni Hitlera. Mówiąc w Monachium o żydowskich sprawcach i wymieniając ich na równi z innymi, Mateusz Morawiecki uderzył w drugi dogmat, który głosi absolutną niewinność Żydów w czasie wojny. W obu tych przypadkach można bronić polskich polityków, twierdząc, że mówili prawdę. Owszem. Tylko że mówienie prawdy do zwycięstwa nie wystarcza. Uderzając frontalnie i otwarcie w dwa kluczowe elementy ideologii holokaustiańskiej, trzeba się było spodziewać wojny na śmierć i życie. Izrael i ogólnie środowiska żydowskie nie po to przez lata budowały wielką maszynę narracyjną (przepraszam za to zapożyczenie), aby teraz ktoś śmiał ją lekceważyć.

Po trzecie, co wprost wynika z tego, co wcześniej, nie wygrywa się wojny przy tak ogromnej dysproporcji sił. Po stronie, umownie to nazywając, żydowskiej jest opinia mediów, elit zachodnich, są pieniądze i wpływy różnych lobby. W każdym dużym państwie europejskim na uniwersytetach działają centra badań nad Zagładą, które są faktycznie ideologicznym zapleczem holokaustianizmu. Nie jest przypadkiem, że już w 17 państwach Unii obowiązują paragrafy skierowane przeciw tzw. kłamstwu oświęcimskiemu. Mówiąc brutalnie, Żydzi od kilkudziesięciu lat konsekwentnie, z ogromnym nakładem sił i zaangażowania, wbijali wszystkim do głów pamięć o swoich ofiarach. Uczynili z niej formę pamięci uniwersalnej dla złaicyzowanego Zachodu. Ile ośrodków uniwersyteckich bada zbrodnię na Polakach? Żaden. Jak wyglądają proporcje między medialnymi informacjami o nazistow-

skich zbrodniach wobec Żydów i Polaków? Według różnych badań wynoszą one mniej więcej 1000:1! Oznacza to, krótko mówiąc, że jeśli dochodzi do sporu Polski z Izraelem na temat historii, to światowa opinia publiczna z góry niejako zajmuje już stanowisko przeciwne Polsce. Spór Polski z Izraelem nie toczy się przed bezstronnym sędzią, ale przed publicznością stronną, ukształtowaną przez lata przez przekaz żydowski.

Po czwarte, trudno odnieść zwycięstwo w takiej wojnie o pamięć, jeśli w samej Polsce tak znacząca część mediów i klasy politycznej przyjmuje tak naprawdę wersję oponenta. Nie tylko na Zachodzie nie ma centrów badań nad polską martyrologią, nie ma ich też w Polsce. Są natomiast centra badań nad Zagładą, ośrodki utrzymywane z polskich pieniędzy publicznych, które pełnią dokładnie taką samą rolę nad Wisłą jak wszędzie, czyli krzewią rozwój religii Holokaustu. Dlatego w sytuacji konfliktu natychmiast w studiach telewizyjnych i radiowych pojawiają się profesorowie, którzy opowiadają o setkach tysięcy Żydów zamordowanych przez Polaków albo o przewagach pobytu w obozie koncentracyjnym nad zamieszkiwaniem wśród polskiej tłuszczy. Tymczasem w Izraelu, poza niewielkimi wyjątkami, wokół walki o pamięć gromadzą się wszyscy.

Jeśli już trzeba było iść na wojnę z takim oponentem, to należało: uprzedzać ruchy drugiej strony, wyznaczyć ograniczone cele, uniknąć frontalnego zderzenia, szukać przychylności opinii zewnętrznej, przygotować dobrze argumenty, zbudować opowieść o polskich cierpieniach, próbować dotrzeć z nią do zachodniej opinii publicznej, znaleźć po drugiej stronie, żydowskiej, sprzymierzeńców. I to w Izraelu, nie w Polsce.

Nic z tego się nie stało. ©

Jeśli już trzeba było iść na wojnę z takim przeciwnikiem, to należało m.in. uprzedzać ruchy drugiej strony

w stanie przewidzieć jego posunięć i reakcji. W ciągu ostatnich kilku tygodni polska strona była nieustannie zaskakiwana. Najpierw Polaków zaskoczyła reakcja ambasadora Izraela w Auschwitz, potem wypowiedzi premiera Beniamina Netanjahu, wreszcie fala oburzenia po słowach Mateusza Morawieckiego. Nie mogę tego zrozumieć. Nie wiem, jak można na poważnie twierdzić, że Polska była zaskoczona reakcją Izraela i że nikt się jej nie spodziewał, jak twierdzą teraz politycy PiS.

TEMAT TYGODNIA

20 WOJCIECH WYBRANOWSKI

REŻYSEROWANY KONFLIKT

Atak przed rocznicą Marca 1968?

23 MACIEJ PIECZYŃSKI

IZRAELSKI DZIENNIKARZ VS POLSKA

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

NIEPRZYJEMNE PRZEBUDZENIE

26 ROBERT BOGDAŃSKI

DANY BAHAR PATRZY NA POLSKĘ

KRAJ

28 ROZMOWA Z GEORGE'EM FRIEDMANEM

POLSKA WKACZA DO GRONA ROZGRYWAJĄCYCH

– Świat zaczął się wam bacznie przyglądać
– mówi amerykański politolog i jeden z najbardziej znanych na świecie analityków geopolitycznych

32 KAMILA BARANOWSKA

WSZĘDZIE SPISEK

34 MACIEJ PIECZYŃSKI

WOJNA O DOBRE IMIĘ ZBRODNIARZY

36 ROZMOWA Z KS. DARIUSZEM OKO

GENDERYŚCI CHCĄ PODBIĆ POLSKĘ

40 TOMASZ P. TERLIKOWSKI

ABORCYJNA STRATEGIA



KULTURA

42 PIOTR GOCIEK

CZARNA UTOPIA

„Czarna Pantera” będzie jedną z najbardziej kasowych produkcji w dziejach Hollywood?

44 ANDRZEJ HORUBAŁA

CIAŁA

46 JOANNA BOJAŃCZYK

MODA IDZIE ZA SERIALEM

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 KS. ANDRZEJ KOBYLIŃSKI

DECENTRALIZACJA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO

Czym jest decentralizacja? Jak rozumieć katolicyzm słowiański? Czy nie grozi nam schizma?



56 BRONISŁAW ŚWIDERSKI

LIST OTWARTY: OBCY W DOMU. WOKÓŁ MARCA '68

58 ŁUKASZ WARZECHA

POLITICAL FICTION 2018

HISTORIA

60 PIOTR ZYCHOWICZ

WYKŁĘCI MIĘDZY CZERNIĄ A BIELĄ

63 TADEUSZ PŁUŻAŃSKI

NIE NISZCZYMY ZWYCIĘSTWA

ŚWIAT

68 TOMASZ TELUK

WSPÓŁCZESNY DAWID CZY GOLIAT?

Izraelski premier Benjamin Netanjahu

70 OLIVIER BAULT

PRAWDZIWA RUSSIANGATE

74 PIOTR SEMKA

KANCLERSTWO ZA KAŻDĄ CENĘ

EKONOMIA

76 ROZMOWA Z FRANKIEM SCHÄFFLEREM

EURO MIAŁO ŁĄCZYĆ EUROPE. A RACZEJ JĄ DZIĘLI

Posel FDP do Bundestagu o swobodzie w Unii

80 JAN PIENIAŻEK

NAJWAŻNIEJSZE STOPY NA RYNKU

SPORT

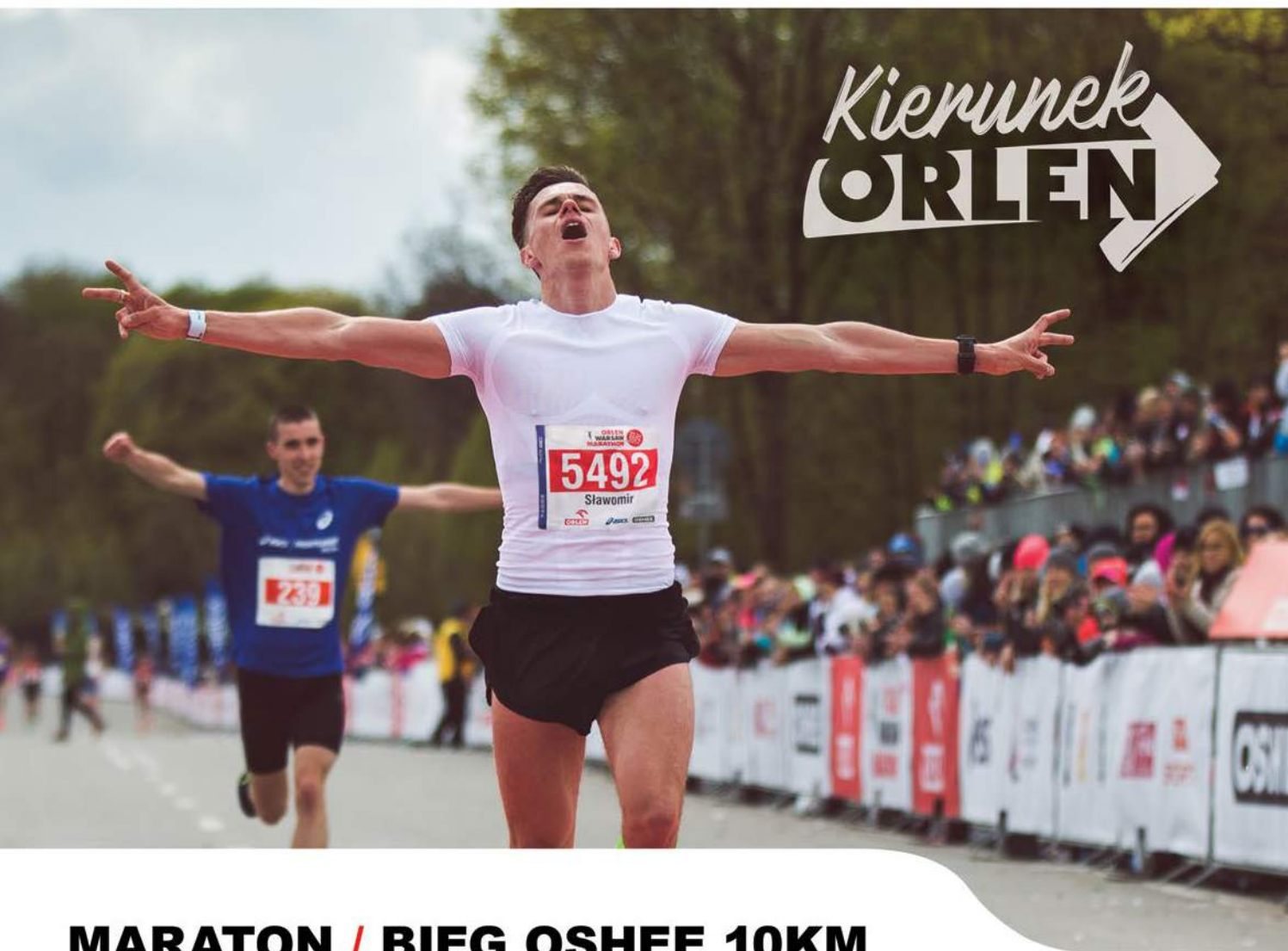
86 DODATEK: SKOKI NARCIARSKIE



22.04
2018

 **ORLEN
WARSAW
MARATHON**
NARODOWE ŚWIĘTO BIEGANIA

Kierunek
ORLEN 



MARATON / BIEG OSHEE 10KM

BIEGANIE to dla Ciebie więcej niż sport?

Kierunek jest jeden...



ORLEN

ZAPRASZA

PARTNERZY GŁÓWNI

PATRONAT HONOROWY



eprasa.pl 93d7036a9c

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu: o powrotach z emigracji oraz kryzysie związanym z nowelizacją ustawy o IPN.

Dlaczego nie wracają?

Ostatnie miesiące upływają pod znakiem gospodarczego rozkwitu. [...] Dlaczego zatem nie widać choćby dziesiątek tysięcy Polaków powracających z emigracji? Polski jest wciąż najczystszy językiem obcym słyszany od Dover po Inverness. Przyczyn, trywializując, jest wiele, tak jak wiele było powodów do wyjazdu. [...] Spójrzmy na problem z perspektywy autora tekstu, czyli byłego emigranta z brytyjskim paszportem, próbującego na nowo ułożyć sobie życie w kraju nad Wisłą.

Dlaczego zatem nie wracają? Pierwszy powód jest oczywisty, to pieniądze. [...] Na emigracji wciąż można zarobić dużo więcej, ale jeżeli sprawdzimy koszty życia na Zachodzie i porównamy z krajem, bilans finansowy nie jest już taki oczywisty. Szukajmy zatem dalej.

Drugi to jakość codzienności nad Wisłą: wszechobecna agresja w tramwaju i kolejce w supermarkecie, kierowcy, którym cztery kółka na lokalnej szosie pomyliły się z czwórką w galopie, a także wszędobylskie słowa na „k” i „ch”.

Trzeci powód, który należy łączyć z drugim, to jakość usług, gdzie nie chodzi wcale o urzędników, bo ci zaczęli się nawet uśmiechać i nie traktują już petentów niczym wrogów, ale o zorganizowany system utrudniania życia na każdym etapie. [...]

Czwarty i piąty powód nielicznych powrotów to marny poziom szkolnictwa (zwłaszcza uczelni wyższych) i licha publiczna służba zdrowia. [...]

Przyczyn, dla których nie wracają, jest pewnie więcej i każdy emigrant mógłby

wskazać swoje własne. Niestety często się także zdarza, że nawet jeżeli już powrócił, to po pewnym czasie ponownie pakuje walizki, a czasami, jak autor artykułu, udaje się na emigrację wewnętrzną i czeka, albo walczy o swoją szansę na normalność.

Wojciech Walczuk

Wojna o prestiż

Jestem pod wielkim wrażeniem artykułu Tomasza Kwaśnickiego i trafności diagnozy polityki dyplomatycznej polskiego rządu w związku z kryzysem wywołanym nowelizacją ustawy o IPN, w konsekwencji czego Polska stała się przedmiotem bezpardono-nych ataków ze strony polityków Izraela („Do Rzeczy” 8/2018). Polska dyplomacja „z podkulonym ogonem” przyjęła strategię przeczekania nawałnicy fake newsów obrażających nasz naród, zachowując się jak państwo wasalne [...]. Polacy to dumny naród, który oczekuje szacunku, nie zaś ustawicznego pouczenia i stawiania nas do kąta w imię politycznych i ekonomicznych interesów innych państw.

Witold Kędziński, Rzeszów

KONDOLENCJE

Danucie Dunin-Holeckiej

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci



Taty

składają przyjaciele
z „Do Rzeczy”

KONDOLENCJE

Naszej przyjaciółce

Danucie Dunin-Holeckiej

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci



Ojca

składają koleżanki i koledzy

z redakcji „Wiadomości” Telewizji Polskiej



ADRES: Tygodnik DO RZECZY

Batony Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**

I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

Zastępca redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

ZESPÓŁEM:

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),

Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Woitas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Godek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłowski,

Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiński

Stali współpracownicy i korespondenci:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk,

Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenciewicz, Wiesław Chelminiak,

Dominika Cioś (Bruksela), Krzysztof Czabański, Roman Graczyk,

Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper,

Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenczowski, Ewa Łosińska,

Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel,

Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński,

Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski,

Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński,

Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski,

Błażej Torzański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzynski,

Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski,

Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)

z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska,**

Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac,

Mateusz Maranowski (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**

Współpracuje: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia),

Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),

Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska,**

Mazena Dobosz, Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**

Okładka: **FOTOLIA; opr. graf. Sunday**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batony Office Building II

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy

Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Logo PMPG POLSKIE MEDIA SA

Logo GPW

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP

Logo TVP



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl, tel. 503 016 998

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 96,5 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż

cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi

odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można

składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów

niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji

tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa

autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie

materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za

zgoda wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych

na www.dorzeczy.pl/regulamin/



Wyrok: Polska w smogu

Trybunał Sprawiedliwości uznał, że w Polsce przez osiem lat (2007–2015), czyli w okresie rządów Platformy Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego, naruszane były unijne normy czystości powietrza. Skargę na zanieczyszczone powietrze w naszym kraju i brak działań ze strony rządu do Trybunału w 2016 r. złożyła Komisja Europejska. Wskazywała, że co najmniej przez pięć lat dobowe wartości pyłu zawieszonego PM10 były przekraczane w 35 z 46 stref, w których dokonywano pomiarów jakości powietrza.

Co oznacza wyrok w sprawie smogu? Jeśli Polska nie podejmie działań w sprawie poprawy jakości powietrza, Komisja Europejska będzie mogła wnioskować o nałożenie na nasz kraj kar. Według Najwyższej Izby Kontroli kara finansowa może sięgnąć nawet 4 mld zł.

Rząd Prawa i Sprawiedliwości do tej pory uregulował rynek pieców. Od jesie-



ni nie można sprzedawać nowych pieców, w których możliwe było opalanie wszystkim, także śmieciami. Kolejnym etapem miało być zakazanie sprzedaży węgla najgorszej jakości. Jednak do tej pory takich zakazów dla kopalni nie wcielono w życie. ©© **Łukasz Zboralski**

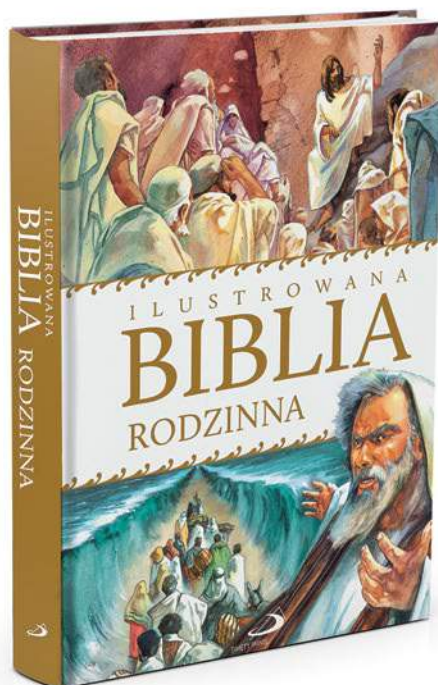
CELEBRYCI Z NOTESU DILERA

Proces aresztowanego w 2016 r. Cezarego P., zwanego dilerem gwiazd, trwa. Teraz kłopoty mogą mieć jego klienci, wśród których są ludzie z pierwszych stron gazet. „Prokuratura nie odpuści 200 celebrytom, którzy kupowali narkotyki od sławnego diler Cezarego P. Będzie chciała postawić im zarzuty. Wszczęła postępowanie dotyczące posiadania przez jego klientów kokainy. Są to znani aktorzy, menedżerowie ze świata show-biznesu” – napisał w piątek na Twitterze dziennikarz Radia Zet Mariusz Gierszewski.

Cezary P. został zatrzymany w kwietniu 2016 r. Miał wtedy przy sobie ponad 400 działek kokainy. Diler obsługiwał osoby ze świata show-biznesu. Od czasu jego zatrzymania do mediów zaczęły wyciekać nazwiska klientów, wśród nich aktorów, muzyków, menedżerów i stylistów gwiazd. Diler miał wierną klientelę. W ubiegłym roku „Super Express” ujawnił, że jeden z aktorów w latach 2015–2016 kontaktował się z nim ponad 20 razy.

Według prokuratury na liście klientów diler widnieje 237 nazwisk. Cezary P. miał wzbogacić się dzięki nim o ok. 1 mln zł. Mężczyzna skrzętnie notował kontakty do celebrytów, którym dostarczał kokainę. ©© **(raw)**

REKLAMA



BIBLIA, KTÓRA JEST DOSKONAŁYM PREZENTEM DLA CIEBIE I TWOJEJ RODZINY!

- ponad 100 najważniejszych historii z Biblii
- ciekawostki historyczne i archeologiczne
- fotografie, mapy i wykresy,
- a wszystko to ilustrowane pięknymi akwarelami



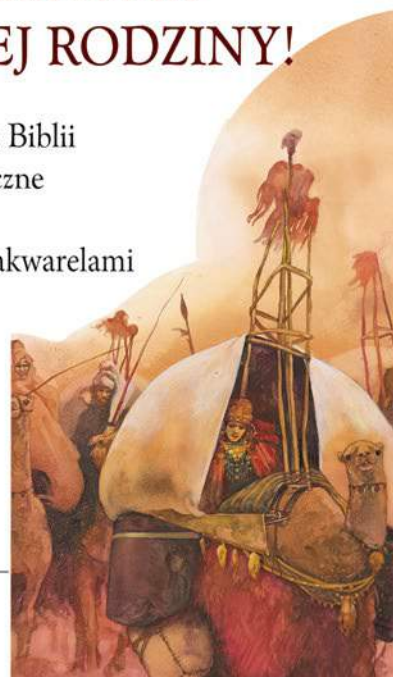
Hezkiel
Hezkiel, prorok, otrzymał od Boga zadanie, aby głosił Jego słowa do ludu Izraela, który był w niewoli w Babilonie. Hezkiel miał być dla nich głosem Boga i przeka-
zać im Jego słowa.



Saba
Saba, królowa, odwiedziła Salomona, króla Izraela, z wieloma skarbami i darami. Salomon, mądry król, otrzymał od Boga mądrość i bogactwo. Saba, królowa, była zafascynowana mądrością Salomona i jego bogactwami.

KRÓLOWA SABY USŁYSZAŁA O SALOMONIE I O TYM, CO UCZYNIŁ DLA IMIENIA PANA. PRZYBYŁA ZATEM, ABY WYSTĄPIĆ GO NA PROBIE, ZADAJĄC MU TRUDNE PYTANIA. PRZYBYŁA DO JERUZALIMU Z WIELKIM I WSPANIAŁYM ORSZAKIEM, Z WIELBUDAMI NIOSĄCYMI WONNOŚCI. OGROMNE IŁOŚCI ZŁOTA I DROGOCENNYCH KAMIENI. PO PRZEBYCIU DO SALOMONA ROZMAWIAŁA Z NIM O WSZYSTKIM, CO GŁĘBOKO JĄ NURTOWAŁO.

(Przeczytaj Księgę Królewską 10, 1-2)



KUP NA **WWW.EDYCJA.PL** I W KSIĘGARNIACH FIRMOWYCH
Częstochowa, ul. 7 Kamienic 23; Katowice, ul. 3 Maja 18
Kielce, ul. Sienkiewicza 61; Lublin, ul. Królewska 6; Wrocław, ul. Piaskowa 3

Londyn 20 II 2018 r.

Wielce Szanowny Panie
Premierze!

Jako dwaj współlaureaci ostatniego konkursu MSZ na najlepszą książkę promującą polską historię pozwalamy sobie napisać do Pana, by wyrazić nasze głębokie zaniepokojenie szkodami, jakie wizerunek Polski ponosi w związku z nowelizacją Ustawy o IPN, podpisaną przez prezydenta Andrzeja Dudę. Piszemy ten list bezpośrednio po niezwykle ożywionej i szczerzej dyskusji Forum Belwederskiego w Londynie, gdzie nowelizacja Ustawy o IPN była jednym z głównych tematów.

Musimy podkreślić, że całkowicie rozumiemy przyczyny, dla których rząd podjął działania w tej sprawie. Obaj poświęciliśmy wiele lat naszej pracy zawodowej jako historycy, starając się promować wiedzę o dziejach Polski, tak w samej Polsce, jak i poza jej granicami, a także podważać, utrwalone niestety, szkodliwe stereotypy na temat tych dziejów. W pełni doceniamy ból, odczuwany w Polsce przez tych, którzy spotykają się z oskarżeniem Polski i Polaków o odpowiedzialność za Holocaust. Profesor Frost zaangażował się osobiście w polemikę z czołowymi dziennikarzami brytyjskimi, podważając używane przez nich pojęcie „polskie obozy zagłady”. Obaj z całego serca wspieramy kampanię, która

List otwarty

Do Pana Mateusza Morawieckiego Premiera Rzeczypospolitej Polskiej

ma zwalczyć tę nieuzasadnioną kalumnię. Zaznajomiliśmy się z treścią nowelizacji ustawy, jak też z listem marszałka Karczewskiego, wyjaśniającym jej intencje. Rozumiemy, że nie jest intencją ustawodawcy jej zastosowanie do działań artystycznych ani do badań historycznych. Z uznaniem przyjmujemy także wyrażone w liście marszałka Karczewskiego stwierdzenie historycznej prawdy, że nie wszyscy Polacy zachowali się dobrze w czasie II wojny.

Mimo to uważamy, że prawo w ogóle, a w szczególności ta nowelizacja, nie jest najlepszym sposobem postępowania w tej sprawie, a także że uchwalenie nowelizacji okazało się już faktycznie przeciwskuteczne, pobudzając wrogi wobec Polski wystąpienia za granicą. Wiemy, że również Pana Premiera dotknęły osobiste ataki w związku z Pana wypowiedziami w sprawie nowelizacji. Pozwalamy sobie dlatego napisać do Pana Premiera – także jako do kolegi historyka. Wprowadzanie prawnych ograniczeń do rozważań o przeszłości, niezależnie od tego, że wiele innych

krajów takie ograniczenia już wprowadziło, wydaje nam się – jako historykom właśnie – niemądre i w swych konsekwencjach niebezpieczne. Przeszłość może i powinna być obiektem badań, a nie decyzji podejmowanych przez prawników. Temida postawiona nad Klio – to zły pomysł.

To, że Holocaust został wymyślony, zaplanowany i zrealizowany przez Rzeszę Niemiecką, jest historyczną prawdą. Kwestia zachowania w czasie II wojny indywidualnych Polaków wobec Żydów, zarówno obywateli Polski, jak i tych spoza Polski, jest odrębną sprawą. Często raczej przez ignorancję niż przez świadomą manipulację miesza się te dwie kwestie. Uważamy, że jedyną efektywną drogą walki z tą ignorancją są badania i edukacja, a nie prawne regulacje. Badania muszą być prowadzone po to, żeby dochodzić do prawdy. Niekiedy prawda może być niewygodna. Z niewygodnymi prawdami trzeba się mierzyć i studiować je w uczciwy sposób. Najlepiej, aby takie badania opierały się na współpracy, w której polscy, żydowscy, a nawet niemieccy historycy mogliby łączyć swoje

naukowe wysiłki. W istocie Polska ma wspaniałą tradycję prowadzenia takich badań w ostatnich latach: choćby muzeum Polin w Warszawie może być znakomitym przykładem, jak owe skomplikowane kwestie mogą być prezentowane z odpowiednią wrażliwością i zarazem w naukowy sposób.

Ignorancja w dziedzinie polskiej historii musi być eliminowana. Wymaga to zainwestowania w badania historyczne, podejmowane przez właściwie wykształconych, obiektywnych, zawodowych badaczy, a nie wznoszenia prawnych barier. Badania te nie mogą zmierzać do zamazywania złych czynów dokonanych przez niektórych Polaków w czasie wojny, ale powinny otwierać dyskusje nad nimi na kontekst wyjątkowego reżimu terroru, jaki Rzesza Niemiecka ustanowiła w okupowanej Polsce.

Zdecydowana większość historyków i polityków, tak Polaków, jak i przyjaciół Polski obecnych na spotkaniu Forum Belwederskiego, wypowiedała się krytycznie na temat konsekwencji wprowadzonej nowelizacji Ustawy o IPN. Nie jest za późno, by sprawę tej nowelizacji przemyśleć jeszcze raz. Prosimy Pana Premiera o wsparcie tej delikatnej misji.

Z poważaniem
profesor Andrzej Nowak
UJ, IH PAN

Profesor Robert Frost FBA, FRHistS
Burnett Fletcher Chair in History,
University of Aberdeen

FORTUNA KULCZYKÓW TOPNIEJE

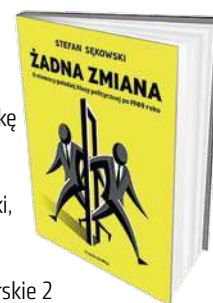
W opublikowanym w ubiegłym tygodniu rankingu „Forbesa” 100 najbogatszych Polaków Dominika i Sebastian Kulczykwie zachowali pierwsze miejsce z fortuną odziedziczoną po zmarłym ojcu, ale ich majątek topnieje. „Forbes” wycenił rodzeństwo na 13,898 mld zł. To zawrotna ilość, jednak

w ubiegłorocznym rankingu spadkobiercy Jana Kulczyka mieli majątek szacowany na 14,3 mld zł, a w edycji z 2016 r. na 15,9 mld zł. Pismo zauważa, że najważniejszymi aktywami Kulczyków – Ciechem i Autostradą Wielkopolską – interesuje się prokuratura. © (raw)

ŻADNA ZMIANA?

Zapraszamy na spotkania autorskie promujące książkę Stefana Sękowskiego „Żadna zmiana. O niemocy polskiej klasy politycznej po 1989 roku”.

- **27 lutego**, godz. 18:00, Kraków, Klub Jagielloński, Pałac Sipiński, Rynek Główny 34
- **28 lutego**, godz. 18:00, Wrocław, księgarnia-kawiarnia Tajne Komplet, ul. Przejście Garncarskie 2
- **7 marca**, godz. 17:30, Rzeszów, herbarciarnia Królestwo Bez Kresu, ul. Piłsudskiego 8



Rozmowa z Piotrem Szlachtowiczem, organizatorem spotkania z Rafałem A. Ziemkiewiczem w Londynie

MACIEJ PIECZYŃSKI: Jak duże były naciski na pana, by odwołać spotkanie z Rafałem A. Ziemkiewiczem?

PIOTR SZLACHTOWICZ: Zaprośmy pana Ziemkiewicza po niewątpliwym sukcesie targów książki, które odbyły się w Polskim Klubie w Slough, niedaleko Londynu, w listopadzie ubiegłego roku. Okazało się, że wśród brytyjskiej Polonii jest zapotrzebowanie na spotkania z prawicowymi publicystami. Zaplanowaliśmy cztery spotkania z Rafałem A. Ziemkiewiczem, miał przyjechać również Wojciech Sumliński. Jakies dwa-trzy tygodnie przed ich przyjazdem zaczęła się robić bardzo dziwna atmosfera wokół tych spotkań. Nam, jako organizatorom, zaczęły wygrażać jakieś organizacje zrzeszające mieszkańców na Wyspach Polaków o lewicowych poglądach. Atakowano publicznie pana Rafała jako islamofoba, rasistę, faszystę... Rozpętała się burza w mediach społecznościowych. Publikowano tweety po polsku i po angielsku, umieszczone w Internecie materiały promujące spotkania zostały zasypane oczerniającymi nas i naszych gości komentarzami. Większość tych ataków przeprowadzono z facebookowego i twitterowego konta Nie-patrioci.uk. Jestem w trakcie ustalania tożsamości administratora, ponieważ chcę wytoczyć sprawę o zniesławienie mnie oraz moich współpracowników z Polski Niepodległej. Zostaliśmy nazwani faszystami, rasistami, nazistami... Słowem, obrzucono nas chyba wszelkimi możliwymi obelgami, jakich kiedykolwiek użyto przeciwko ludziom, których serce bije po prawej stronie i którzy konsekwentnie trzymają się swoich poglądów.



Na Wyspach robią z Polaków faszystów

POL STANISŁAW KUSIAK/STEWART NEWS

Rupa Huq, posłanka Partii Pracy, tylko włączyła się w całą akcję, nadając jej większy rozgłos. Zaczęła retweetować wszystkie negatywne komentarze na temat naszej inicjatywy. W zdecydowany sposób demonstrowała swoją niechęć do Rafała A. Ziemkiewicza, choć wątpliwe, by kiedykolwiek miała okazję zapoznać się z jego twórczością.

Zaczęły się konkretne problemy ze znalezieniem miejsca spotkań...

Najpierw próbowaliśmy wynająć salę w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym w Londynie. Wybór padł na restaurację Łowiczanka. Wcześniej odbywały się tam różne spotkania i nigdy nie było żadnego problemu. Jednak, ku mojemu zdziwieniu, właściciel początkowo zgodził się na wynajem, po czym uległ presji i swoją decyzję odwołał. Musieliśmy szukać nowego miejsca. Znaleźliśmy lokal, jak się okazało, na terenie okręgu wyborczego Rupa Huq. To ją rozżłościło. Ta

neokomunistka zaczęła zabiegać w mediach o zablokowanie wydarzenia. Rozpętała się prawdziwa nagonka. Do lokalu przyszli policjanci i postraszyli właścicieli, że jeżeli przyjmą u siebie Ziemkiewicza, to stracą licencję.

Stwierdził pan, że „w Wielkiej Brytanii każdy, kto ma jakiś emblemat patriotyczny, jest od razu klasyfikowany jako rasista i ksenofob”...

Tak, Polacy są atakowani za noszenie koszulek z żołnierskimi wyklętymi czy z symbolem Polski Walczącej. Trzeba jednak pamiętać, że wszystko zaczęło się od Polaków właśnie – tych Polaków, którzy nienawidzą polskości, nienawidzą naszej wspaniałej historii.

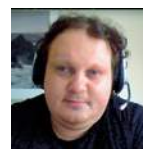
Rafał A. Ziemkiewicz, komentując całą aferę, wyraził solidarność dla „wszystkich rodaków, których los zmusza do życia w faszystowskim, rasistowskim kraju”, jakim jest Wielka Brytania. Zgadza się pan z taką diagnozą sytuacji na Wyspach?

Niestety, ale muszę przyznać panu Ziemkiewiczowi rację. Ta kampania oszczerstw w mediach, szczególnie tych lewackich, jak „Guardian”, nie mieści się w głowie. Jeśli z centroprawicowego publicysty robi się faszystę, to można to samo zrobić właściwie z każdym Polakiem, który nie wstydi się swojego pochodzenia. W Wielkiej Brytanii władzę totalną sprawuje dziś ideologia marksistowska pod postacią poprawności politycznej. Nie ukrywajmy tego. Wystarczy, że ktoś wyraża konserwatywne poglądy albo zwyczajnie utożsamia się ze swoim krajem w sposób otwarty, prezentując dumę ze swojego pochodzenia, a już zostaje mu przyklejona etykieta homofoba, faszysty albo islamofoba.

Paradoksalnie awantura wokół spotkania z Ziemkiewiczem pokazała sojusz islamu i lewicy.

Właśnie. Co istotne, wszyscy wysoko postawieni politycy brytyjscy wyznania islamskiego są członkami Partii Pracy. Cała ta historia nie byłaby tak rozdmuchana, gdyby nie wewnętrzne problemy brytyjskiej lewicy. Lider Partii Pracy, Jeremy Corbyn, został oskarżony o to, że był szpiegiem czesochłowackiej bezpieki w czasach komunizmu. Moja teoria jest taka, że atak na polską prawicę to tak naprawdę próba odwrócenia uwagi od afery z Corbynem. © ©

rozmawiał Maciej Pieczyński



Piotr Szlachtowicz jest redaktorem naczelnym portalu Nowy Polski Show, adresowanego do Polaków mieszkających w Wielkiej Brytanii, korespondentem telewizji wRealu24.pl, prawnym publicystą.



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Walizka (nie)szcęścia

Dlaczego prezydent Gdańska, pieszczoł PO Paweł Adamowicz, postanowił rzucić wyzwanie swojej macierzystej partii? Dość wiarygodnie brzmi opis sporu prezydenta grodu nad Motławą z lokalną Platformą opublikowany w gdańskiej „Gazecie Wyborczej”. „Przed sądem toczy się proces Pawła Adamowicza dotyczący nieprawdziwych informacji w jego oświadczeniach majątkowych [...] w latach 2010–2012. Nie ujawnił wszystkich posiadanych mieszkań (zabrakło dwóch) i części oszczędności (od 50 do 300 tys. zł)”. Wezwana przed oblicze sądu urzędnicza urzędu skarbowego opowiedziała, jak kilka lat temu zajmowała się sprawą deklarowanych przez żonę prezydenta Gdańska – Magdalenę Adamowicz – darowizn ze strony jej dziadków dla jej i Pawła Adamowicza dzieci. „Opisywała, że chodziło o kwotę ok. 500 tys. zł”.

Według „GW”: „Adamowicz miał się tłumaczyć, że dziadkowie mieli dysponować tak wielką kwotą, bo babcia była krawcową »dla elity«. Z kolei dziadek »przy-

wiół walizkę pieniędzy, wracając z Niemiec z robót, gdzie u jakiegoś bauera pracował«”.

Opowieść o walizce pieniędzy i złotym funduszu dziadków okazała się zbyt trudna do przełknięcia nawet dla gdańskiej Platformy, która widziała już niejedno.

„Byliśmy zszokowani tymi zeznaniami. Co jeszcze może wyjść?” – taką opinię ważnej osoby z pomorskiej Platformy cytuje gdańska „GW”. Inny polityk PO mówi „Wyborczej”: „Odkładaliśmy decyzję ws. kandydata na prośbę samego Adamowicza. Liczył na to, że sprawa jego oświadczeń majątkowych zostanie zamknięta jeszcze w grudniu, ale ona wtedy wybuchła na nowo”.

Na samym szczycie PO miała zapaść decyzja o odsunięciu Adamowicza na bok, ale nie bez stosownej nagrody pocieszenia. Jak pisze „Wyborcza”: „Paweł Adamowicz dostał od Grzegorza Schetyny ofertę: biorące miejsce na liście PO do Sejmu, Senatu albo europarlamentu”. Adamowicz odmówił. Dlaczego? Nietrudno zgadnąć.

Jak sądzę, prezydent Gdańska wie, że start w kampanii utrudni

prokuratorowi decyzję o wniosku o areszt w razie uprawdopodobnienia się zarzutów o korupcję. Gospodarz grodu nad Motławą już ogłasza, że jest gotów prowadzić kampanię z aresztu. Ponadto Adamowicz mógł przestraszyć się, że zanim doczeka wyborów do europarlamentu, szybciej może trafić za kratki. Czy wtedy gdańska PO nie uznałaby, że może złamać słowo i odwrócić się plecami do niegdyśszego ulubieńca?

Teraz gdańska PO jest w panice. Wystawić Jarosława Wałęsę przeciw Adamowiczowi? Oznaczać to może podział głosów, który może otworzyć pole dla kandydata PiS. A wsparcie „Budynia” to wystawienie się na wyjście na sztych ewentualnych kolejnych sensacji.

No i zakotłowało się. Lech Wałęsa jako patriarcha „anty-PiS” wezwał Adamowicza do posłuszeństwa i wycofania się. Grzegorz Schetyna zapowiada, że PO wystawi własnego kandydata w Gdańsku przeciw Adamowiczowi.

Nie dziwię się, że Jan Rulewski ma zmartwioną minę. ©©

JAKA BĘDZIE PRZYSZŁOŚĆ UE?

W Brukseli w ubiegłym tygodniu spotkali się szefowie państw i rządów 27 krajów Unii Europejskiej (bez udziału Wielkiej Brytanii). Polskę reprezentował premier Mateusz Morawiecki. Politycy rozmawiali o tym, jaka ma być przyszłość UE. Omawiano wysokość składek do unijnego budżetu i jego konstrukcję po roku 2020. Tuż przed szczytem komisarz UE Guenther Oettinger w wywiadzie dla prasy ostrzegł Polskę i Węgry, że KE chce uzależnić programy inwestycyjne od przestrzegania praworządności. (luz) ©©



FOT. MARCIN OSARA/PAP

Wakacje
przez
cały
Marzec
do 20%
taniej





RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Odgłosy spod progu

Wapogeum emocji wielkiej wojny na miny, toczonej ze środowiskami żydowskimi o ustawę symbolicznie penalizującą fałszowanie historii, partia Nowoczesna postanowiła odwołać się do problemów, którymi realnie żyje społeczeństwo. Wystąpiła mianowicie z projektami ustaw legalizujących „związki partnerskie” oraz przeciwdziałają-

rodziny, jak np. prawa spadkowe czy możliwość występowania jako osoba bliska w procedurach szpitalnych, przywrócić instytucję legalnego konkubinatu jako niższego rangą małżeństwa, znaną z wczesnośredniowiecznego prawa salickiego i zarzuconą w Europie tysiąc lat temu. Miałem kiedyś okazję spytać działaczkę lewicy, że mniejsza już o społeczne szkody, ale czy w ogóle zdają sobie sprawę, jakiego by to narobiło, pardon my French, bardaku w prawie cywilnym – odpowiedziała, że robili sondaże i par homo nikt nie popiera, a takim niby-małżeństwem bez zobowiązań część młodych hetero byłaby zainteresowana. Więcej pytań nie miałem.

Mniej ludzi wie, co to „przemoc ekonomiczna”. Otóż to taka sytuacja, gdy mąż ma więcej pieniędzy niż żona i nie chce jej dać tyle, ile ona chce. Za takie wydzielanie kasy Nowoczesna proponuje trzy

lata więzienia (czy ma iść siedzieć także kobieta, która nie chce utrzymywać faceta, nie jest jasne). To świetnie współgra z podchwyceniem przez Nowoczesną aborcyjnego projektu lewicy pozaparlamentarnej i ponownego zgłoszenia go już jako swojego. Przypomnę, że według zapisu tego projektu Michalina Wiśłocka za swoją „Sztukę kochania” dostałaby także trzy lata więzienia (coś kochają lewicowi miłośnicy wolności tę trójkę).

Polityczna ofensywa .Nowoczesnej doskonale wstrzeliła się w medialną ofensywę „Wysokich Obcasów”, głoszących, że „aborcja jest OK”. Co prawda, od tak zidiociałego feminizmu odcięła się już nawet macierzysta gazeta wydająca ten dodatek, ale prezes Lubnauer najwyraźniej widzi tu możliwość zdobycia elektoratu, który pozwoli jej powrócić ponad próg wyborczy, pod który jej partia nurkuje w kolejnych sondażach. ©©

Czy ma iść siedzieć także kobieta, która nie chce utrzymywać faceta, nie jest jasne

jących „przemocy ekonomicznej” w rodzinie. Co to są „związki partnerskie”, po latach młócenia tematu w lewicowej publicystyce mniej więcej wiadomo – chodzi o to, by pod pretekstem umożliwienia parom homoseksualnym realizacji praw przysługujących członkom



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

To nie byli kolaboranci

Miałem często śledztwo w nocy. Przymuszano mnie, ażebym zeznawał o współpracy z Niemcami. – Jakaście mieli kontakty z Niemcami? – pyta ubek. – No miałem kontakty za pomocą – powiadam – czasami bliższe, czasami dalsze, ale moje rozmowy to były tylko za pomocą ołowiu z karabinu”.

Oj, przypomniła mi się ta rozmowa mojego dziadka „Kreta” z jego dowódcą Leonardem Zubem-Zdanowiczem „Zębem”, później jednym z dowódców Brygady Świętokrzyskiej, po tym jak Adrian Zandberg oskarżył premiera Mateusza Morawiec-

kiego o to, że składając kwiaty na grobach żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej, uprawia: „kult jednostki, która współpracowała z Gestapo”. Natychmiast przyszedł mu też w sukurs Jarosław Kurski, wiceszef „GW”, nazywając BŚ „polskimi kolaborantami III Rzeszy”.

Można powiedzieć: nihil novi – wszak prowadzona od pewnego czasu przez te mocno lewicujące środowiska akcja pomawiania BŚ o współpracę z Niemcami jest niemal kalką propagandowej kampanii, którą w 1945 r. zrealizowało przeciw niej na Zachodzie NKWD. Znamienne, że te oskarżenia padły i zostały przez wielu bezkrytycznie

powtórzone krótko po 74. rocznicy pacyfikacji Borowa. Na początku lutego 1944 r. Niemcy przeprowadzili eksterminację Borowa i kilku okolicznych wsi, mordując co najmniej 1200 Polaków. Ofiar byłoby więcej, gdyby nie żołnierze NSZ, ci sami, którzy później tworzyli Brygadę; podjęli oni walkę z siłami niemieckimi, pomagając w ewakuacji kobiet i dzieci.

Hołd, który premier Morawiecki złożył żołnierzom Brygady, jest ważnym elementem odkłamywania historii, przywracaniem Polsce pamięci o bohaterach. To byli żołnierze wolności, nie kolaboranci. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Nadzwyczajna kasta w ślepym zaułku

Aco by było, gdyby to nie był sędzia?" – gorączkowali się krytycy orzeczenia Sądu Najwyższego w sprawie dyscyplinarnej sędziego Mirosława Topyły. SN sędziego uniewinnił od zarzutu przywłaszczenia sobie 50 zł na stacji benzynowej, a tym samym skasował orzeczenie sądu dyscyplinarnego I instancji o wydaleniu sędziego z zawodu.

Pytanie jest dobre, ale można je zinterpretować inaczej niż

nie umieli i nie chcieli swoich decyzji tłumaczyć ludziom. Ludzie zaś oczekują dziś od sędziów nadludzkiej wręcz nieskazitelności, a za najdrobniejsze przewinienia chcieliby najsurowszych kar (wydalenie z zawodu taką karą jest). Można się na to zżymać, ale takie jest właśnie społeczne oczekiwanie i to sędziowie jako grupa zawodowa powinni starać się sobie z nim jakoś poradzić. Z drugiej jednak strony nie mają łatwo, bo to, jak bywali w ostatnim czasie traktowani, nosiło faktycznie znamiona nagonki, w której słynna kampania nieszczęsnej Polskiej Fundacji Narodowej była tylko wisienką na torcie.

Te dwa czynniki – postawa środowiska sędziowskiego oraz często irracjonalna niechęć do sędziów, wzmacniana przekazem medialnym – sprawiają, że każda, nawet najbliższa sprawa nie ma szans obronić się na gruncie dowodów i argumentów, niezależnie od orzeczenia. Było wiadomo, że uniewinnienie sędziego Topyły zostanie uznane za kolejny dowód istnienia „nadzwyczajnej kasty”, jakie by nie były argumenty sądu. Z kolei wydalenie go z zawodu można by uznać bez trudu za populistyczną próbę przypodobania się nowej władzy – znów niezależnie od argumentacji.

Nie wiem, czy sędzia był roztargniony, jest kleptomanem czy złodziejem. Wiem, że fatalne jest, że tak będzie wyglądać każda dyscyplinarna sprawa każdego sędziego. ©

Było wiadomo, że uniewinnienie sędziego Topyły zostanie uznane za kolejny dowód istnienia „nadzwyczajnej kasty”

zadający je i spytać: A gdyby tak odwrócić sytuację – banknot należy do sędziego, a zgarnia go z lady starsza pani – to czy komentarze byłyby równie zapalczywe wobec niej jak wobec sędziego Topyły i czy równie chętnie deklarowano by, że sprawa jest jasna, bez wątpliwości, i była to ewidentna kradzież? Nie sądzę.

Sędzia Topyła, po orzeczeniu SN głośno narzekający na media, nie rozumie najwyraźniej, że ponosi konsekwencje postawy innych sędziów, którzy wielokrotnie w poważniejszych sprawach wykazywali się pobłażliwością wobec kolegów, a jeśli nawet ta pobłażliwość była uzasadniona faktami, to



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Wyborcza, czyli kto?

Wielki temu uważano, że podczas igrzysk zawiesza się wszystkie wojny. „4 lata temu, za PO, 4 złote medale. Za PiS bida z nędzą. Narciarze alpejscy nie mają gdzie trenować. Za swoje przygotowują się do startów. Bańka mydlana pęka!” – wykrzyczał poseł Michał Szczęrba.

„Znany parlamentarny amator białego szaleństwa dokonał wnikliwej i błyskotliwej analizy przyczyn wieloletnich zaniedbań szkoleniowych i finansowych w zakresie sportu dzieci i młodzieży i braku długofalowej strategii w PZS” – odparł wywołany do tablicy minister Witold Bańka, dodając, że dziękuje za uwagi, ale „nie pęka”. W końcu jedno złoto się znalazło, więc duma nie ucierpi.

„Za to, gdyby były igrzyska w przepychaniu się do kibla, to mielibyśmy złote medale” – zamknął debatę o kondycji polskiego sportu Krzysztof Stanowski, ewidentnie pamiętający słynny rajd Michała Szczęrbę w Krynicy-Zdroju.

„Aborcja nie jest OK. I nie jest tematem na koszulkę. [...] Nie wolno banalizować dylematów etycznych” – orzekł Jarosław Kurski, wicenaczelnym „Wyborczej”, komentując okładkę „Wysokich Obcasów”, czyli dodatku do... własnej gazety.

Poruszony okazał się również Roman Giertych.

„Gazeta, która była kiedyś centrolewicowa, teraz zupełnie oszalała” – skonstatował. Dotknięty jego słowami Paweł Wroński pospieszył z wytłumaczeniem godnym szefa. „Wysokie Obcasy» to nie »Gazeta Wyborcza«. Ta okładka i tytuł jest głupi”.

W pewnym momencie do sporu tożsamościowego redakcji z Czerskiej wkroczył również tamtejszy spec od sportu, Rafał Stec. „Wysokie Obcasy» to jest »Gazeta Wyborcza«. Tak samo jak jej dział krajowy, gospodarczy czy sportowy” – stwierdził przytomnie. „Miałeś kiedyś jakiś wpływ na »siostry« z »Wysokich Obcasów«?” – próbował się ratować Wroński, twierdząc, że pewnego razu nazwały go męską szowinistyczną świnią. „Nie miałem też wpływu na to, co ty piszesz, ale uważam, że jesteś częścią »Gazety Wyborczej«” – odparł Stec.

Ciekawe czasy. Dawniej dziennikarze „z druku” odcinali się jedynie od portalu Gazeta.pl. „Niedługo w GW poszczególne strony gazety będą odcinały się od siebie” – pesymistycznie skonkludował Paweł Rybicki. ©

POLISH AMERICAN

LEADERSHIP SUMMIT
POLAND INVESTMENT ZONE

” *Polska jest dziś silniejsza, niż była kiedykolwiek. Relacje polityczne polsko-amerykańskie są najlepsze od lat.*

powiedział podczas szczytu Corey Lewandowski,
były szef kampanii wyborczej Donalda Trumpa

*Bardzo cenna inicjatywa, która dopełnia kalendarz
polsko-amerykańskich kontaktów politycznych
o wymiar gospodarczy.*”

podkreślił prezydent Andrzej Duda
w specjalnym filmowym przesłaniu
do uczestników PALS

**Dziękujemy Partnerom
za pomoc przy organizacji konferencji**

**We thank all our Partners for the help
in organizing the conference**

ORGANIZED BY



RTMx
**Round
Table
Mixer**

THE HONORARY PATRONAGE
OF THE PRESIDENT
OF THE REPUBLIC OF POLAND
ANDRZEJ DUDA

OVER THE #PALS CONFERENCE
ON FEB 9TH, 2018



PROGRAM PARTNERS



PATRONAGE

The American Institute
of Polish Culture Inc.

STRATEGIC PARTNERS



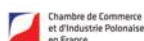
GOLD PARTNERS



BRONZE PARTNERS



CONTRIBUTORS



MEDIA PARTNERS



LOGISTICS PARTNER



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, nie możemy przejść obojętnie wobec występu polskich skoczków nienawiści na zimowych igrzyskach w Pjongczangu. Otóż spodziewamy się, iż w wyniku zdobycia tych medali Podkarpacie wybuchnie skondensowanym, czystym uczuciem patriotycznym, co w sytuacji obecnej, czyli planów karania śmiercią za stwierdzenie, iż wśród Polaków byli także niedobrzy ludzie, jest szczególnie niebezpieczne.

Zauważcie zresztą sami, iż skoczkowie to idealny materiał na idoli dla wąsatego janusza i jego grażyny: młodzi, daleko skaczą, wzruszają się, reprezentując ten kraj i zabierają ze sobą do Korei księdza.

Niestety, ale sprawy zaszły już za daleko i tego entuzjazmu nie da się już odwrócić. Chyba w porach konkursów skoków narciarskich będziemy barykadować się w łazience, iżby nie przyszedł po nas rozentuzjazmowany tłum i nie rzucił nas ze skoczni.

Wogóle to atmosfera w tym kraju gęstnieje z dnia na dzień i naprawdę trzeba uważać, co się mówi, iż na każdym kroku siepacze Kaczafiego zwracają uwagę, czy nikt tego kraju przypadkiem nie szkaluje. Nowa ustawa o IPN jeszcze co prawda



Jesteśmy pod wrażeniem otwartości i równouprawnienia obecnych w Arabii

nie działa, ale my czujemy, mamy takie przeświadczenie i wrażenie, że tak naprawdę to już teraz nie można niczego powiedzieć.

Otóż np. kolega-gej opowiadał, jak rozmawiał w tramwaju przez ajfona z frendami z lokalnego kółka organizacji LGBTWERTY i demonstracyjnie głośno powiedział, iż obecnie nie wszyscy Polacy darzą szacunkiem judeosoby. Co prawda nikt mu niczego nie powiedział ani na niego nawet nie spojrzął – ale właśnie – czy to nie jest dyskryminacja przez ignorowanie? Poza tym nasz frend przyznał później, iż wręcz czuł nienawistne myśli i niewypowiedziane komentarze pod swoim adresem.

Albo taki praktykant Alex. Przechadzając się ostatnio ulicami naszego wielkiego ośrodka, stwierdził: „Ale tu dzisiaj brzyd-

ko” i zanim skończył mówić, zdał sobie sprawę, iż takie słowa mogą być obecnie karane zesłaniem do jakiegoś obozu odosobnienia w okolicach Jarosławia. Strach już teraz nawet pomyśleć coś złe o tym kraju, iż będą nas pewnie wtrącać do więzień.

Słyszeliście, iż waginoosoby w Arabii Saudyjskiej mogą już zakładać własne firmy bez zgody męża lub krewnych płci męskiej? Pięknie! Jesteśmy pod wrażeniem otwartości i równouprawnienia obecnych w Arabii. Aż chciałoby się zapytać, jak na tym tle wygląda ten kraj?

Czy u nas waginoosoby mają swobodne prawo do wyboru, mogą bez przeszkód kupić Ella-One w najbliższym całodobowym monopolowym, są wolne od przemocy ekonomicznej ze strony patriarchalnego społeczeństwa, mają refundowaną antykoncepcję?

Nie? No właśnie. Widać wyraźnie, iż waginoosoby w tym kraju nie mają w połowie tak łatwo jak te w Arabii Saudyjskiej. ©



cezary kryston@wp.pl

FASHYŚM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

JAK UNIKNĄĆ ŻENADY

Julia Wieniawa należy do pokolenia celebrytek, które są uzależnione od social mediów i wszystko, co robią, relacjonują na Facebookach, Instagramach i innych Snapchatach. Z różnym skutkiem. Julia mówi np., że Instagram jest dla niej formą pamiętnika. – Instagram traktuję jako pamiętnik, tylko taki publiczny pamiętnik. Tak sobie scrolluję ten Instagram i fajnie jest sobie przypomnieć, co się robiło miesiąc temu, trzy miesiące temu, a nawet parę lat temu – opowiada, zapewniając jednocześnie, że wrzucanie fotek z wakacji nie jest sprzedawaniem prywatności, lecz kreowaniem wizerunku. Niemniej dostrzega też pewne ryzyko związane z internetową aktywnością. – Ostatnio jak się nudziłam, byłam chora w domu, przejrzałam cały swój Instagram i rzeczywiście złapałam się za głowę, jak zobaczyłam niektóre selfie z gimnazjum, więc na pewno będę w jakiś tam sposób zażenowana za kilka lat tym, co robię teraz. No ale co, każdy się uczy na błędach – wyznała Wieniawa. Po czym wrzuciła kolejny tuzin selfie na Insta.

GORZEJ BYĆ NIE MOŻE

Podłość ludzka nie zna granic! Oto tytuł na jednym z branżowych portali: „Beata Tadla, Jarosław Kret, Popek, Renata Kaczoruk, LittleMooonster96 wśród uczestników »Tańca z gwiazdami«”. I pomyśleć, że ta sama Beata Tadla, która jeszcze niedawno prowadziła „Wiadomości” i robiła relacje z Majdanu, teraz będzie tańczyć razem z jakimś Popkiem i LittleMooonster96. Chcieliśmy to złośliwie skomentować, ale bardziej już się nie da.



FOT. TRIDOLSKY/STARS

TA BRUTALNA REFORMA

Jednak skoro już jesteśmy przy duecie Tadla & Kret, to duet ów w związku z udziałem w „Tańcu z gwiazdami” udzielił wywiadu magazynowi „Viva!” Dziwaczny to wywiad, zwłaszcza gdy Tadla wyrzuca Kretowi, że niepotrzebnie obiecywał jej ślub, skoro przecież i tak nie dotrzyma słowa, a Kret tłumaczy, że śluby są przereklamowane i jest potem problem z nazwiskiem. – Jak by

to brzmiało? Beata z domu Tadla, Kretowa? – zastanawia się. Najzabawniej jest jednak, gdy pada pytanie, co będzie, kiedy jedno z nich wygra główną nagrodę, czyli 100 tys. zł. Kret tłumaczy, że nie bierze udziału w programie dla pieniędzy. – Biorę udział w tym programie m.in. z tego powodu, że w związku z brutalną reformą szkolnictwa byłem zmuszony wysłać moje dziecko do szkoły prywatnej. Powiedziałem sobie, że wszystkie pieniądze, które zarobię w tym programie, pójdą na czesne – zdradza. Może nie mówmy na razie panu Kretowi, że reforma edukacji objęła też niepubliczne szkoły. Po co go dodatkowo stresować?

JAK BYĆ EKSPERTEM

Kinga Rusin została poproszona w jednym z wywiadów o to, by jako doświadczona dziennikarka udzieliła rad młodym, początkującym dziennikarzom. Rusin narzekała na to, jak bardzo czasy się zmieniły, bo dziś każdy może być dziennikarzem, każdy dysponuje swoim medium, swoim kanałem informacji. – Czasem olbrzymi wpływ na opinię publiczną mają ludzie, którzy w różnych tematach mają nie za wiele do powiedzenia, ale mają strasznie duży zasięg – dodała. Pełna zgoda. Wie o tym każdy, kto ogląda Kingę w telewizji śniadaniowej.

DRAMAT NA USTACH

Pamiętacie Anellę? To taka polska Barbie. Dziewczyna, która przeszła mnóstwo operacji plastycznych i teraz wygląda, jak wygląda. Od jakiegoś czasu bryluje w show-biznesie. Ma za sobą występy w telewizjach śniadaniowych i jest stale obecna w plotkarskich portalach. Jednak o swoją popularność dba przede wszystkim w mediach społecznościowych i właśnie tam podzieliła się ze światem swoim dramatem. „Cześć! Pewnie zastanawiacie się, czemu od dobrych 8 dni nie wrzuciłam żadnego zdjęcia/ InstaStory” – napisała tajemniczo na Instagramie. Okazuje się, że Anella nabawiła się infekcji podczas kolejnego już zabiegu powiększania ust. Jak pisze, okres, gdy nie było jej na Instagramie, „przeznaczony został na rekonwalescencję”. Anella nie kryje swojego oburzenia na klinikę. Na szczęście znalazła już nową, więc nie grozi jej odwyk od operacji plastycznych i zabiegów. – W nowej profesjonalnej klinice okazało się, że doszło do infekcji i stanu zapalnego. Pobrano tam próbki bakteriologiczne, w chwili obecnej nie mogę powiedzieć nic więcej, sprawa jest bowiem w toku, jak tylko będę mogła, wyrażę swoją opinię i zdanie na temat tej fatalnej kliniki ku przestrodze – stwierdziła. Ku przestrodze to powinny być zdjęcia Anelli. Najlepiej w każdej klinice medycyny estetycznej. ©



FOT. PAMEL GARMADA

Czasem sięgamy po cudze żarty, kiedy są dobre. Dzisiaj chcieliśmy więc zacząć od żartu naszego redakcyjnego kolegi Wojtka Wybranowskiego. Otóż celnie zauważył on, że powstał ZdSPPFiUToPINn-TRNERWazwnB. Chcieliśmy jednak dla porządku zaznaczyć, że prawdziwym autorem żartu nie jest Wojtek, lecz Achim Brudziński



Ten piękny żart ma swoje rozwinięcie. Brzmi ono: „Zespół do Spraw Przeciwdziałania Propagowaniu Faszyzmu i Innych Ustrojów Totalitarnych oraz Przestępstwom Inspirowanym Nienawiścią na Tle Różnic Narodowościowych, Etnicznych, Rasowych, Wyznaniowych albo ze względu na Bezwyznaniowość”. I to właśnie Achim Brudziński go powołał. Uważamy, że nazwa zespołu jest zbyt krótka, bo dodalibyśmy jeszcze „a także ze względu na Pleć lub Wiek”. Wtedy byłoby to ZdSPPFiUToPINnTRNERWazwnBatwznPIW. Prawda, że zgrabniej?

Mamy jednak pewną wątpliwość. Powołanie specjalnego zespołu zwykle oznacza, że powołujący przyznają, że istnieje jakiś bardzo poważny problem. Na przykład powstanie Zespołu do spraw Walki z Kanibalizmem, oznaczałoby, że rząd uważa, iż w Polsce występuje poważny problem kanibalizmu. Co było do udowodnienia.

Apropos zespołów. Nasilają się pisowskie szykany. Kilka dni po skuciu kajdankami bohatera walki o wolność waszą i naszą Frasyniuka Władka, Ministerstwo Zdrowia powołało zespół ds. zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży. Zaniepokoił nas ten zamach na demokratyczną opozycję. Przypomniało nam się bowiem, że nawet niektórzy koledzy Władka uważają, że ostatnio zachowuje się jak duże dziecko.

Zauważamy, że w kancelarii nadpremiera Mateusza potrzebnych jest jeszcze kilka zespołów. Zespół ds. Doprecyzowywania Wystąpień w Języku Angielskim. Zespół ds. Ustalenia czy Nowelizacja Ustawy o IPN Obowiązuje czy Nie. Oraz Zespół ds. Wyjaśniania Dlaczego Jeszcze Nie Powstał Zespół Sprawdzający co do Cholery z Tą Polską Fundacją Narodową.

Na mieście gruchnęła plotka, że PiS bada nowych kandydatów na kandydata na prezydenta Warszawy. Plotkę opisał nawet jeden z portali. Nowy faworyt ma ponoć spełniać następujące warunki: jest ministrem rządu Mateusza oraz cieszy się dużym zaufaniem Jarosława Kaczyńskiego oraz partii. Przejrzeliśmy listę ministrów. Tylko jedno nazwisko spełnia te wszystkie warunki naraz – niezawodny Mariusz Błaszczak. Chcieliśmy więc stanąć w obronie Mariusza: a dajcie wy mu wszyscy święty spokój!

dwaj panowie g



Tymczasem Mario Błaszczak zaczął już okazywać swą nieznaną, okrutną twarz. Nie tylko odwołuje, ale też chce zmniejszać. Na szczęście nie polską armię. Ale na przykład wiewiórki opowiadają, że zarząd Polskiej Grupy Zbrojeniowej będzie teraz już tylko trzyosobowy. Proponujemy by tych, dla których nie starczyło stanowisk, odelegować do tworzenia jakichś specjalnych zespołów w kancelarii premiera.

Sensacyjne wiadomości z Ministerstwa Środowiska. Na korytarzu prowadzącym do gabinetu szefa resortu wymieniono dywan. Co ważniejsze, w gabinecie zamontowano nowe meble, w tym skórzany fotel. Oznacza to, że nie można już mówić o Henryku Kowalczyku „objął fotel Jana Szyszkii”. Objął nowy, całkowicie własny fotel.

Apropos ministra Kowalczyka, dorobił się już w resorcie środowiska ksywy. Nie jest zbyt oryginalna. Mówią na niego Yeti – bo wszyscy o nim słyszeli, ale mało kto widział.

Teraz o MSZ. Papież przyjedzie do Polski. Nie ten, o którym myślicie. Chodzi o Andrzeja Papierza, konsula generalnego w Stambule. Andrzej ma ksywę Papa i ma zostać u Czapy wiceministrem. Na miejscu złogów bierutowsko-gomułkowsko-platformerskich już byśmy pakowali walizki. Papa za czasów Radka Sknerusa i Schetyny został przeczołgany jak mało kto, łącznie z zawróceniem go z placówki w Sofii, gdzie był ambasadorem. Złośliwie cofnięto mu dostęp do informacji niejawnych. Potem się tułał po placówkach, na które nikt nie chciał jechać – łącznie z pobytem w Afganie.

Papa ma jeszcze jedną zaletę. Jest jednym z najlepszych kumpli okrutnego Maria Kamińskiego, jeszcze z czasów NZS i Ligi Republikańskiej. Za Fotygi był szefem kadr. I trzeba mu oddać, że zna przeszłość większości dyplomatów. To jednak małe miki. Zna też ich przyszłość. Wiemy, co mówimy – ten Papierz nie będzie nauczał o miłosierdziu.

My w sprawie posła dobrej zmiany Józefa Leśniaka. Znanego głównie z tego, że nie jest znany. Od pewnego czasu jest trochę znany, bo w lipcu podczas sejmowej burdy popchnął go jeden taki platformers Lenz. Teraz biegli mają ustalić, czy i jak bardzo poseł Leśniak został skrzywdzony. Naszym zdaniem bardzo, gdyż znamy posła Leśniaka i wiemy, że jest wątłej postury. Nawet szybkie przechodzenie w jego pobliżu nie jest wskazane, żeby go podmuch nie przewrócił.

Anie, przypomniało nam się coś jeszcze. Poseł Leśniak jest jednak znany, tyle że w wąskich kręgach. Otóż ma on nietypową przeszłość jak na posła dobrej zmiany. Zanim poszedł w politykę, pracował dla zagranicznych hipermarketów, pomagając im w znalezieniu ładnych działek na sklepy w Polsce. Rozumiemy więc, że polityka to dla niego forma pokuty.

Chcieliśmy jako pierwsi pogratulować Pawłowi Adamowiczowi trzeciej kadencji na stanowisku prezydenta Gdańska. Naszą wyborczą prognozę oparliśmy na analizie naukowej. Niezbicie

wynika z niej, że każdy, kogo zwalczała ostatnio Grzegorz Schetyna albo Lech Wałęsa – wygrywał wybory. Jak na przykład PiS. Albo Andrzej Duda. Po wspólnej konferencji antyadamowiczowej wspomnianych osobników przyszłość gdańskiego Budynia maluje się więc w jasnych barwach.

Złotliwcy z Trójmiasta twierdzą, że atak TW Bolka vel Wałęsy Lecha na Adamowicza wziął się stąd, że wielką ochotę na schedę po gdańskim Budyniu ma jego syn, Wałęsa Jarosław. Jest jednak

Uważamy, że Pomaska zasługuje na Gdańsk.

A Gdańsk, niestety, zasługuje na Pomaskę

ktoś, kto ma większą ochotę – Agnieszka „cza było słuchać” Pomaska, która wierci w tej sprawie dziurę w brzuchu Grzegorzowi Schetynie. Jesteśmy za. Uważamy, że Pomaska zasługuje na Gdańsk. A Gdańsk, niestety, zasługuje na Pomaskę.

Dla niezorientowanych: Schetyna się wściekł na Adamowicza, bo jeszcze w styczniu osobiście zabronił mu ponownego kandydowania. Budyń niby się zgodził, poszedł na urlop, a po powrocie od razu ogłosił, że jednak kandyduje. A że grozi mu odsiadka za zatajenie liczby posiadanych mieszkań w oświadczeniu majątkowym – cóż, to tylko drobnostka. Poza tym zmniejszył swój stan posiadania, rozdając mieszkania członkom rodziny. Cóż. Żałujemy, że jesteśmy spoza rodziny.

Skoro już o Eine Totalopposition. Z entuzjazmem witamy zapowiedź powrotu Radka Sknerusa Sikorskiego jako eksperta i autorytetu PeŁo. Cieszymy się, że Radkowi nie przeszkadza już knajacki styl lwowskiego żulika Grzegorza Schetyny, który w dodatku zdaniem Radka nie ma poglądów i wykazuje zero kreatywności oraz nie nadaje się na premiera.

Jak rozumiemy, korzyści z odwilży łądnoją obie strony. Grzesiek Schetyna, jako człowiek bez poglądów, musi gdzieś jakieś poglądy znaleźć. Radek Sknerus jako człowiek, który uwielbia mówić, ale którego nikt nie chce słuchać,

może być z kolei wdzięczny za okazję do przemówień. Nieśmiało przypominamy, że Zbyszek Chlebowski marnuje się w jakiejś spółce produkującej wagony. Jego też widzielibyśmy chętnie w roli nowego starego autorytetu PeŁo.

Zżycia Peezel. Jak opowiedziały nam wiewiórki, poseł Mieczysław Baszko odszedł od naszych zielonych braci niedawno, ale zdracą w sercu był już wcześniej. Chciał na przykład jako jedyny poseł ludowców głosować za powołaniem rządu Mateusza Morawieckiego. W ostatniej chwili odwiódł go od tego pewien stary, doświadczony peezełowicz. Przez grzeczność nie pytaliśmy, czym dokładnie go odwiódł.

Ekspressem przez życie towarzyskie. Krystyna Pawłowicz uważa, że poseł Gryglas Zbigniew nadaje się najwyżej na sołtysa. Aleksandra Jakubowska sugeruje, że Magda Ogórek odwiedza kogoś w pokoju sejmowym. Michał Dzięba pyta Rafcia Trzaskowskiego o kokainę, seksparty, kasę na kampanię i romans ze stażystką Klaudią. Nie wiemy, o co chodzi, ale do wszystkich mamy apel: jeszcze, jeszcze! ☺☺

REKLAMA



PIEKARA
BESTIE
I LUDZIE

NOWY ZBIÓR OPOWIADAŃ

J · A · C · E · K

PIEKARA
BESTIE
I LUDZIE

Potwory czają się bliżej niż myślisz, JACEK PIEKARA powraca w wielkim stylu!

PREMIERA 28.02.2018

fabryka słów®
WYDAWNICTWO



Wojciech Wybranowski

Czy Polska padła ofiarą przygotowanego zawczasu uderzenia wojny informacyjnej? I jak okazaliśmy się do tego przygotowani?

Wydawało się, że awantura między Polską a Izraelem już wygasa. Obie strony deklarowały dobrą wolę i powrót do normalnych stosunków, apelowały o wyciszenie emocji. Jednak w ubiegłym tygodniu obserwowaliśmy nagłe spotęgowanie sporu.

Eksperci, z którymi rozmawialiśmy, zwracają uwagę, że nasilenie wymierzonych w Polskę oskarżeń o rzekomą kolaborację z niemieckimi nazistami, o prześladowanie ludności żydowskiej przeszłe i... obecne, wreszcie kulisy

Bergman zapytał premiera Morawieckiego o to, czy w świetle nowelizacji ustawy o IPN zostałyby „uznany za przestępcę”, gdyby przytoczył historię swojej matki, która miała – jak opowiadał Bergman – przeżyć Holokaust, ale wielu jej bliskich miało zostać zadenuncjowanych na gestapo przez Polaków. Mateusz Morawiecki tłumaczył, że mówienie prawdy nie podlega przepisom ustawy. Dodał też, że nikt nie ukrywa, iż byli polscy sprawcy. Tak jak byli żydowscy sprawcy, tak jak byli rosyjscy sprawcy czy ukraińscy – nie tylko niemieccy – uzupełnił premier. Samo wspomnienie o tym, że byli Żydzi, którzy kolaborowali z Niemcami w dziele Zagłady – co jest historycznym faktem – natychmiast wywołało międzynarodową dyplomatyczną i medialną awanturę.

– Słowa premiera Polski są oburzające. Jest tu problem z niezrozumieniem historii i brakiem wrażliwości na tragedię naszego narodu – grzmiał Beniamin Netanjahu, premier Izraela. A lider izraelskiej Partii Pracy Awi Gabbaj oskarżył Morawieckiego, że „mówi jak każdy inny negacjonista Holokaustu”. Atmos-

budzą wątpliwości co do prawdziwości całej historii. Na prośby o ich wyjaśnienie i doprecyzowanie bardzo aktywny na Twitterze Bergman nie odpowiedział (więcej o sprawie dziennikarza na stronie 23).

– Wygląda na to, że po stronie polskiej sprawy wymknęły się spod kontroli, o ile w ogóle o jakiejś kontroli można tu mówić. Dynamika zdarzeń ewidentnie nas zaskoczyła, co ujawniło też starsze problemy z polityką historyczną – ocenia Jacek Kłoczkowski z Ośrodka Myśli Politycznej. – Po stronie izraelskiej wiele rzeczy zaczęło się dziać spontanicznie, bo podgrzano kwestie, które wśród Żydów musiały wzbudzić olbrzymie emocje. Oczywiście w obecnej sytuacji politycznej w Izraelu dziwne byłoby, gdyby nie były one w pewien sposób podkręcane i sterowane – dodaje.

Czy Polska mogła skutecznie przeciwdziałać takiej kampanii? Zdaniem Krzysztofa Kłopotowskiego – raczej nie. Na stronie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich wylicza, jak mizernie wygląda

Reżyserowany konflikt

wydarzeń towarzyszących tym oskarżeniom rodzą poważne pytania. Czy obecny konflikt polsko-izraelski to tylko pokłosie sporu o – w gruncie rzeczy – niezbyt istotną nowelizację ustawy o IPN?

– Wiele wskazuje na to, że wypowiedź ambasadora Izraela Anny Azari, wygłoszona pod koniec stycznia na terenie obozu Auschwitz, była starannie przygotowana, wyreżyserowana i miała rozpętać pewnego rodzaju kampanię. Zastanawiam się, dlaczego polskie służby, także dyplomatyczne, tego nie przewidziały i temu nie przeciwdziałały – mówi „Do Rzeczy” prof. Maciej Drzonek, politolog. – Czy to, co się dzieje po wypowiedzi premiera Morawieckiego w Monachium, jest kontynuacją takiej kampanii? Nie można tego wykluczyć.

MONACHIJSKA PROWOKACJA?

Po konferencji bezpieczeństwa w Monachium izraelski dziennikarz Ronen

ferę natychmiast podkreśliły izraelskie media, m.in. „Haaretz”, „The Jerusalem Post” i „The Times of Israel”, sugerując, że polski premier nazwał Żydów współsprawcami Holokaustu.

To wywołało furie i falę oskarżeń pod adresem Polski oraz Polaków. Tradycyjnie już włączyły się w to europejskie media znane z niezłomności wobec Polski, m.in. lewicowy brytyjski „The Guardian”, który powołując się na wątpliwe, mocno zawyżone szacunki Jana Grabowskiego (z których wynika, że Polacy mieliby być odpowiedzialni za śmierć 200 tys. Żydów – więcej o tym na stronach 26-27), oskarżył Polaków o współodpowiedzialność za Shoah. „Polska nie ucieknie od odpowiedzialności za Holokaust” – ogłosił brytyjski periodyk.

Tymczasem – jak szybko ustalili internauci i część dziennikarzy – w opowieści izraelskiego dziennikarza o jego matce, która przeżyła Zagładę, są liczne merytoryczne „dziury” i nieścisłości, które

250 mln zł, które ma Polska Fundacja Narodowa, do setek miliardów dolarów, którymi dysponują zamożne środowiska żydowskie na całym świecie. I dlatego jego zdaniem: „Polski rząd nie wygra czołowego starcia z Izraelem o wizję historii Zagłady, gdyż nie ma aparatu propagandy ani polskiego lobby w Waszyngtonie. A klęska będzie dotkliwa. Lepiej wycofać się, szukając kompromisu. Trzeba za wszelką cenę utrzymać sojusz z USA, gdyż lobby izraelskie może zagrozić, że nam to popsuje”.

„MIEJSCE CIĄGŁEGO ZŁA”

Tylko w ostatnim tygodniu obok wielu mocno nieprawdziwych, oskarżających Polskę o współudział w Holokaucie publikacji w mediach zachodnich doszło do ataku na teren polskiej ambasady w Izraelu. Ktoś zdewastował ogrodzenie polskiej placówki dyplomatycznej, malując na niej swastyki i wulgarne antypolskie hasła.



Fundacja Rodziny Rudermanów opublikowała na YouTube oszczerczy film, w którym powtarzano hasło „Polish Holocaust”

FOT. RUDERMAN FAMILY FOUNDATION/YOUTUBE.PL

Natomiast działająca w Stanach Zjednoczonych, ale wpływowa również w Izraelu Fundacja Rodziny Rudermanów rozpoczęła akcję zbierania podpisów pod petycją mającą wymusić na rządzie Stanów Zjednoczonych zawieszenie stosunków dyplomatycznych z Polską. Tej kampanii towarzyszy film propagandowy opublikowany w serwisie YouTube. W trakcie kilkuminutowego nagrania, mocno promowanego przez izraelskie media i portale, można było usłyszeć, że: „Trzy i pół miliona Żydów, wliczając w to tysiące dzieci, zostało zamordowanych w Polsce”. Głównym jednak, zapadającym w pamięć przesłaniem, był powtarzany, obraźliwy zwrot: „Polish Holocaust”.

– Ten spot to nie tylko aberracja, lecz także skandaliczny rewizjonizm historyczny – mówi „Do Rzeczy” Artur Hofman, przewodniczący Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce. – Nie było polskiego Holokaustu, była planowa zagłada Żydów przeprowadzona przez Niemców. Szkoda, że amerykańscy Żydzi nie byli tak aktywni wtedy, kiedy to było rzeczywiście potrzebne, by ratować naszych ojców i dziadków – zauważa.

Nagranie zostało usunięte z profilu Fundacji Rudermanów po nacisku organizacji żydowskich działających w Polsce, m.in. Związku Gmin Wyznaniowych Żydowskich oraz ambasady Izraela. Jednak zanim to nastąpiło, obejrzało go na całym świecie kilkanaście tysięcy ludzi. Zresztą samo usunięcie było mało skuteczne, film nadal jest rozpowszechniany w sieci.

Niemal natychmiast po usunięciu filmu z YouTube na założonym profilu izraelskiego dziennika „Haaretz” pojawiło się inne nagranie zatytułowane „Dear Poland: Your Holocaust law fools no one. No one forgets”. Na filmie publicysta tego periodyku Bradley Burston stwierdza, że „Polacy byli bardziej entuzjastyczni w polowaniu na Żydów i prześladowaniu ich niż niemieccy naziści”.

Kampania medialnych manipulacji trwa od końca stycznia, gdy okazało się, że mimo nacisków Polska nie wycofa się z przyjęcia ustawy nowelizującej przepisy o IPN. To wówczas „The Jerusalem Post” opublikował tekst o relacjach izraelsko-polskich ilustrowanych zdjęciem zniszczonej tablicy z pomnika upamiętniającego pomordowanych podczas II wojny światowej w obozie KL Plaszow. Na zdjęciu widać swastyki



■ i napisy: „Jude raus”. To zdjęcie zrobiono w 2010 r.

Wpływowy „Haaretz” opublikował z kolei materiał zatytułowany „Orgia zabójców”, w którym przekonywano, że Polacy wymordowali setki tysięcy Żydów.

W podobną stronę poszedł amerykański portal Tablet Magazine założony i adresowany do Żydów mieszkających w Stanach. W artykule „Polski Holokaust Żydów” porównał Polskę do Judasza Iskarioty wydającego na śmierć swoich bliskich. „Kiedy ci, którym udało się uciec przed »akcjami«, transportem i ostateczną likwidacją getta, zaczęli się ukrywać na tzw. stronie aryjskiej; na strychach stodół, stogów siana, lasów, a nawet cmentarzy – wtedy cały miejski i wiejski krajobraz okupowanej Polski stał się potencjalnym miejscem ciągłego zła. Tam Judaszowa Plaga została powtórzona w niezliczonych odmianach” – przekonywał autor artykułu.

V KOLUMNNA

W sukurs autorom częstych w Izraelu, Stanach i zachodniej Europie publikacji kłamliwie atakujących Polskę o współudział w Holokauście pospieszyła cześć środowisk w Polsce.

„Krytyka Polityczna” opublikowała materiał, w którym Jan Grabowski, historyk związany z Centrum Badań nad Zagładą Żydów (znany z wywiadów i publikacji, w których zarzucał Polakom współudział w Zagładzie), przekonuje – wbrew znanym faktom historycznym – że „polskie elity nie ratowały Żydów”. Grabowski snując narrację o rzekomym polskim antysemityzmie, pisze: „Symptomatyczny

jest fakt, że wielu Polaków uhonorowanych medalem Sprawiedliwego wśród Narodów Świata zwróciło się do Yad Vashem z prośbą o zachowanie anonimowości z obawy przed sąsiadami. (W konsekwencji, niektórzy odznaczeni otrzymali medale podczas cichych ceremonii w ambasadzie izraelskiej w Warszawie albo na inne, podobnie »bezpieczne« sposoby)”.

Profesor Andrzej Żbikowski z Żydowskiego Instytutu Historycznego przekonywał w telewizji Polsat News, że dla Żydów lepszą strategią przetrwania niż polska pomoc był... pobyt w obozie koncentracyjnym.

Niemal w tym samym czasie przedstawiciele kilkunastu funkcjonujących w Polsce organizacji żydowskich (m.in. Związek Gmin Wyznaniowych Żydowskich RP, Naczelny Rabin Polski, Fundacja Szalom i Żydowski Instytut Historyczny), ciesząc się również sporymi wpływami w Europie, wydali oświadczenie, w którym przekonują, że „Polscy Żydzi – w przededniu 50. rocznicy Marca ’68 i 75. rocznicy powstania w getcie warszawskim – nie czują się dziś w Polsce bezpiecznie”. W oświadczeniu nie wskazano jednak żadnych antysemitkich incydentów, wspomniano, że inaczej niż w innych krajach Europy w Polsce nie zdarza się fizyczna agresja wobec Żydów. I cóż jednak z tego, skoro starannie wyartykułowano w oświadczeniu, że „brak fizycznej przemocy nie wystarcza przecież, by sytuację uznać za normalną”.

– Z tym oświadczeniem chodził i naciskał Kostek Gebert (Konstanty Gebert, publicysta „Gazety Wyborczej” i miesięcznika „Midrasz” – przyp. aut.). Była bardzo

silna presja: albo podpiszesz, albo jesteś po stronie faszystów paradygujących w stolicy – opowiada nam działacz jednej z organizacji żydowskich aktywnych w Warszawie. Oficjalnie rozmawiać o tym nie chce. Tymaczy, że nie zamierza włączać się w silny spór w środowiskach polskich Żydów.

Oświadczenie powielono w głównych serwisach najważniejszych mediów w Europie i Izraelu. „The Jerusalem Post” donosił, jakoby Żydzi w Polsce „czuli się psychicznie zagrożeni”, rosyjski „Sputnik” – organ kremlowskich służb – pisał: „Antysemityzm wzrasta w Polsce”. Vanessa Gera, autorka głośnych publikacji, w których na ulicach Warszawy widziała dziesiątki tysięcy nazistów, na łamach ABC News twierdziła, że „Polscy Żydzi są przerażeni i zastraszeni erupcją antysemityzmu”.

ELEMENTY UKŁADANKI

W środowiskach żydowskich i współpracujących z nimi organizacjach już w 2016 r. krążyły plotki, jakoby przy okazji kolejnej rocznicy Marca ’68 miano uderzyć w Polskę, a przede wszystkim w rząd PiS, zbitką „Polska – antysemityzm”. – Gdy przyglądam się wydarzeniom ostatnich czterech tygodni, to wszystko zafunkcjonowało jak w niemieckiej maszynie – mówi jeden z naszych rozmówców.

Teoria spiskowa? Niewykluczone. Pewne jest, że wydarzenia ostatnich tygodni są już skutecznie wykorzystywane do politycznych rozgrywek, w których to właśnie Polska obrywa rykoszetem. Za pomocą portali społecznościowych i strony Petycjeonline.com zbierane są podpisy osób, rzekomo ocalałych z Holokaustu (podpisują się osoby głównie z zagranicy, zwłaszcza z Izraela, ale nie ma żadnej możliwości zweryfikowania, czy rzeczywiście przeżyli Zagładę), wzywające do odrzucenia patronatu prezydenta Andrzeja Dudy nad obchodami rocznicy Marca ’68. Autorem petycji jest osoba podpisująca się jako Victor Holen. Nie wiadomo, czy podpis jest prawdziwy, ale takiego nazwiska używał Wiktor Holsztyński, w przeszłości jeden z przyjaciół Adama Michnika, uczestnik „grupy komandosów”. Autorzy petycji, która większego efektu w Polsce raczej nie przyniesie, ale z pewnością zostanie nagłośniona przez zachodnie media, piszą w niej, że PiS szerzy antysemityzm, a rząd Morawieckiego propaguje ksenofobię i pobłaża ruchom neonazistowskim.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Zdewastowane ogrodzenie ambasady RP w Tel Awiwie. FOT. MIRIAM ALSTER/FLASH90/FORUM



Maciej Pieczyński

Ronen Bergman posłużył się rodzinną traumą, by przypisać Polsce współsprawstwo w Holokauście

Piszący dla izraelskiego „Yedioth Ahronoth” i amerykańskiego „New York Timesa” Ronen Bergman zapytał premiera Morawieckiego „o nową ustawę (o IPN), w której jest napisane, że nie można mówić, iż Polacy przyczynili się do Holokaustu”. W dalszym ciągu pytania zasugerował, że jednak się przyczynili, używając przy tym argumentu emocjonalnego i trudnego do odparcia bez posądzenia co najmniej o brak empatii, jeśli nie o antysemityzm: „Ja sam jestem Żydem, który pisze dla »New York Timesa«, dlatego to będzie osobista kwestia. Moi rodzice urodzili się w Polsce [...], większość rodziny zginęła, ponieważ ich sąsiedzi wydali ich gestapowcom. Moja matka uratowała większość rodziny, ponieważ w nocy słyszała, że ci sąsiedzi mówią gestapo, że są tutaj gdzieś Żydzi, i na drugi dzień przyszło SS. Po wojnie moja matka przyrzekła, że nigdy nie wypowie ani jednego słowa po polsku. Z tego, co dobrze rozumiem, po tym, jak ta ustawa została podpisana, ja będę uznany za przestępcę za to, że w ogóle to powiedziałem. Jaki jest cel? Co chce pan przekazać całemu światu? Bo reakcja jest odwrotna i przez to jeszcze większa uwaga jest poświęcona tym strasliwym zbrodniom”.

Tym samym Bergman założył, że tak naprawdę celem nowelizacji ustawy o IPN nie jest walka o prawdę historyczną, lecz zamykanie tej prawdy pod dywan.



Morawiecki odpowiedział: „Oczywiście, nie będzie to karane [...], jeżeli ktoś powie, że byli polscy zbrodniarze, tak jak byli żydowscy zbrodniarze, tak jak byli rosyjscy zbrodniarze, tak jak byli ukraińscy zbrodniarze”. Według innego tłumaczenia premier mówił nie o zbrodniarzach, lecz o sprawcach. Tak czy inaczej, nie minął się z prawdą historyczną, sugerując, że pojedyncze przypadki haniebnych postaw zdarzały się w każdym narodzie. Bergman poczuł się jednak urażony. „Byłem przekonany, że premier powie coś wypełnionego empatią, współczuciem. Że wyrazi jakąś solidarność i odniesie się do pytania w sposób dyplomatyczny. Ale [...] w dodatku udzielił tej oburzającej odpowiedzi o polskich, żydowskich, rosyjskich i ukraińskich sprawcach” – żalił się potem izraelski dziennikarz polskiej redakcji Deutsche

Welle. Według Bergmana przypisywanie Żydom współsprawstwa w Holokauście to „pisanie historii na nowo”.

Okazało się, że Bergman, podobnie jak Yair Lapid, mógł skłamać w sprawie losów swojej rodziny, aby oczernić Polskę. Izraelski dziennikarz, zadając Morawieckiemu pytanie, streścił historię swojej rodziny. Wyznał m.in.: „Moja matka otrzymała nagrodę od ministra edukacji przed wojną, później zaczęła się wojna i większość rodziny zginęła”. Natomiast w jednym z artykułów napisał, w kontekście rocznicy Holokaustu: „Moja matka, niech pamięć o niej będzie błogosławiona, musiała pogrzebać ojca na śniegu, cicho, żeby hitlerowcy ich nie znaleźli. Miała wtedy pięć lat”. Jakim cudem pięciolatka (w najlepszym razie, bo pięć lat musiała mieć w czasie wojny) dostała przed wojną nagrodę

od ministra edukacji? Gdy zarzucono mu w tej sprawie kłamstwo, Bergman próbował się tłumaczyć, zapewniając, że jego matka była wybitnie zdolnym dzieckiem i jako kilkulatek została rzeczywiście nagrodzona przez ministra edukacji za piękną polszczyznę. To jednak o tyle wątpliwe, że obowiązek szkolny w II Rzeczypospolitej obowiązywał od siódmego roku życia. Nie wiadomo, czy to świadoma manipulacja, czy zawodna pamięć. Bergman nie wchodzi w szczegóły, zastania się milczeniem matki. Tyle jednak zapamiętał z jej opowieści, że „Polacy byli gorsi od nazistów”, z czym jednak on, „z historycznego punktu widzenia”, się nie zgadza.

Bergman nie jest pierwszym ani zapewne ostatnim izraelskim dziennikarzem, który zaangażował się w spór z Polską. Lahav Harkov, korespondentka „Jerusalem Post”, zasłynęła na Twitterze rozpropagowaniem hasztagu #PolishDeathCamps. Zdanie o tej kłamliwej treści powtórzyła w jednym wpisie 14-krotnie, uzyskując tysiące powieżeń i odpowiedzi. Tę dość prymitywną metodę polemiki z nowelizacją ustawy o IPN tłumaczyła następująco: „Jako dziennikarz oraz osoba miłująca wolność nienawidzę cenzury. Ta ustawa to próba ocenzurowania historii w celu ochrony narodowego »ego« Polaków i uniknięcia konfrontacji z demonami przeszłości” – pisała w artykule pod tytułem, z którego była duma z udanej prowokacji: „Jak stałam się wrogiem publicznym nr 1 w Polsce”. Podobnie jak Bergman korespondentka „Jerusalem Post” stosuje podwójne standardy: „polska kolaboracja” była systemową częścią Zagłady, zaś „żydowska kolaboracja” (której fakt w jednej z wypowiedzi potwierdza także Bergman) absolutnie nie miała żadnego znaczenia, nie tylko nie warto, ale i nie wolno o niej mówić.

Nieprzyjemne



Rafał A. Ziemkiewicz

Gdy Polacy zaczęli się upominać o godność, zderzenie z antypolonizmem było nieuchronne. Ustawa o IPN to tylko pretekst, taki sam jak zamach w Sarajewie



Tym, którzy krytykują Mateusza Morawieckiego za wypowiedź w Monachium i obciążają go winą za wywołanie kolejnego kryzysu w polsko-żydowskich relacjach, chciałbym polecić swój artykuł sprzed ponad 20 lat, zatytułowany „Dlaczego Żydzi nas nienawidzą?”. Sięgnąłem do niego – jest w pierwszym zbiorze mojej publicystyki, pt. „Viagra mać” – by bez najmniejszej przyjemności stwierdzić, że tekst zainspirowany amerykańskimi obchodami 50-lecia wyzwolenia obozu Auschwitz ani trochę się nie zestarzał. Mimo że publikowany był w czasach, gdy za przykładowego antysemitę w dyskursie salonów podawany był Piotr Wierzbicki tylko dlatego iż w jego gazecie, nazwanej, ku niesmakowi michnikowszczyzny, gazetą „polską”, zaczęto regularnie informować o używaniu przez wiodące media zachodnie nikczemnej frazy „polskie obozy śmierci” i przypisywaniu Polakom odpowiedzialności za Holocaust.

Cały dyskurs o Polakach – którzy byli „gorsi od Niemców” i u których Hitler zbudował obozy, zwane polskimi, nie przypadkiem, ale dlatego, że mógł tam liczyć na przychyłność miejscowej ludności – z którym się wtedy zetknąłem i którego większość Polaków w kraju nie była jeszcze świadoma, trwa w najlepsze do dziś. I wbrew wszelkim naszym złudzeniom nadal jest w głównym nurcie zarówno amerykańskiej, jak i światowej

debaty publicznej. Wierząc, że coś się w tej kwestii dzięki naszym staraniom poprawiło, sami się oszukiwaliśmy. W tym sensie jestem w stanie zrozumieć tych, którzy odpowiedzialność za kryzys przypisują niefortunnej nowelizacji ustawy o IPN czy słowom premiera – zawsze złość budzą w nas ci, którzy budzą nas z przyjemnego snu. Jednak jakkolwiek i kiedykolwiek miało się to stać, to przebudzenie było nam pisane i musiało do niego dojść prędzej czy później.

W istocie jest nawet gorzej niż w narracji o II wojnie światowej i „polskim antysemityzmie” napisanej jeszcze przed rokiem 1989, można więc rzec, że pod naszą nieobecność w światowym dyskursie nie zmieniło się nic. Zachowanie elit, które rządziły Polską przez ostatnich 25 lat, „ofensywa przeprosin”, którą podjęły po tym, gdy wreszcie zmuszone były pod koniec lat 90. zauważyć problem, uwiarygodniła i wzmocniła podły stereotyp Polski jako kraju ciemnego oraz antysemickiego, który powinien być zmuszony do pokajania się za swą haniebną historię.

NAIWNOŚĆ I POŻYTECZNI IDIOCI

Nie wszystkich intelektualistów, którzy uwierzyli, że „szczere wyznanie polskich win” i rozliczenie się przed światem z „ciemnych kart własnej przeszłości” jest drogą do zbudowania normalnych relacji z międzynarodową społecznością żydowską, można potę-

pić w takim samym stopniu. Wiele było w ich zachowaniu naiwności, z jaką wszyscy po wyzwoleniu z komunizmu traktowaliśmy Zachód, widząc w nim ideał normalności, do którego wdychaliśmy w czasach PRL, a nie chcąc zobaczyć realnie odbywającej się gry interesów, niekiedy całkowicie sprzecznych z naszymi, a niekiedy wręcz podłych.

Ze wspomnianej na wstępie dekady lat 90., gdy problem antypolskich uprzedzeń i stereotypów dostrzegano tylko w getcie prawicowych bieda-gazetek, zapamiętałem, jak w pewnym momencie na temat „polskich obozów zagłady” postanowił się wypowiedzieć będący wówczas u szczytu swych wpływów Adam Michnik. Jego artykuł – trzeba przyznać, że bardzo uczciwie broniący historycznej prawdy – ukazał się jednocześnie w „Gazecie Wyborczej” i w „New York Timesie”. Z dużym entuzjazmem i nadzieją odniósł się do tego głosu Piotr Wierzbicki. Niestety, entuzjazm trwał krótko – do momentu, gdy śp. Jacek Kwieciński przyniósł do „Gazety Polskiej” ten właśnie numer amerykańskiej gazety i okazało się, że tekst Michnika opublikowany za oceanem został oceniany – wyznania polskiej winy pozostały, argumenty w obronę Polaków i wyważanie wzajemnych krzywd zniknęły. Sam Michnik ani jego środowisko nigdy zresztą nie zdobyli się na otwarty protest wobec takiego

przebudzenie



FOT. BLOMBERG/GETTY IMAGES

potraktowania. Powinno to ówczesnym salonom dać do myślenia, uświadomić, jaka to jest w istocie gra, skoro nawet człowiekowi tak zbratanemu z salonami zachodnimi i brylującemu na nich jak Michnik zamknęto usta, gdy próbował bronić dobrego imienia Polski.

Naiwność rodem z głośnego eseju Jana Błońskiego o „biednych Polakach” patrzących na getto miała swój udział w wytworzeniu symboli, które są dziś w centrum antypolskiej narracji, na czele z Jedwabnem. Wielu polskich intelektualistów odegrało w tym rolę „pożytecznych idiotów”, popierając niewczesne przeprosiny polskiego prezydenta i episkopatu przed przeprowadzeniem śledztwa oraz ustaleniem faktów, które uwiarygodniły kłamstwo Grossa – głosząc z zapałem, że byłoby haniebną rzeczą targować się o skalę polskiej winy. Wystarczy, że jacyś Polacy na pewno w zbrodni brali udział, więc przeprosić trzeba.

Tylko że tak chętnie wtedy podejmowane akcje ekspiacyjne bynajmniej nie przyniosły oczekiwanego „oczyszczenia” we wzajemnych stosunkach, przeciwnie – eskalację nienawiści do Polski oraz roszczeń z niej płynących. Bezpośrednim skutkiem tak chętnie składanych przeprosin za Jedwabne stały się ugruntowanie opinii o współsprawstwie Polaków i wystąpienia, takie jak głośna zapowiedź prezesa World Jewish Congress Israela Singera, że Polska będzie „atakowana i upokarzana

na arenie międzynarodowej” dopóty, dopóki nie zaspokoi żydowskich roszczeń.

ŹRÓDŁA ANTYPOLONIZMU

Rzecznicy naiwnego przepraszania nie chcieli przyjąć do wiadomości, że za antypolonizmem stoją konkretne interesy i potrzeby. I że nawet nie jest najistotniejsza wśród nich zwykła chęć złupienia Polski przez nowojorski gang, ogłaszający się światowym reprezentantem narodu żydowskiego, tak jak udało mu się pod szantażem zepsucia dobrego imienia złupić szwajcarskie banki, francuskie koleje czy firmy, takie jak IBM, oskarżone o to, że „bez nich Holocaust byłby niemożliwy” (trudno powstrzymać się tu od uwagi, że przede wszystkim byłby niemożliwy bez kredytów zainwestowanych w Hitlera w latach 30. przez JP Morgana i inne amerykańskie banki, do których, tak się jakoś złożyło, WJC nigdy się ze swymi roszczeniami nie zgłosił).

Z grubsza można powiedzieć, że antypolonizm płynie z dwóch źródeł. Jednym jest sama „religia Holocaustu”, która z zasady odrzuca istnienie jakichkolwiek innych ofiar niż żydowskie. „Holokaustianizm” prowadzi do atakowania Polski i fałszowania historii z przyczyn dogmatycznych – ponieważ Polacy chcą się uważać za ofiarę hitlerowskich Niemiec, a ofiara może być tylko jedna. Nie chcę tu wyważać otwartych drzwi, pisał o tym wystarczająco wiele Paweł Lisicki

w książce „Krew na naszych rękach?” – i książka ta powinna być dla wszystkich obowiązującą lekturą.

W ostatnich tygodniach łatwo jednak było zauważyć, że nawet najbardziej szowinistycznym mediom i ośrodkom żydowskim trudno było przebić w gorliwości atakowania i poniżania Polski media polskojęzyczne, te związane z obozem przegranym w ostatnich wyborach. To tu, wcale nie za granicą, antypolski stereotyp jest głoszony z największą namietnością, stąd płyną na cały świat zapewnienia o polskiej winie i wezwania, by Polskę atakować z całą surowością. To tu fabrykowane są „dowody” i autorytety używane do krzewienia antypolonizmu.

Nie zrozumie tego ten, kto nie zdaje sobie sprawy, że odsunięte od znaczenia elity III RP miały charakter postkolonialny, z typową dla tego rodzaju formacji społecznej pogardą dla własnych tubylców. Tresowanie tych tubylców wstydem, ustawiczne chłostanie ich pogardą własną i świata, a szczególnie mobilizowanie przeciwko polskiemu „ciemnogrodowi” oburzenia Zachodu – w lokalnej realizacji postkolonialnej mentalności będącego naszym „bwana kubwa” („białym człowiekiem”) – to nawet nie strategie elit III RP, ale jej podświadome, niezwykle silne odruchy. Właśnie dlatego każdy, kto chce dziś Polskę poniżyć, bez trudu może powołać się na dziesiątki „świadectw” „wybitnych polskich autorytetów” i „liderów opinii”. I odwrotnie – każdy atak na Polskę spotyka się z aplauzem „autorytetów” z – jak nazwali to internauci – „tefałów” totalnej opozycji.

Z chwilą, gdy Polacy po ćwierć wieku myślenia głównie o swojej sytuacji materialnej, o owej „ciepłej wodzie w kranie”, zaczęli upominać się także o godność – a na tym, w najszerszym sensie, polega proces, który doprowadził do rządów PiS – do zderzenia z antypolonizmem musiało dojść prędzej czy później. Niefortunna i – szczerze mówiąc – niemądra ustawa była jak zamach w Sarajewie, o którym historycy wiedzą, że gdyby nie on, do wojny światowej i tak by doszło, tylko najwyżej pod innym pretekstem.

Zupełnie inna sprawa – że weszliśmy do tej wojny zupełnie bezwiednie, nieprzygotowani i nieuzbrojeni. O to rzeczywiście można, a nawet należy mieć do rządu pretensje i domagać się, aby z tej lekcji wyciągnął naukę. To już jednak trochę inna sprawa. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Robert Bogdański

Co w obrazie o Holokauście pozostawimy dla świata? Czy znajdzie się miejsce dla bohaterskich postaw Polaków czy tylko dla zbrodni?

Twitter zbliża ludzi. Przeglądając posty osób używających frazy #PolishDeathCamps, natknąłem się na Dany'ego Bahara. To mieszkający w Waszyngtonie ekonomista o korzeniach wenezuelsko-izraelskich, który nauki pobierał na Harvardzie, a zajmuje się m.in. migracjami. Ostatnio wieszczy katastrofalny exodus z Wenezueli. Chyba słusznie.

Babcia Dany'ego Bahara urodziła się w Gdańsku i ocalała z Holokaustu, ale jej rodzice i cztery siostry – nie. Zginęły w #PolishDeathCamps, jak napisał ten sympatycznie wyglądający na zdjęciu trzydziestoparolatek. Na uwagę twitterowicza, że to określenie jest nieprawdziwe, bo obozy były niemieckie, Bahar odpowiedział: „Oczywiście. Nazistowskie Niemcy stworzyły obozy. Ale kolaboracja Polaków jest szeroko udokumentowana”.

Dany Bahar to jeden z wielu Amerykanów o żydowskich korzeniach, w wieku 30–40 lat, który mówi z przekonaniem o tym, że Polacy są winni zbrodni w czasie II wojny. Używa on przy tym określenia „Polish people”, które oznacza zbiorowość: naród, społeczeństwo, wspólnotę. Nie ma wątpliwości, że mówiąc o odpowiedzialności Polaków, Dany Bahar ma na myśli szeroką zbiorowość, a nie działające w oderwaniu od społeczeństwa jednostki. Dany Bahar wie.

Zajęty pracą badawczą w swojej dziedzinie nie ma on zapewne wiele czasu, aby bezpośrednio studiować zagadnienia Holokaustu na terenach Polski. Skąd więc czerpie swą tak zdecydowanie sformułowaną wiedzę o tym, co działo się nad Wisłą 40 lat przed jego urodzeniem? Zapewne od swojej babki, która mogła z nim o tym rozmawiać. Jednak świadectwo jednej osoby, choćby najbliższej, nie usprawiedliwia stwierdzenia, że kolaboracja Polaków jest „szeroko udokumentowana”, a Dany Bahar posługuje się językiem precyzyjnie. Skąd zatem?



Dany Bahar patrzy na Polskę

Izraelska publicystka Amanda Borschel-Dan napisała ostatnio w internetowym piśmie „The Times of Israel” obszerny artykuł pt. „Współudział Polaków w mordowaniu Żydów jest poważnie zaniżany, twierdzą naukowcy”. Tekst ten powstał po uchwaleniu polskiej ustawy o IPN i w oczywisty sposób do niej się odnosił. Bardzo możliwe, że to właśnie jej tekst, a może podobny, stał się źródłem tak niezachwianej wiary Dany'ego Bahara w zbiorową winę Polaków. Warto mu się więc przyjrzeć.

KREATYWNA MATEMATYKA

Esencja tekstu, zgodnie z zasadami sztuki dziennikarskiej, została wyłożona w podtytule, który brzmi: „Według pochodzącego z roku 1970 artykułu z rąk polskich sąsiadów zginęło 200 tys. Żydów. Nowe prawo może utrudnić publikowanie tych danych”. Zostawmy na boku kwestię połączenia działania ustawy o IPN ze sprawą publikacji badań naukowych, notabene autorka artykułu, cytując zapisy ustawy, pomija fragment o tym, że spod jej działania badania

naukowe są wyłączone... Zajmijmy się szokującą liczbą 200 tys. żydowskich ofiar „polskich sąsiadów”.

Przytaczając tę liczbę, autorka powołuje się na artykuł żydowskiego badacza, ocalałego z Holokaustu Szymona Datnera, który w 1970 r. opublikował tekst zatytułowany „Zbrodnie hitlerowskie na Żydach zbiegłych z gett”. Oczywiście sama tego artykułu nie czytała, bo nie zna polskiego. Powołuje się na historyków, którzy jej o tym powiedzieli, na dr Havi Dreyfuss, badaczkę z Yad Vashem, oraz na prof. Jana Grabowskiego z Uniwersytetu w Ottawie i polskiego Centrum Badań nad Zagładą Żydów. Oboje mówią o liczbie 200 tys. Żydów zabitych przez Polaków i oboje powołują się na Datnera.

Co napisał Datner? A raczej – czego nie napisał? Nie napisał tego, że 200 tys. Żydów zginęło z rąk Polaków. Przeciwnie, w artykule z 1970 r. można przeczytać, że spośród Żydów zbiegłych z gett ok. 100 tys. zostało uratowanych dzięki pomocy ludności polskiej, natomiast ok. 100 tys. zginęło, dostawszy się w ręce „organów okupacyjnych”. Datner podkre-



FOT. KRYSZTOF MAJ/FORUM

Zbyteczne dodawać, że nigdzie u Datnera nie znajdziemy takiej kalkulacji. W „Lesie Sprawiedliwych” pojawia się jedynie zdanie, że w roku 1942 „zginęło ok. 90 proc. Żydów polskich”, ale nie ma ono charakteru wyliczenia, a raczej znaczy tyle, co „olbrzymia większość”.

Profesor Grabowski z trzech liczb rzuconych przez Datnera: ok. 100 tys. uratowanych i ok. 100 tys. zamordowanych spośród uciekinierów z gett oraz 90 proc. wymordowanej społeczności żydowskiej buduje konstrukcję, której Szymon Datner nie zaprojektował, a której zwieńczeniem jest szokująca liczba 200 tys. Żydów zamordowanych przez „polskich sąsiadów”. Wykorzystując autorytet zmarłego żydowskiego badacza, dodaje nieco protekcyjnie, że badania prowadzone przez zespół kierowany przez niego i Barbarę Engelking doprowadziły do podobnych wniosków, do jakich rzekomo doszedł Datner. „Nie był on daleko od prawdy” – rzuca Grabowski.

Liczba 200 tys. żyje już własnym życiem. Pisz o niej jako o czymś całkowicie oczywistym Marek Beylin w „Gazecie Wyborczej”, przytacza ją jako dowiedziony naukowo fakt autor artykułu wstępnego londyńskiego „Guardiana”, uznaje też za dowiedzioną autorka „The Times of Israel”, Amanda Borschel-Dan. Dany Bahar mógł czytać te teksty (z wyjątkiem Beylina) i przeczyta zapewne inne teksty, jakie dopiero powstaną. Będą one zawierały tę samą liczbę i być może powołanie na Szymona Datnera. A niektóre z nich będą zawierały triumfalny wniosek, że „Polacy zabili więcej Żydów niż Niemców”.

W tym momencie dyskusji pojawia się zwykle refleksja nad tym, czy warto w ogóle wdawać się w takie, jak to niektórzy nazywają, „wyliczanki”. Czy warto „licytować się” liczbami ofiar i katów? Zapewne sens tej refleksji zależy od nastawienia. Co właściwie chcemy osiągnąć i do czego dojść, rozmawiając o zbrodniach z przeszłości?

WYBÓR DROGI

Na stronie Centrum Badań nad Zagładą można przeczytać mądrze na pierwszy rzut oka brzmiącą myśl: „Czy statystyka zdolna jest sięgnąć do sedna doświadczenia Zagłady, czy też jest wobec niego bezradna?”. W innym zaś miejscu czytamy: „Wymowa liczb jest nieubлагana: dwóch spośród trzech

Żydów poszukujących ratunku – zginęło”. Więc jak? Liczby są ważne czy nieważne?

Problem w tym, że oba zdania dotyczą pozycji o różnym wydźwięku. Pierwsze zaczerpnięte jest z opisu książki Gunnara Paulssona „Utajone miasto”, w której autor zawarł przejmujący opis ratowania Żydów w Warszawie, wyliczając, jak wielka liczba Polaków musiała być zaangażowana, aby przeżył choć jeden Żyd. Drugie zdanie pochodzi z opisu niewydanej jeszcze książki pod redakcją Jana Grabowskiego „Dale jest noc”, która ma służyć udowodnieniu tezy o 200 tys. żydowskich ofiar Polaków. Wyraźnie więc widać, że dla osoby redagującej wzmianki o książkach liczby tracą sens, gdy dotyczą poświęcenia Polaków, natomiast nabierają sensu, gdy opisują zbrodnie Polaków.

Szymon Datner chciał oddawać honor Sprawiedliwym, czując zapewne, że po koszmarze wojny i Zagłady trzeba spoglądać na jasne, na całkowicie aspekty życia. Pisał tak: „Gdyby miliony Polaków chciały poddać się tym okupacyjnym nakazom i współpracować z Niemcami, nie ocalałyby ani jeden lub niemal ani jeden Żyd. [...] Pomocą było nawet »niezauważenie« Żyda, milczenie – jako punkt wyjścia dla przeciwstawienia się i aktywnej pomocy”.

Jan Grabowski chciałby, aby polskie społeczeństwo „spojrzało horrorom w twarz”, jak to określił w niedawnym wywiadzie dla „Polityki”.

To dwa różne podejścia ludzi z dwóch różnych pokoleń. Datner, ocalały z Zagłady, który na własne oczy widział, jak wyglądał tamten świat, chce pokazać lepsze strony ludzkiej natury. Grabowski, urodzony 20 lat po rozpoczęciu akcji „Reinhardt”, chciałby pokazywać przede wszystkim zbrodniarzy i zbrodnie, minimalizuje przy tym skalę polskiej pomocy oraz relatywizuje zagrożenia, jakie wiązały się z jej udzielaniem. W jednym z artykułów całkowicie poważnie stwierdził, że nie tylko za pomoc Żydom groziła w Polsce kara śmierci, lecz także za opowiadanie dowcipów czy posiadanie radia, a przecież ludzie trzymali radia i opowiadali dowcipy o wiele częściej, niż ukrywali Żydów...

Jakie nastawienie w nas zwycięży? Co będziemy chcieli ocalić dla siebie i dla świata? Czy pójdziemy drogą Datnera, czy Grabowskiego? Gdzieś tam, w Waszyngtonie, czeka na efekt naszych sporów ekonomista Dany Bahar.

Z George'em
Friedmanem,
politologiem
rozmawia
Marcin Makowski



MARCIN MAKOWSKI: Gdy mówi pan o Polsce, powracającym tematem staje się wołanie o polityczny realizm. „Liczyć najpierw na siebie, dopiero później na sojuszników”. Łatwo powiedzieć. Jednak od czego zacząć?

GEORGE FRIEDMAN: Na waszym miejscu zacząłbym od przypomnienia sobie września 1939 r., gdy całkowicie zaufaliście zewnętrznej interwencji oraz odsiecz y z Zachodu. Przez to popełniliście błędy taktyczne w rozlokowaniu armii, która mogłaby się bronić dłużej i skuteczniej. Polski realizm polityczny powinien zatem wynikać z wiedzy o przeszłości, a nie z wiary w traktaty. Dzisiaj niektórzy mówią, że wydawanie 2 proc. PKB na obronność to za dużo. A ile byście wydali w 1939 r., aby uniknąć dwóch okupacji?

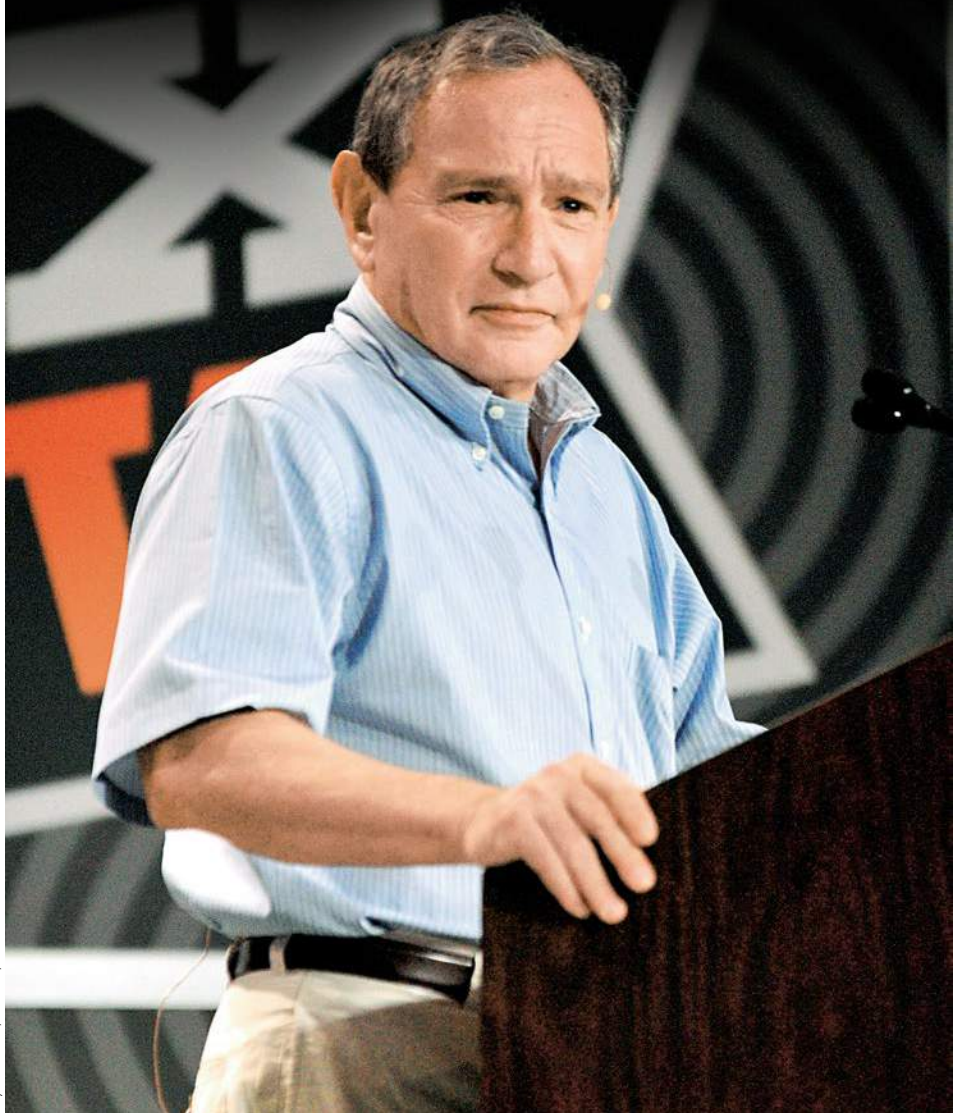
Dobre pytanie.

Mimo wszystko nikomu nie udało się was pokonać do końca. Obecnie korzystacie z wyjątkowego czasu bezpieczeństwa i suwerenności, wreszcie możecie w pełni stanowić o swojej przyszłości. Żeby nie popełnić tych samych błędów, musicie cały czas pamiętać, że inni mogą wam pomóc, ale Polski nie zastąpią.

Z przeszłości możemy się uczyć, ale coraz częściej budzi ona demony. Po zamieszczeniu związanym z nowelizacją ustawy o IPN na globalnej arenie mówi się o Polakach jako cenzorach, którzy nie rozliczyli się z Holokaustem. Czy tę narrację da się jeszcze obrócić na naszą korzyść?

Myszę, że straty są nadal do naprawienia, tylko musicie zdać sobie sprawę z sytuacji, w której się znajdujecie. Świat chce zrobić z was faszystów, ale nimi nie jesteście. Jesteście narodowymi romantykami, a to nie to samo. Pamiętajcie również, że słowa mają znaczenie, ale nie warto nimi zaklinać rzeczywistości. Po co unikać tematu polskich kolaborantów? Skoro byli w każdym kraju okupowanej Europy, od Holandii do Francji, to byli też w Polsce – to nie czyni waszego narodu odpowiedzialnym za Holokaust. W obecnym sporze trzeba również pamiętać, że

Polska wkracza do grona rozgrywających



FOT. JORDAN WILKINSON/WIREIMAGE.COM, GETTY IMAGES

to, jak działa rząd, jest odzwierciedleniem jego politycznych priorytetów, niekoniecznie jednej i obiektywnej prawdy historycznej. Inne rządy mają swoje interesy, które będą wchodzić w konflikt z waszymi. Jeśli zaczyna się dyskusję na temat tak drażliwej jak odpowiedzialność za zbrodnie II wojny światowej, to trzeba być przygotowanym na ostre reakcje.

Tego przygotowania zabrakło?

Odpowiem panu dwoma pytaniami skierowanymi do polskiego rządu. Po pierwsze: Czy ta ustawa była absolutnie konieczna? Po drugie: Jeśli była, to jaką cenę jesteście w stanie za nią zapłacić? Na razie nie jest ona jeszcze zbyt wielka, ale z dnia na dzień płacicie coraz cenniejszą walutą, czyli zaufaniem na arenie międzynarodowej. Wydaje mi się jednak, że rząd zdaje sobie z tego sprawę, i poprawki do ustawy, które odsuną zarzuty krępowania wolności słowa, zostaną wprowadzone w życie. Polska musi sobie w końcu uświadomić, że to, co robi i mówi, nie jest już skierowane tylko na użytek wewnętrzny. Świat zaczął się wam bacznie przyglądać.

Czyli potrzebujemy rewolucji w polityce zagranicznej?

Wydaje mi się, że tak. Jeszcze 10 lat temu nikt by się nie przejął, co Warszawa ma do powiedzenia na dowolny temat. W tej chwili nie macie już tego „komfortu”. Dlatego polska klasa polityczna musi pojąć, że jej metody, komunikacja i cele powinny się dostosować do pozycji dużego gracza w centrum Europy. Gdy uchwalacie kontrowersyjne ustawy, będą one komentowane również za oceanem – nie możecie się temu dziwić i udawać zaskoczonych. Wiele narodów przegapia ten moment w swoich dziejach, ale Polska właśnie w tej chwili ponownie wkracza do grona nie tylko rozgrywanych, lecz także rozgrywających. Niestety, wasza mentalność nie nadąża za zmieniającą się rzeczywistością. Nadal wielu waszych obywateli i przedstawicieli elit politycznych sądzi, że Polska jest biedna oraz nieistotna. To nieprawda.

Od wielu lat stara się pan nas do tego przekonać, mówiąc, że za 20 albo 30 lat Polska stanie się europejską potęgą. Skąd ten optymizm?

To nie optymizm, tylko trzeźwa ocena tempa wzrostu, zmian oraz potencjału waszego kraju. Niech pan spojrzy, że pomimo rozbuchanej propagandy Rosja jest dzisiaj osłabiona, a jej słabość pogłębia się od czasu upadku Związku Sowieckiego. Putin

stara się ją maskować agresywną polityką, ale to kolos na glinianych nogach. Z drugiej strony Niemcy przechodzą przez okres niepokojów politycznych, gasną gwiazdy znanych polityków, stare sojusze nie mają już takiej mocy, a coraz wyżej głowę podnoszą ruchy populistyczne oraz antysystemowe. Ta sytuacja siłą rzeczy stwarza okazję do nadrobienia strat spowodowanych wojną i komunizmem. Od czasu odzyskania niepodległości nie mieliście lepszej szansy niż teraz.

Mówi pan o Niemczech i Rosji, które od zawsze konkurowały o Polskę w kategorii stref wpływów. Czy sądzi pan, że w przyszłości również będziemy skazani na te dwa bieguny, a może istnieje trzecia droga, np. inicjatywa Trójmorza oraz budowy środkowoeuropejskiej przeciwwagi dla Berlina i Moskwy?

Polska nie jest na nic skazana. Ostatecznie również polityka Niemiec i Rosji ulega zmianie, a przez wieki w stosunku do Polski przechodziła liczne ewolucje. Przez lwią część waszej historii sprawnie manewrowaliście między obiema

Jak opisałby pan klucz do otwarcia serca amerykańskich polityków? Polska od dekad ściągą się w zawodach na „najwierniejszego sojusznika USA”, ale niewiele otrzymuje w zamian. Gdzie popełniamy błąd?

Po pierwsze, im częściej mówicie o konieczności militarnej obecności Ameryki w Polsce, tym mniej Ameryka będzie wam ufać. Jesteśmy bardzo zachowawczy, jeśli chodzi o szafowanie krwią własnych żołnierzy, dlatego sojusze, w które się angażujemy, muszą być realne, a nie jednostronne. Polska musi się zastanowić, ile do tej relacji wnosi i ile może za to wymagać w zamian. Po drugie, skoro pyta pan o uczucia, to najprostszym sposobem na otwarcie serc decydentów Stanów Zjednoczonych jest otwarcie drzwi do Polski dla amerykańskich inwestycji i biznesu. Likwidując nadmierne regulacje oraz aktywnie ściągając firmy zza oceanu na polski rynek, najsukuteczniej przyczynicie się do budowania solidnych fundamentów sojuszu. W dyplomacji ostatecznie jest tak jak w każdym dobrym małżeństwie. Musisz coś dostać, musisz coś dać oraz udowodnić, że jesteś

Nadal wielu waszych obywateli i przedstawicieli elit politycznych sądzi, że Polska jest biedna oraz nieistotna. To nieprawda

potęgami. Dzisiaj również możecie to robić, wykorzystując czas ich względnej słabości do jak największego usamodzielnienia i zwiększenia swojego potencjału gospodarczego oraz zbrojnego. Na pewno warto mieć oczy otwarte na innych europejskich sojuszników, choćby na Rumunię czy Węgry, równocześnie dokładając do tej geopolitycznej układanki potencjał Stanów Zjednoczonych. Pod tym względem inicjatywa Trójmorza wydaje się uszyta na miarę, ale musicie sobie zdawać sprawę ze wszystkich konsekwencji wprowadzenia jej w życie. Takie przeorientowanie dyplomacji ściąga Polskę bardziej w kierunku południa oraz Bałkanów. To nadal bardzo niestabilny region ze stale rosnącymi ambicjami Serbii, nie wiem, czy Polska powinna się w obecnej sytuacji w tamte sprawy mieszać. Dlatego sądzę, że Trójmorze to projekt przyszłości, ale krótkoterminowo to najbliżsi sąsiedzi oraz USA są podporą polskiego bezpieczeństwa międzynarodowego. Oczywiście, tak jak już wcześniej mówiłem, podporą, ale nie kimś, kto może Polskę w walce o własne interesy zastąpić.

się w stanie dla kogoś poświęcić. Dobrze, żeby wasz rząd miał świadomość tego, że po II wojnie światowej Ameryka zrobiła się niezwykle ostrożna pod względem relacji z państwami, które chcą naszej ochrony, ale niewiele mogą dać w zamian.

I w tej optyce jesteście brzydką panną bez posagu czy kimś więcej?

Zdecydowanie kimś więcej. Nasze kraje łączy również pewien zestaw wspólnych przekonań kulturowych, zasad oraz tradycji suwerennościowych. To pomaga na równi z otwarciem się na amerykański kapitał i wymianę doświadczeń militarnych. Na koniec dnia trzeba iść jednak spać ze świadomością, że Polska nigdy nie będzie Ameryką, a Ameryka Polską. Na arenie międzynarodowej małżeństwa zawiera się tylko z rozsądku.

Jest pan uważnym obserwatorem polityki Donalda Trumpa. Czy myśli pan, że jego kadencja jest autentyczną szansą na historyczny postęp w relacjach bilateralnych?

Proponuję spojrzeć na to zagadnienie z innej perspektywy. Decyzja o rozłoko-

Waniu rotacyjnych kontyngentów amerykańskich w Polsce została podjęta jeszcze przez administrację Baracka Obamy. Gdyby Trump postanowił ją zmienić, spotkałby się z ogromnym sprzeciwem w Kongresie. Polacy często popełniają podstawowy błąd, sądząc, że to prezydent osobiście odpowiada za kierunek polityki amerykańskiej i jeżeli wygra akurat ten, któremu w jakiejś mierze bliżej do Europy, to nastanie złota era współpracy. Myślę, że właśnie Donald Trump powinien otworzyć niektórym oczy, jak fałszywa jest to teza i jak ważna jest uważna analiza autentycznego procesu decyzyjnego w USA.

Tylko my mamy ten problem?

Nie tylko. Wiele państw zanadto skupia się na pytaniu: Co zrobi Trump? Tymczasem ciężar władzy w Ameryce spoczywa na wielu barkach. Nie jesteśmy europejską demokracją parlamentarną, a głowa państwa nie jest jej centrum. To nie Biały Dom nazywany jest Kapitołem, a budynek Kongresu. Jeśli chce się tworzyć długofalowe i silne sojusze ze Stanami, to trzeba sobie ten fakt uświadomić i zacząć zwracać większą uwagę na dialog z kongresmenami, którzy rządzą dłużej niż prezydent. To w kwe-

Czyli powinniśmy działać podobnie do Chińczyków, którzy właściwie do każdego kongresmana przypisują osobnego dyplomatę i lobbystę?

To byłoby rozwiązanie idealne, ale niemożliwe w swojej skali dla Polaków. To, co wy realnie możecie zmienić na lepsze, to zastanowić się, jak w pewnych aspektach przeskoczyć parę szczebli, i zamiast zabiegać o niewiele wnoszące spotkanie oraz sesję fotograficzną z jednym czy drugim urzędnikiem, spotkać się bezpośrednio z właścicielem ogromnej korporacji, który może być zainteresowany nowymi inwestycjami.

Dobrze, ale teraz odwróć perspektywę. Czy w takim razie Amerykanie perfekcyjnie rozumieją specyfikę polskiej polityki? Czy mają jakieś wysiłki, żeby uświadomić sobie, dlaczego mówienie o „polskich obozach śmierci” jest dla nas tak bolesne?

Dyplomaci skierowani na odcinek polski mają świadomość wielowątkowej kultury i złożonej historii waszego narodu. Na szczęście polski parlamentaryzm i instytucje są o wiele prostsze, co nie znaczy, że je bagatelizujemy. Poszczególne konsulaty mają utworzone specjalne komórki do analizy sytuacji politycznej na miejscu. Według mojej wiedzy działają one na zadowalającym poziomie.

Każdy stan USA jest jak inne państwo. Nie da się z nami uprawiać skutecznej dyplomacji, jeśli się tych różnic nie czuje

stii polityki. Jeśli chodzi o ekonomię, to trzeba z kolei świetnie współpracować z władzami stanowymi. Ameryka to ogromny kraj. Sama Kalifornia, gdyby nagle uzyskała niepodległość, byłaby siódmą gospodarką świata. Teksas, skąd pochodzę, byłby dziewiąty. Jeśli zatem chce się robić z nami duże interesy, to nie działa zasada „one size fits all” – „jeden rozmiar pasuje na wszystkich”. To brzmi jak truizm, ale każdy stan jest jak inne państwo. Alabama i Waszyngton to praktycznie dwa światy. Nie da się z nami uprawiać skutecznej dyplomacji, jeśli się tych różnic nie czuje. Czasami sięgają one nawet niżej niż stany, aż do samych struktur miejskich, które wraz z obszarami metropolitalnymi posiadają populację większą niż niektóre kraje w Europie. To jest skala i system skomplikowania, z którym trzeba się zmierzyć. Prezydent może pomóc, ale bez pracy u podstaw niewiele zmieni.

Zmieniając nieco temat, jest pan pesymistycznie nastawiony do sposobu funkcjonowania Unii Europejskiej. Czy jej upadek w obecnym kształcie to proces bez odwrotu?

Unia już dzisiaj nie funkcjonuje w kształcie, w którym zaczynała swoją misję. Niespełna dekadę temu byliśmy w zupełnie innej sytuacji, a co dopiero sięgać wzrokiem dekadę do przodu. Kryzys strefy euro, brexit, agresywna polityka wobec Polski i wzrost popularności partii eurosceptycznych oraz ruchów secesjonistycznych we Włoszech i w Hiszpanii. Jeśli spojrzeć się na ów pejzaż z góry, to pytanie nie brzmi już, czy Unia przetrwa taka, jaką ją znamy, tylko czy w ogóle przetrwa. Jak daleko jej dezintegracja może się posunąć? Czy tylko do modelu „dwóch prędkości”, a może jeszcze głębiej? Ile lat da się rozwijać bez wsparcia gospodarki brytyjskiej, w opozycji wobec Warszawy i ze słabnącą rolą Berlina? Przestrzegalbym jednak przed popularnym w Brukseli defetyzmem, rozumianym jako

koniec pewnej epoki. Europa to niesamowicie twórczy i plastyczny kontynent, który istniał stulecia przed Unią i będzie istniał stulecia po niej. Również państwa narodowe nigdzie się z tej Europy nie wyniosą. Wspólnota to ostatecznie związek traktatowy, który rozpoczął się od tworzenia stref wolnego handlu i, tak jak wiele związków w przeszłości, może wyczerpać swoją żywotność. To naturalny proces. Nie da się porównać Unii do Stanów Zjednoczonych, które mimo wszystko funkcjonują jako wspólnota narodowa sementowana wojną secesyjną, językiem i kulturą. Nie potrafię sobie wyobrazić nikogo w Europie, kto ruszyłby do wojny domowej, aby utrzymać Brukselę u władzy.

Jak w tej sytuacji powinna się zachować Polska? Przec uparcie w kierunku konfliktu z instytucjami unijnymi w pogoni za suwerennością, a może spasować, przyjąć euro i dołączyć do elitarnego klubu chwalonych za wzorową integrację?

To Polska sama musi odpowiedzieć sobie na to pytanie: Czy jej obecne problemy mogą być rozwiązane we wnętrzu obecnej wspólnoty politycznej, a może jej dezintegracja w nadchodzących latach będzie jedynie przysparzać nowych problemów? Natomiast jeśli chodzi o implementację euro, to jestem wobec tego projektu sceptyczny. Nie wydaje mi się, żeby polski wzrost gospodarczy w ostatnich latach był możliwy w takiej skali, gdybyście przyjęli wspólną walutę. Nie widzę żadnych potencjalnych zysków z rezygnacji z możliwości do kontrolowania i silnego złotego, widzę za to wiele przeciwskażeń. Europa Środkowo-Wschodnia podąża tym samym tropem poza Słowacją, która posiada euro. Nie sądzę, aby to był przypadek. Ostatecznie zatem pytanie o walutę, przyszłość Unii oraz Polski, brzmi: Czy wolicie być odpowiedzialni za własny los czy dostosowywać go do potrzeb Niemiec, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii albo Francji? Myślę, że Polska zna już odpowiedź, tylko musi ją wprowadzić w życie mądrze.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rozmowa odbyła się podczas zorganizowanej przez PMPG Polskie Media Polsko-Amerykańskiego Szczytu Przywództwa w Miami. „Do Rzeczy” było jego patronem medialnym.

George Friedman – politolog i jeden z najbardziej znanych na świecie analityków geopolitycznych. Założyciel oraz były dyrektor generalny prywatnej agencji wywiadu Stratfor.

NIEZAPOMNIANY KONCERT

16 MARCA
WROCŁAW
GODZINA 20.00

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta



BILETY DO NABYCIA | W kasach Narodowego Forum Muzyki we Wrocławiu. Kasa czynna od poniedziałku do piątku w godzinach 11:00–18:00

REZERWACJA BILETÓW | Rezerwacji biletów można dokonać telefonicznie od poniedziałku do piątku w godzinach 9:00–17:00 oraz w soboty w godzinach 15:00–20:30 pod numerem telefonu: +48 71 715 97 00. Rezerwacji można dokonać także e-mailowo pod adresem: rezerwacje@nfm.wroclaw.pl.

REZERWACJA ONLINE

WWW.NFM.WROCLAW.PL | BILETY.NFM.WROCLAW.PL

ORAZ

ORKIESTRA NFM
FILHARMONII
WROCŁAWSKIEJ
POD BATUTĄ
JANA STOKŁOŚY

NARODOWE FORUM MUZYKI PLAC WOLNOŚCI 1, WROCŁAW

MECENAT KONCERTU



WSPÓŁORGANIZATOR

Wrocław the meeting place

PARTNERZY



PATRONI MEDIALNI



eprasa.pl 93d7036a9c



Kamila Baranowska

Kryzys w relacjach polsko-izraelskich sprawił, że w obozie dobrej zmiany kwitną teorie spiskowe dotyczące tego, kto jest winien zamieszania i dlaczego musiało do niego dojść

Po wybuchu zamieszania związanego z nowelizacją ustawy o IPN i niespodziewaną, gwałtowną reakcją Izraela dość szybko w polityczno-dziennikarskim obiegu pojawiła się teoria spiskowa mówiąca o tym, że wszystko, co się stało, jest celową grą Zbigniewa Ziobry, obliczoną na osłabienie pozycji Mateusza Morawieckiego. Na kontrteorię nie trzeba było długo czekać. Z innych kręgów obozu Zjednoczonej Prawicy popłynęły opinie, że teorię o celowej grze Ziobry z premedytacją rozprowadzają po mediach i politykach ludzie z otoczenia premiera Morawieckiego, aby skompromitować nielubianego ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego.

Nie przesądzając, ile prawdy jest w każdej z powyższych teorii, sam fakt, że są one powtarzane przez polityków dobrej zmiany, pokazuje, że nie wszyscy uwierzyli w zawieszenie broni, które miało nastąpić między tymi dwoma ważnymi dla obozu Zjednoczonej Prawicy politykami.

Brak zaufania i wzajemna niechęć Mateusza Morawieckiego oraz Zbigniewa Ziobry nie były dla nikogo w PiS oraz okolicach tajemnicą. Ziobro do końca przekonywał prezesa, że odwołanie Beaty Szydło to zły pomysł. Przez ostatnie dwa lata Ziobro i Szydło zgodnie współdziałali, tworząc sojusz przeciwko rosnącemu w siłę i polityczną ambicję Morawieckiemu, którego wspierali Jarosław Gowin z Adamem Bielanem.

Kiedy okazało się, że decyzja o zastąpieniu Szydło Morawieckim zapadła ostatecznie, między Ziobrą a nowym szefem rządu miało dojść do porozumienia. – Morawieckiemu udało się dużo osiągnąć przy formowaniu swojego rządu. Pozbył się zarówno Macierewicza i Szyszki, którzy psuili mu wizerunek, jak i nielubianego Radziwiłła. Adamczy-

kowi, z którym też się nie dogadywał, ograniczył kompetencje. Dostał więc od prezesa Kaczyńskiego dużo, ale wyrzucenia Ziobry nie przewalczył – zwraca uwagę jeden z naszych rozmówców.

Kaczyński zastosował swój ulubiony polityczny manewr równoważenia poszczególnych polityków, tak by żaden z nich nie wybił się za bardzo na niepodległość. W tej sytuacji jeszcze przed zaprzysiężeniem nowego rządu Morawiecki i Ziobro spotkali się w cztery oczy oraz powiedzieli sobie, że postarają się ułożyć relacje na nowo – bez wzajemnego podgryzania. Dzisiaj wydaje się to nieaktualne.

Nasi rozmówcy wskazują, że premier – tak jak wszyscy w rządzie i PiS – był bardzo zaskoczony gwałtowną reakcją Izraela na nowelizację ustawy o IPN.

Ci, którzy widzieli go w tamtych dniach na posiedzeniu rządu, opowiadają, że był chodzącym kłębkim nerwów i powtarzał, że on nic złego przecież nie zrobił.

– Dlatego narracja, że to Ziobro i Jaki podłożyli mu tę świnie, mogła trafić na podatny grunt – wskazuje nasz rozmówca. Morawiecki potrzebował kilku

dni, by się otrząsnąć z szoku i rozpocząć kontrofensywę.

ZAWIROWANIA NARASTAJĄ

Teoria, jakoby Ziobro odpowiadał za obecny konflikt międzynarodowy, jest jednak kulawa – uważają z kolei sympatycy ministra sprawiedliwości. Mówią, że owszem, nowelizacja ustawy o IPN powstała w resorcie sprawiedliwości, ale to ani Ziobro, ani nikt z nim związany nie podjął decyzji o wyciągnięciu projektu z sejmowej zamrażarki właśnie teraz. A do tego w czasie, gdy wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki zajmował się ustawą, premierem była przecież Beata Szydło. – Poza tym jak rozsądnie myślący człowiek może uważać, że wywołujemy konflikt międzynarodowy, żeby komuś zrobić na złość? Przecież to w nas uderza tak samo jak w cały rząd – żył się zwolennik Ziobry. – Zamiast skupić się na walce o dobre imię kraju w sytuacji kryzysowej, powstają jakieś teorie i spiski. Szkoda na to czasu i energii – dodaje.

Tymczasem machina spiskowych teorii rozkręca się coraz bardziej. W ostatnich dniach pojawiła się kolejna, dotycząca zatrzymań CBA w sprawie



Wszędzie spisek



prywatyzacji Ciechu. 12 lutego agenci CBA zatrzymali sześć osób, w tym m.in. byłego wiceministra skarbu w rządzie PO-PSL. Wszyscy usłyszeli zarzuty. Śledztwo dotyczy „niedopełnienia obowiązków” przy sprzedaży w maju 2014 r. akcji Ciechu na rzecz spółki należącej do grupy biznesowej Jana Kulczyka. Natychmiast w mediach pojawiło się pytanie, czy przy tej okazji zostanie przesłuchany także premier Mateusz Morawiecki. Dlaczego? BZ WBK, którego był prezesem, udzielił firmie Kulczyka kredytu na zakup Ciechu. Gdy Onet.pl zastanawiał się, bazując na wypowiedziach posłów Platformy Obywatelskiej, czy premier zostanie przesłuchany w charakterze świadka, pojawił się komunikat prokuratury. „Nieprawdą jest, aby w śledztwie dotyczącym nieprawidłowości w prywatyzacji spółki Ciech SA, istniała konieczność dowodowa przesłuchania w charakterze świadka prezesa Rady Ministrów – Mateusza Morawieckiego” – napisał rzecznik Prokuratury Regionalnej w Katowicach (tam toczy się śledztwo).

Spora część polityków z obozu władzy uważa jednak, że zatrzymania akurat teraz i akurat w tej sprawie nie mogły być przy-

padkowe oraz że zarówno Ziobro, jak i Morawiecki doskonale o tym wiedzą. Zwłaszcza że śledztwo w tej sprawie toczy się od 2015 r. I tak jak w przypadku poprzednich teorii spiskowych także tym razem ludzie Ziobry twierdzą, że to ci od Morawieckiego rozpuszczają plotki o zemście, by ministrowi sprawiedliwości zaszkodzić. Oskarżają głównie Adama Bielana, polityka, który dziś jest blisko Morawieckiego, a z którym Ziobro jest skonfliktowany od lat.

Jeden z naszych rozmówców zwraca nam uwagę, że największe pretensje, przy najmniej te publiczne, są adresowane nie tyle do samego Ziobry, ile do jego zastępcy Patryka Jakiego, który przygotowywał nowelizację ustawy o IPN. I wskazuje, że w tle jest tu zupełnie inna rozgrywka. Chodzi o wybory samorządowe i walkę o prezydenturę Warszawy. PiS wciąż ostatecznie nie zdecydował, kogo wystawi do rywalizacji w stolicy. W grze są dwa nazwiska – marszałka Stanisława Karczewskiego i właśnie Patryka Jakiego. Z naszych informacji wynika, że Mateusz Morawiecki widziałby tam kogoś innego, człowieka ze swojego najbliższego otoczenia – Michała Dworczyka, szefa kancelarii premiera. Trudno będzie mu to jednak przewalczyć, bo choć Dworczyk w ostatnim czasie mocno zwiększył swoją obecność w mediach, to nadal jest postacią mało popularną i kompletnie nierozpoznawalną. A czasu do wyborów pozostało niewiele.

Trudno powiedzieć, komu teorie spiskowe bardziej dziś szkodzą – Ziobrze czy Morawieckiemu. Jarosław Kaczyński potrzebuje w rządzie ich obu i obaj zdają sobie z tego sprawę.

Paradoksalnie jednak obecny kryzys międzynarodowy wzmacnia szefa rządu. – Co było największym problemem Morawieckiego? To, że nie jest z PiS-owski bajki. Było to widać po reakcji części naszych zwolenników, którzy nie mogli pogodzić się z odejściem Beaty Szydło. To ją uważali za premiera idealnego, Morawiecki nie wzbudzał zaufania – tłumaczy polityk PiS.

CISZA W OKU CYKLONU?

Teraz to się zmienia. Twardy elektorat PiS jest zachwycony nieustępliwą postawą szefa rządu i stoi dziś murem za Morawieckim. – Im bardziej jest atakowany, tym więcej sympatii budzi u zwolenników PiS, tak to już działa. Ten konflikt uwiarygodnia go na prawicy – konstatuje nasz rozmówca. Takiego uwiarygodnienia nie potrzebuje Ziobro. Nawet gdy porzucił

PiS, cieszył się dużą popularnością wśród prawicowych wyborców. Teraz cieszy się nią tym bardziej. Gorzej jest z kolegami z dawnej partii. W PiS do dziś wielu uważa za niewychowawcze to, że Ziobro pełni tak ważną funkcję w rządzie.

Słabe zakotwiczenie w PiS to także bolączka Morawieckiego. Jego otoczenie pracuje jednak intensywnie nad zmianą tego stanu rzeczy. Temu miało służyć niedawne zaproszenie posłów PiS do kancelarii premiera na spotkanie z Morawieckim. Posłowie podśmiewali się nieco ze sztywnej atmosfery i bankietowych stołów, ale docenili gest premiera, bo wcześniej takich spotkań, rozmów i konsultacji nie było. – Morawiecki umiejętnie buduje swoją pozycję, grając na kilku frontach. Z jednej strony eliminuje swoje słabe punkty, z drugiej dba o to, by dobrze odczytywać oczekiwania prezesa Kaczyńskiego. I to mu się udaje – mówi polityk z rządu.

Jarosław Kaczyński jest zadowolony ze swojej decyzji, by zrobić Morawieckiego premierem. Mówił o tym choćby w ostatnim wywiadzie dla „Do Rzeczy”. – Bardzo sobie cenię Mateusza Morawieckiego. Chociaż jest w polityce świeży, to dobrze sobie radzi. Sprawdza się, jest bardzo pracowity, nabiera doświadczenia – stwierdził prezes.

Ziobro musi zdawać sobie sprawę, że im bardziej rośnie znaczenie Morawieckiego, tym bardziej jego wpływy mogą być zagrożone. Także te w spółkach Skarbu Państwa, o które miał z Morawieckim najwięcej zgrzytów.

Media spekulują, że test, jak się mają relacje premiera i prokuratora generalnego, może nastąpić już pod koniec lutego. Wtedy ma się odbyć walne zgromadzenie PZU, w którego programie są m.in. zmiany w radzie nadzorczej. Dzisiaj w tej spółce Skarbu Państwa karty rozdają ludzie Ziobry. Już raz Morawiecki próbował to zmienić, wtedy zainterweniowała premier Beata Szydło, obejmując bezpośredni nadzór nad spółką i zachowując w niej wpływy Ziobry. Wszyscy zastanawiają się, czy przypadkiem Morawiecki nie zechce powtórzyć próby. – To bzdura, chodzi o czystą formalność, trzeba uzupełnić skład rady, bo jeden z członków zmarł. Rozumiem, że fani teorii spiskowych będą bardzo zawiązani – komentuje jeden z naszych rozmówców. Tylko przez chwilę, do czasu powstania nowych. Produkcja teorii spiskowych to jedno z ulubionych zajęć wszystkich polityków.



Maciej Pieczyński

Penalizacja banderyzmu to negowanie ukraińskiego ruchu niepodległościowego – takie głosy słychać znad Dniepru. Nowelizacja ustawy o IPN jest nieprecyzyjna i może być nieskuteczna. Warto jednak pamiętać, że w polsko-ukraińskim sporze o historię to Kijów pierwszy rzucił kamieniem

Nie akceptujemy kolejnej próby narzucenia jednostronnej interpretacji wydarzeń historycznych – tak na zmiany w ustawie o IPN zareagowało MSZ Ukrainy. W specjalnym oświadczeniu resortu czytamy również: „Ukraińska tematyka po raz kolejny jest wykorzystywana w wewnętrznej polskiej polityce, a tragiczne strony wspólnej przeszłości wciąż są upolitycznianie”. Nowelizację potępiła też Rada Najwyższa. Wołodymyr Wjatrowycz, szef ukraińskiego IPN, stwierdził, że nowe zapisy to krok w kierunku wprowadzenia cenzury. Penalizacja może jego zdaniem uderzyć również w polskich autorów, którzy piszą o UPA, nie uważając jej działalności za zbrodniczą. „Bez wolności słowa niemożliwa jest demokracja. Dowiodły tego doświadczenia naszego wschodniego sąsiada” – skomentował na Facebooku. Porównanie Polski do Rosji i pouczanie na temat demokracji w ustach manipulującego historią zwolennika kultu OUN/UPA brzmi groteskowo.

Oficjalne oburzenie Kijowa ociera się natomiast o hipokryzję i moralność Kalego. Na pytanie „Kto zaczął mieszać politykę do historii?”, odpowiedź jest bowiem jednoznaczna. Nad Dnieprem często mówi się, że wojnę o historię wypowiedział polski Sejm podjętą w lipcu 2016 r. uchwałą o ludobójstwie, a tzw. penalizacja banderyzmu była tylko kolejnym krokiem przeciw Ukrainie. Możliwe zresztą, że nie byłoby ani jednej, ani drugiej decyzji, gdyby nie Kukiz’15. Politycy tego ruchu od dawna apelowali o zaostreżenie polityki historycznej wobec Ukrainy. PiS, tradycyjnie przecież proukraiński (Jarosławowi Kaczyńskiemu do dziś wypomina się występy ramię



w ramię z Tiahnybokiem na Majdanie), wpisał się w tę retorykę, zapewne w obawie przed okrażeniem z prawej strony.

Tak czy inaczej, w sporze o historię pierwsze uderzenie przypuścił Kijów. 9 kwietnia 2015 r., tuż po wizycie Bronisława Komorowskiego i bardzo proukraińskim przemówieniu polskiego prezydenta, Rada Najwyższa uchwaliła pakiet ustaw dekomunizacyjnych, które przewidywały m.in. obejmującą również cudzoziemców odpowiedzialność karną za negowanie działalności niepodległościowej OUN/UPA oraz za znieważanie bojowników tych organizacji. – Strona polska niejednokrotnie apelowała o zmianę tych przepisów. Brak reakcji na te głosy zapewne przyczynił się do takiego, a nie innego kształtu nowelizacji ustawy o IPN w części ukraińskiej – mówi „Do Rzeczy” prof. Grzegorz Motyka, historyk z Polskiej Akademii Nauk.

SPUŚCIZNA A ZBRODNI

O tym, że Ukraina w tej sprawie nie jest bez winy, przypomina na portalu Europejska Prawda Olena Babakowa. Krytykuje zarówno polską, jak i ukraińską „ideologię narodowego mesjanizmu”. Proponuje przy tym, by Kijów wykreślił penalizację ze swojej ustawy i ostatecznie odciął się od SS-Galizien. Ten głos

rozsądku nie jest jednak popularny na Ukrainie. I to nawet wśród środowisk liberalnych, proeuropejskich. – Samo użycie terminu „ukraiński nacjonalista” w negatywnym kontekście jest próbą upolitycznienia historii. Mówię to z żalem, jako zwolennik sojuszu pomiędzy naszymi narodami. Ukraiński nacjonalizm doprowadził do odbudowy ukraińskiej państwowości, podobnie jako polski nacjonalizm doprowadził do odbudowy polskiej państwowości – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” Witalij Portnikow, dziennikarz ukraińskiej rozgłośni Radia Swoboda, współprzewodniczący Polsko-Ukraińskiego Forum Partnerstwa.

Przeciwko nowelizacji pod polskimi placówkami dyplomatycznymi w Kijowie, we Lwowie, w Łucku, Winnicy, Odesie i Charkowie protestowali działacze nawiązujących do tradycji OUN/UPA organizacji nacjonalistycznych. „Nie dla polskiego szowinizmu!”, „Nie śmiecie ruszać naszych bohaterów!”, „Dziś banderowcy i was bronią na wschodzie Ukrainy”, „Bandera, Szuchewycz – bohaterowie narodowi, walczyli za naszą wolność”, „Jesteśmy banderowcami i jesteśmy z tego dumni!” – takie treści pojawiły się na transparentach protestujących działaczy partii Swoboda. – Polacy zakazali ukraińskiego nacjonalizmu. Na Ukrainie



też zbrodnia, jednak nieporównywalna z masowymi mordami ludności cywilnej. Stawianie znaku równości pomiędzy czystką etniczną a pojedynczymi zabójstwami to tak naprawdę dostarczanie argumentów tym, którzy twierdzą, że wołyńskie ludobójstwo nie było niczym szczególnym – zauważa prof. Motyka.

AKTY TERRORU A LUDOBÓJSTWO

„W oczach prokuratora jestem bandytą. Jednak dla wszystkich ludzi, którzy rozumieją, czym jest wolność i niezależność narodu, i w jaki sposób pojedynczy członkowie narodu chcą ją zdobyć – ja nie jestem bandytą” – tak przed polskim sądem w 1926 r. tłumaczył się Iwan Paśławski, oskarżony w procesie ukraińskich sabotażystów z UW. Z kolei Wołodmyr Makar wspomina, że podczas pobytu w Berezie Kartuskiej on i jego towarzysze broni z OUN zaczytywali się w dziełach Piłsudskiego. W założeniu władz ta lektura miała przekonać ukraińskich terrorystów do przejścia na stronę polską. Oni jednak uczyli się od Piłsudskiego metod konspiracyjnych, które stosował jeszcze jako przywódca Organizacji Bojowej PPS...

Dlatego właśnie Ukraińcy chętnie porównują Banderę do Marszałka. Porównanie krzywdzące dla Piłsudskiego, ale jednak z perspektywy Kijowa OUN i UW przed wojną walczyły o niepodległość. Na nazywanie tej działalności zbrodniczą mogą odpowiedzieć – i odpowiadają – oskarżaniem II Rzeczypospolitej o imperializm i okupację Ukrainy Zachodniej, przypominaniem akcji pacyfikacyjnych czy burzenia cerkwi. Tego typu neokolonialny dyskurs może znaleźć zrozumienie na Zachodzie.

Andrij Bilecki, lider nacjonalistycznej partii Korpus Narodowy, komentując ustawę o IPN dla telewizji NewsOne, stwierdził, że penalizacja to „droga donikąd”, bo jeśli Kijów i Warszawa zaczną się licytować na penalizację historii, to w końcu nad Dnieprem zabronią „heroizacji Jaremy Wiśniowieckiego”. Wywołał w pewnym sensie wilka z lasu: premier Morawiecki przypomniał bowiem niedawno o mordach na Żydach dokonanych przez powstańców Chmielnickiego, którego Jarema w „Ogniem i mieczem” skwitował pogardliwym określeniem „buntownik, nie hetman”. W obronie przywódcy kozackiego wystąpiły rosyjskie media, które jeszcze niedawno z taką nienawiścią odnosiły się do „faszystowskiej, bande-

rowskiej junty kijowskiej”. Wsparcie z Moskwy dla Kijowa w tej sprawie nie dziwi: Chmielnicki za ugodę perejaśławską już w czasach sowieckich był personifikacją rosyjsko-ukraińskiego sojuszu. Niezależnie od rosyjskich intencji przywódca kozacki wciąż jest na Ukrainie bohaterem. Powstaje zatem pytanie, jak daleko wstecz powinna sięgać polska polityka historyczna w poszukiwaniu godnych potępienia ukraińskich zbrodni...

– Przedwojenne akty terroru to również zbrodnie ukraińskich szowinistów. Pamiętajmy, że były one często wymierzone w tych, którzy działali na rzecz polsko-ukraińskiego pojednania – mówi „Do Rzeczy” Tomasz Rzymkowski. Poseł Kukiz'15 nie obawia się, że nowelizacja ustawy o IPN wzmocni antypolonizm. – Eskalacja banderyzmu i tak już osiągnęła apogeum niezależnie od tego, jakiej ustawy byśmy nie przegłosowali – dodaje Rzymkowski.

– Dobrze, że nowelizacja objęła również okres międzywojenny, bo także wówczas ukraińscy nacjonaści dokonali zbrodni na Polakach. Mordowali nawet zwolenników ugody z Ukraińcami, takich jak Tadeusz Hołówko, czy Ukraińców, którzy chcieli porozumieć się z Polakami, czego przykładem jest zabójstwo Iwana Babija, dyrektora lwowskiego gimnazjum. Nie rozumiem jednak, skąd wziął się rok 1950 jako data końcowa – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. – Wprowadziłbym pewną korektę do zapisów. Czym innym były akty terrorystyczne wymierzone w konkretnych przedstawicieli państwa polskiego, czym innym zaś ludobójstwo, którego jednak nie można ograniczać do Wołynia i Małopolski Wschodniej, bo już we wrześniu 1939 r. ukraińscy nacjonaści mordowali Polaków za to tylko, że byli Polakami. Rozróżniłbym w ustawie te dwa rodzaje zbrodni: do 1939 r. miały miejsce akty terroru, do 1947 r. – akty ludobójcze. Szkoda też, że w nowelizacji nie ma ani słowa o zbrodniach litewskich nacjonalistów. Ponadto nieporozumieniem były słowa wicemarszałka Terleckiego, który stwierdził, że za zmiany w ustawie odpowiada Kukiz'15. To niepoważne. Nawet jeśli to klub Kukiza forsował penalizację banderyzmu, za wypowiedź Terleckiego, który przecież jest historykiem, świadczy dobitnie, że PiS ma z tą ustawą wielki problem – dodaje ks. Isakowicz-Zaleski.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z ks. dr. hab. Dariuszem Oko z Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie



rozmawia

Agnieszka Niewińska

AGNIESZKA NIEWIŃSKA: Widział książkę niedawną okładkę „Wysokich Obcasów”? Młode dziewczyny w koszulkach z napisem: „Aborcja jest OK”. Redakcja przedstawiła je jako „Aborcyjny Dream Team”.

KS. DARIUSZ OKO: Widziałem i przeczytałem artykuł okładkowy. Nie zdziwiło mnie to, bo od 14 lat zajmuję się badaniem oraz krytyką lewackich, ateistycznych ideologii i stąd wiem, że wielkość manipulacji lub kłamstw, które tam się zwykłe spotyka, osiąga najwyższe, orwellowskie poziomy. Właściwie powinno się z góry przyjmować, że tacy ideologowie mówią nieprawdę i manipulują – o ile wyjątkowo coś przeciwnego nie zostanie udowodnione. Przecież te same „Wysokie Obcasy” w styczniu 2014 r. – także na okładce – reklamowały wywiad z Katarzyną Bratkowską, która zaślęnęła stwierdzeniem: „Komunizm to najbardziej proludzki, humanitarny ustrój” oraz ogłoszeniem, że dokona aborcji w Wigilię. Jeżeli ktoś jest w stanie mówić takie rzeczy, to równie dobrze może twierdzić, że „aborcja jest OK”. Poza tym należałoby zbadać, czy ten artykuł nie narusza zasad prawa chroniącego życie nienarodzonych.

Aborcyjny Dream Team nie ukrywa, że chce szerokiego dostępu do aborcji. Gdzie tu książka widzi manipulację?

Już na samej okładce, choćby w stwierdzeniu „1 z 3 Twoich znajomych miała aborcję”. Przecież to na pewno nie jest prawda. Wiadomo, że w Polsce na aborcję chętniej decydują się ci, którzy wybierają ateistyczny styl życia, a rzadziej chrześcijanie. Całkiem możliwe, że w środowiskach aktywistek aborcyjnych wiele z nich miało wiele aborcji, a w środowiskach kobiet identyfikujących się z Kościołem prawie żadna. Nie wolno obrażać tych ostatnich zarzutem im czegoś, czego najbardziej się brzydzą i czego nigdy nie uczyniły i nie uczynią. Szczególnie gdy kobiety ateistki, które w Polsce stanowią znikomą mniejszość, obrażają kobiety wierzące, których jest u nas zdecydowana większość. Trzeba zatem rozróżniać kobiety z różnych środowisk: w jednym 10 na 10 może być po aborcji, a w innym

żadna. Poza tym, jeżeli z 30 kobiet mieszkających w jednym bloku jedna popełni 10 aborcji, a poza tym żadna inna, to i tak na trzy z nich statystycznie będzie przypadać jedna aborcja. Nigdzie nie jest nawet podane źródło tych danych i wyliczeń, co również dyskwalifikuje tekst.

Feministki od lat mówią o wielkim aborcyjnym podziemiu.

Organizacje proaborcyjne twierdzą, że w Polsce dokonuje się setki tysięcy nielegalnych aborcji, ale nie pokazują przy tym naukowo wiarygodnych badań, na których opierają swoje szacunki. Według Polskiej Federacji Ruchów Obrony Życia liczba nielegalnych aborcji w Polsce nie przekracza kilkunastu tysięcy rocznie. Jeżeli już na początku tak się manipuluje, to potem może być tylko gorzej.

w dziewiątym miesiącu ciąży, nawet w czasie samego porodu. Dla wszystkich musi być oczywiste, że chodzi tu o zabijanie własnych dzieci.

Opowiadający się za aborcją mówią o prawie kobiet do wyboru.

W największych krajach świata, z powodów kulturowych i ekonomicznych, ofiarą państwowo organizowanej aborcji często są przede wszystkim dziewczynki. Dlatego w Chinach jest ok. 30-milionowa „nadwyżka” młodych mężczyzn nad młodymi kobietami, w Indiach – sześciomilionowa. Szczególnie widać tutaj, że aborcja obraca się przede wszystkim przeciw kobietom, dzięki aborcji mężczyźni mają mieć nieograniczony komfort przyjemności, a cały trud i cierpienie mają znowu nieść kobiety. Czy proaborcyjne aktywistki

cem czy współmałżonkiem i przejąć po nich spadek, dlatego przymuszają ich do eutanazji – świadczy o tym choćby rosnąca liczba doniesień z Holandii i Belgii. Współmałżonkowie, rodzice i dzieci to osoby najbliższe, po Bogu dla nas najważniejsze. Za nie jesteśmy najbardziej odpowiedzialni i je najbardziej powinniśmy kochać oraz chronić. Jeżeli dla własnej przyjemności je najbardziej krzywdzimy, to zawodzimy w najważniejszej miłości życia, w najważniejszej sprawie – być może już na całą wieczność. Niebo jest przecież dla tych, którzy autentycznie kochają – najpierw osoby najbliższe, a potem wszystkie inne.

Krzywdzenie własnych dzieci? „WO” przedstawia aborcję farmakologiczną inaczej: „Wypaść z niej płód, kulka wielkości małej mandarynki, jakby kawałek wątróbki”.

Tutaj stosuje się cały wachlarz manipulacji. Doktor Bernard Nathanson, w który w latach 70. szczególnie „zasłużył” się w przeprowadzaniu i promocji aborcji, mówił, że kłamstwo oraz manipulacja to chleb powszedni ruchu aborcyjnego. Po swoim nawróceniu przyznał, że czołowi członkowie ruchu aborcyjnego – łącznie z nim – z zasady świadomie kłamali, wielokrotnie zawyżali szacunkową liczbę nielegalnych aborcji, aby w ten sposób wpływać na społeczną świadomość. Kłamstwo jest jakby immanentną częścią ateistycznej propagandy aborcyjnej. Tutaj jedno wynika z drugiego – jeżeli człowiek jest zdolny do tak wielkiego zła jak propagowanie seryjnego zabijania nienarodzonych dzieci, to tym bardziej jest zdolny do wielu kłamstw z tym związanych.

Do tej pory zwolennicy liberalizacji ustawy aborcyjnej przekonywali, że to dla kobiety trudny wybór, że żadna z radością do aborcji nie podchodzi.

Tymczasem na końcu tekstu „WO” znajdujemy takie stwierdzenie: „Przecież 96 proc. kobiet robi aborcję z powodów osobistych, a nie ze względu na zdrowie lub gwałt. Przestańmy to ukrywać”. Trzeba by zapytać: Proszę państwa, które kłamstwa są dla państwa ważniejsze? Na które mamy odpowiadać najpierw, ponieważ sami sobie państwo zaprzeczają? Tutaj trzeba się odwoływać do elementarnej ludzkiej wrażliwości i uczciwości. Przecież każdy z nas przechodził kolejny etap życia pod sercem matki. W tym czasie okoliczności życia naszych rodziców były nieraz bardzo trudne, a jednak pozwolili nam żyć i podjęli

Genderyści chcą podbić Polskę

Wiele osób dystansowało się wobec tej okładki. Nawet – co dość kuriozalne – Jarosław Kurski, wicenaczelný „Gazety Wyborczej”, z którą sprzedawane są „WO”.

A znana blogerka Katarzyna stwierdziła: „Wypada serdecznie podziękować paniom z Aborcyjnego Dream Teamu. Nikt tak jak one nie zmobilizował osób z różnych stron i światopoglądów do publicznego zadeklarowania, że aborcja NIE JEST OK”.

Trudno pozbyć się wrażenia, że aborcja została przez „WO” polukrowana, oswojona.

Oczywiście, w tekście są nawet takie stwierdzenia, że po aborcji „wnieśliśmy toast” oraz „zrobienie aborcji uszczęśliwiło mnie w sposób całkowicie bezwarunkowy”. Czyli co? Dało największą dostępną człowiekowi radość? Należałoby zatem myśleć, że im więcej aborcji się robi, tym szczęśliwszym się będzie? W Stanach Zjednoczonych legalna jest także aborcja

nie odczuwają z tego powodu jakiegoś dyskomfortu? Choćby z racji elementarnej, kobiecej solidarności?

„Aborcja to jest moje największe hobby” – mówi jedna z bohaterek tekstu „WO”. Czy to ma przekonać ludzi, że aborcja jest jak jazda na łyżwach czy zbieranie znaczków?

O to właśnie chodzi, taka jest strategia aborcjonistów, od lat stosowana na Zachodzie, chodzi o zniszczenie ludzkiego sumienia, czyli centrum osoby. Jako ksiądz muszę ostrzegać, że takie rozmiłowanie w aborcjach może prowadzić nie do szczęścia, ale do największego, wiecznego nieszczęścia. Osoby, które najbardziej popierają aborcję, zwykle także najbardziej popierają eutanazję. Często kierują się własnym egoizmem. Chcą doznawać przyjemności seksualnej za wszelką cenę, także za cenę aborcji swoich dzieci. Chcą się jak najszybciej uwolnić od trudu opieki nad niedołącznym rodzi-

■ trud troski o nas na dziesięciolecie. Jedną z najwspanialszych Polek, pani dr Wanda Półtawska, mówi: „Człowiek nie dlatego żyje, że się urodził, ale rodzi się dlatego, że żyje”. Pogromca światowego komunizmu, Ronald Reagan, mawiał: „Zauważyłem, że wszyscy, którzy popierają aborcję, sami zdążyli się już urodzić”. Zarówno popieranie aborcji, jak i chronienie życia nienarodzonych jest typową cechą pewnych osobowości, a zarazem te osobowości dalej kształtuje. Oprócz pani Półtawskiej do największych obrońców życia należą św. Jan Paweł II, św. Matka Teresa, bł. ks. Jerzy Popiełuszko, kard. Stefan Wyszyński, czyli najwięksi święci i patrioci naszych czasów. Natomiast do największych zwolenników aborcji należą Joanna Senyszyn, Magdalena Środa, Jan Hartmann, Janusz Palikot, Jerzy Urban – zarazem najwięksi walczący ateści, najwięksi wrogowie Boga, Chrystusa i Kościoła (a nieraz i polskości). Do kogo nam bliżej? Którą drogą chcemy iść? Do kogo z czasem chcemy się coraz bardziej upodabniać? Postawa wobec aborcji należy do najważniejszych decyzji życia, najbardziej nas określających – może nawet na całą wieczność. Ona szczególnie pomaga w rozwoju naszej osoby albo też w jej degradacji. Każdy z nas musi ostatecznie sam sobie odpowiedzieć, czy uważa siebie samego za większego od Boga. Albo czy naprawdę sądzi, że „bogiem”, któremu wszystko – także siebie samego i swoje dzieci – trzeba poświęcić, jest przyjemność. I to w dodatku zmysłowa przyjemność.

Nie przekonują księdza argumenty, że w sytuacjach skrajnych od nikogo nie można wymagać heroizmu?

Jest wprost przeciwnie – od każdego należy oczekiwać heroizmu, bo każdy może znaleźć się w sytuacji, która heroizmu wymaga. Nawet pod groźbą strasznych tortur i utraty życia nie można wykonywać zbrodniczych rozkazów. Nie można się wyprzec wiary w Chrystusa. Podczas wojny miliony mężczyzn mogą być powołane do wojska i spędzić kilka lat w koszmarnych, okopowych warunkach, a na końcu zginąć rozszarpane granatami – tak jak było to w czasie I wojny światowej. Tymczasem błogosławiony okres oczekiwania na narodziny własnego dziecka przeżyły już wielokrotnie w wielkiej radości dziesiątki miliardów kobiet. Czemu przeżycie kilku miesięcy nawet w – z różnych powodów – trudnej

ciąży miałyby zaraz być tak niemożliwe? Tym bardziej że z reguły zaraz po narodzinach dziecka wiele par jest gotowych na jego adopcję, czeka na to w długiej kolejce.

Jesteśmy jednymi z ostatnich krajów w Europie z dość restrykcyjną ustawą dotyczącą aborcji, ale środowiska lewicowe nie zasypiają gruszek w poście. Na Zachodzie działały podobnie? Pokazywały aborcję w różu?

Tak, analogie są oczywiste, bo wyznawcy lewicowych, ateistycznych, neomarksowskich ideologii na całym świecie stosują te same metody, podobnie jak czynili to ich duchowi ojcowie marksiści i podobnie jak oni przy ich pomocy chcą podbić cały świat. Aborcjiny fanatyzm należy do istoty ideologii gender, której inwazja na Polskę, dzięki dobrej zmianie w rządzie, została przyhamowana, ale dalej usiłuje się ją przeprowadzić: atakowane są polskie szkoły, uczelnie i inne instytucje państwowe, trwa kampania lewackich mediów i polityków chcących

Rozszarpanie czyjegoś bijącego serca nikomu nie przychodzi łatwo. Szczególnie kiedy bije ono tak blisko własnego serca, jest z nim tak ściśle związane

ogłupić ludzi, zdeprawować ich rozum, sumienie i duszę. Jak bolszewicy ze swoim komunizmem usiłowali podbić Polskę, tak samo chcą ją podbić genderyści ze swoją ideologią śmierci. Podobnie jak tamtym w 1920 r., tak samo i tym trzeba się przeciwstawiać ze wszystkich sił. Tutaj potrzeba jednak wsparcia państwa, które niestety robi o wiele za mało na tym polu. Tutaj trzeba bić na alarm, tu trzeba wielkiej mobilizacji.

Choćby w Massachusetts w USA mimo mobilizacji konserwatystów wprowadzono ślubny gejowski, środowiska LGBT są obecne w szkołach. Dlaczego mobilizacja miałaby udać się u nas?

W Polsce mamy szczególnie duże szanse na obronienie się przed inwazją lewackiej ideologii, przed „cywilizacją śmierci”, jak mówił św. Jan Paweł II – a omawiany artykuł jest przecież modelowym przykładem tekstu tej cywilizacji,

kolejną pochwałą seryjnego uśmiercania nienarodzonych. A przecież same autorki artykułu przyznają, że przynajmniej 67 proc. Polek nigdy nie popełniło aborcji. Chwała im za to! Wiele z tych, które to uczyniły, bardzo tego żałuje. Nieraz one i ich rodziny cierpią na skutek fizycznych, psychicznych oraz duchowych konsekwencji aborcji. I najbardziej pomagają im nie kolejne ateistyczne kłamstwa, ale ogrom Bożej Miłości i Miłosierdzia. Wiele takich kobiet spotkałem w mojej 33-letniej pracy duszpasterskiej. Lewackim, ateistycznym ideologom będzie trudno je przekonać, że wielokrotna aborcja to droga do szczęścia. Polki i Polacy, szczególnie dzięki swojej wierze i doświadczeniu historycznemu, są na to po prostu za mądrzy. Są też dobre, naukowe, medyczne sposoby obrony przed tymi manipulacjami.

Co ma ksiądz na myśli?

Od ponad 20 lat jestem w archidiecezji krakowskiej duszpasterzem lekarzy, w kraju i za granicą poznałem setki wspólnych ludzi poświęcających się służbie zdrowiu człowieka. Znajoma znakomita lekarka ginekolog w 15-letniej praktyce na tysiące ciężarnych spotkała 20 kobiet, które chciały usunąć ciążę. Jest zdania, że łatwo przekonać ciężarną do zmiany decyzji. Już w siódmym, ósmym tygodniu można pokazać jej bijące serce dziecka i sprawić, by usłyszała je przez głośnik. „Każdy z praktykujących kolegów wie, że jest w stanie przekonać, iż dziecko, które w danej chwili wydaje się ciężarem nie do udźwignięcia, będzie niebawem największym szczęściem” – napisała ta lekarka, dodając, że wielu jej kolegów wykonuje aborcje dla łatwego zysku.

Propagatorom aborcji chyba brakuje tego rodzaju doświadczeń, po nim zapewne nie mogłyby być aż takie „szczęśliwe” i z taką dumą pokazywać się ludziom. Rozszarpanie czyjegoś bijącego serca nikomu nie przychodzi łatwo. Szczególnie kiedy bije ono tak blisko własnego serca, jest z nim tak ściśle związane. Życzę im doświadczenia wielokrotnego, bogatego duchowo macierzyństwa – tego cudownego serca matki przy sercu dziecka – na zawsze. To ono może najbardziej je uszczęśliwić – na całą wieczność.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

ks. dr hab. Dariusz Oko jest filozofem i teologiem, kierownikiem Katedry Filozofii Poznania Wydziału Filozoficznego UPJP2 w Krakowie.

PYEONGCHANG2018
#GRAMYDLASPORTU

GRATULUJEMY NASZYM SPORTOWCOM MEDALI OLIMPIJSKICH!



**SPONSOR GENERALNY
POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ**



Tomasz P. Terlikowski

Okladka „Wysokich Obcasów” z kobietami w koszulkach z napisem „Aborcja jest OK” to nie błąd. To dobrze przemyślana strategia. I niestety wiele wskazuje na to, że skuteczna

Różowe tło, trzy sympatycznie wyglądające kobiety i koszulki z napisem „Aborcja jest OK”. Na górze napis, że jedna na trzy kobiety miała aborcję, więc wiele kobiet, które znamy, ją miała. Jeśli czegoś w tej – dość paskudnej – promocji aborcji zabrakło, to co najwyżej pluszowych szczypiec do rozgriatania główek dzieci w czasie aborcji albo ślicznego różowego ssaka do wysysania „zawartości macicy”. A potem była już afery. Od okładki „Wysokich Obcasów” odcinali się niemal wszyscy (poza najbardziej radykalnymi feministkami). Dominika Wielowiejska podkreślała, że „aborcja nie jest OK”, Hanna Lis wyrażała oburzenie i nawet portal NaTemat.pl uznał, że panie szkodzą sprawie. Od różowej okładeczki odcinały się także uczestniczki czarnych marszów i znane feministyczne działaczki. Po naszej, prawej stronie sceny medialno-politycznej przetoczyła się fala oburzenia i niemal każdy miał coś na ten temat do powiedzenia. Większość zgadzała się jednak co do jednego – że panie przegrzały, przesadziły i (tu wyraźne westchnienie ulgi) zaszkodziły własnej sprawie.

W FEMINISTYCZNEJ BAŃCE

Dlaczego pojawiły się taka okładka i tekst? Aborcjonistki miały być tak zamknięte w bańkach informacyjnych, w aborcyjnych środowiskach, że nawet nie dostrzegły, iż jeśli coś przyciągnęło uczestniczki na czarne marsze, to wcale nie było to hasło aborcji na życzenie czy uznania, że jest ona OK, ale... kłamstwa na temat rzekomego zakazu badań prenatalnych, a także wizja więzień zapełnionych kobietami, które poroniły (i to czasem w sposób naturalny) swoje dzieci.

Tamtą wojnę informacyjną radykalne feministki wygrały, podobnie jak wygrały z Nowoczesną i Platformą wojnę o poparcie absurdalnie proaborcyjnej ustawy, a nawet wymusiły wyrzucenie z partii



Aborcyjna strategia

polityków, którzy nie chcieli popierać kar dla każdego, kto sprzeciwiał się aborcji. Niesione tymi sukcesami uznały, że teraz mogą wreszcie powiedzieć otwarcie to, co od zawsze myślą, że mogą już przestać opowiadać, iż aborcja jest złem, ale złem mniejszym, że to dramat, ale dramat czasem konieczny, i wreszcie otwarcie powiedzieć, że zabicie własnego dziecka to dla nich coś wspaniałego, że nie ma w niej nic złego i że... w istocie nie istnieją w tej sprawie żadne ograniczenia moralne.

Niestety, dla siebie samych nie przewidziały, że w Polsce (inaczej niż we Francji, gdzie zakazane jest mówienie, iż aborcja ma jakiegokolwiek negatywne skutki) takie ujęcie sprawy, i to także po ich stronie debaty, wywoła sprzeciw. Tutaj, i to jest niewątpliwie zwycięstwo ruchu pro-life, aborcja jest nadal problemem moralnym, a nie jedynie kwestią takiego lub innego wyboru. U nas, także dzięki odważnym politykom, dziennikarzom oraz liderom opinii, nie udało się jeszcze zamknąć ust obrońcom życia i aborcja nie została znormalizowana. U nas noszenie koszulki z napisem „Aborcja jest OK” budzi jeszcze sprzeciw i to nawet jeśli – by zacytować facebookowe wpisy bohaterki okładki „Wysokich Obcasów” – „wk...rwia nas to maksymalnie”. Jednym słowem nie żyjemy w zachodnim kraju i dlatego na pewne rzeczy nie wolno (jeszcze?) sobie pozwolić.

Wydawać by się mogło, że panie (zarówno działaczki, jak i dziennikarki) zwyczajnie strzeliły sobie w kolano, ośmieszyły oraz zwulgaryzowały własną akcję i sprawiły, że teraz o wiele trudniej będzie ich własnym koleżankom i kolegom przekonywać, iż – choć mają oni świadomość, jak trudna jest decyzja o aborcji i jak moralnie skomplikowana – przecież nie są oni w stanie odmówić jej 12-latkę w ciąży czy kobiecie, która ma urodzić ciężko zdefiniowane dziecko. Obawiam się jednak, że ci, którzy formułują takie opinie, nie do końca rozumieją strategię aborcjonistów. A w tą wpisane jest szokowanie, transgresja, a także udawany (a czasem realny) wielość. Jednym słowem – okładka „Wysokich Obcasów” nie jest błędem, ale częścią długiego procesu walki nie tyle o zmianę prawa, ile świadomości publicznej.

OSWAJANIE

Aby to zrozumieć, trzeba dostrzec, jaki jest istotny cel aborcjonistek. A ten jest dość oczywisty. Im nie chodzi o delikatną korektę obowiązującego prawa, ale o takie jego sformułowanie, by każda

opinia krytyczna wobec aborcji była zakazana dwoma latami więzienia (takie zapisy znajdują się w ustawie zgłoszonej ponownie przez Nowoczesną), by kobieta mogła na życzenie zabić swoje dziecko i by każdy, kto temu przeciwdziała, był uznawany za przestępcę. To są cele, które przyświecają obecnie aborcjonistom. A skoro tak, to nie mogą się oni ograniczyć do przekonywania, że są generalnie przeciw aborcji, ale mają świadomość, iż są okoliczności, warunki, które czasem sprawiają, że jest ona konieczna. Taka narracja (warto zwrócić uwagę, że wspólna ogromnej części także prawicowych polityków) może służyć co najwyżej uzasadnieniu obecnie obowiązującego „kompromisu” aborcyjnego, ale na pewno nie zmianie prawa. Jeśli bowiem aborcja jest wyborem moralnie dramatycznym, jeśli nie jest OK, to nie da się usprawiedliwić jej pełnej liberalizacji, a co najwyżej wyjątki od generalnej reguły.

Okładka „Wysokich Obcasów” jest częścią długiego procesu walki nie tyle o zmianę prawa, ile świadomości publicznej

Usprawiedliwieniem dla aborcji na życzenie może być jedynie uznanie jej za „procedurę medyczną”, wybór moralnie obojętny (to bowiem znaczą słowa jednej uczestniczki debaty na temat okładki, która na łamach Codziennika Feministycznego przekonywała, że „decyzja o urodzeniu dziecka jest OK. Decyzja o aborcji też jest OK. Aborcja jest OK, bo jest osobistym wyborem kobiety, która podejmuje go w zgodzie ze sobą w pełnym przekonaniu, że jest to najlepsze dla niej wyjście”).

Normalizacja aborcji, uznanie jej za standardową procedurę, a także zbudowanie wrażenia (nie ma znaczenia, czy prawdziwego czy nie), że ogromna część Polek dokonała jej w trakcie swojego życia (czego elementem jest hasło, iż jedna Polka na trzy dokonała aborcji), ma służyć znormalizowaniu tej zbrodni na nienarodzonych dzieciach, nadaniu jej oblicza naszych bliskich, znajomych, sprawienia, że stanie się ona oswojona, normalna, bliska. To bardzo skuteczna metoda, ponieważ – nawet jeśli wywołuje krótkofalowy sprzeciw – to jednak oswaja aborcję. Tak jak oswajają ją

opisy „niewielkich krwawych zbitok”, których wypłynięcie ma być skutkiem aborcji chemicznej, a których opisów nie szczędziły nam autorki materiałów z „Wysokich Obcasów”.

Radykalne feministki oswajają i czynią pozornie niegroźną także postawę tzw. umiarkowanych zwolenników aborcji. Oni, choć przecież ich cele są identyczne, to znaczy doprowadzenie do sytuacji, w której zabić w Polsce dziecko będzie można na życzenie jego matki, mogą teraz spokojnie przekonywać, że daleko im do takiego radykalizmu, że odcinają się od „aborcyjnych oszołomów” i że mają świadomość „dramatyzmu” wyboru dotyczącego aborcji. Za tą „ostrożną”, „umiarkowaną” retoryką kryje się jednak głębokie przekonanie, że aborcja jest OK, że można z niej skorzystać i że w istocie – choć nie wolno tego mówić otwarcie – to rzecz będąca częścią najbardziej fundamentalnych praw kobiet. Radykalizm okładki „Wysokich Obcasów” czyni normalną w ten sposób rzekomą ostrożność innych aborcjonistów.

OŚMIESZENIE

I wreszcie kwestia ostatnia. Okładka, teksty w środku i kompletny brak na nie reakcji służb państwowych (bo nie jest reakcją rytualne potępienie przekazu) pokazały także, nie po raz pierwszy, że prawo antyaborcyjne w Polsce nie jest szczególnie chętnie egzekwowane przez policję czy prokuraturę. O czym mówię? Otóż tak się składa, że panie w feministycznym tygodniku nie tylko opowiadają, jak fantastyczna jest aborcja, lecz także szczerzą się, iż pomagają kobietom w zabijaniu dzieci. Aborcja zaś jest według polskiego prawa zwyczajnie karalna. Zamiast więc rytualnie oburzać się na feministki, że są aborcjonistkami, warto zadać pytania: Czy nie da się utrudnić im przestępczego proceduru? Czy nie jest możliwe ograniczenie ich działania? Czy nie da się postawić im prokuratorskich zarzutów? Brak reakcji na opowieść o tym, jak fantastyczne jest łamanie polskiego prawa, ośmiesza naszą ustawę i stawia pod znakiem zapytania (nie po raz pierwszy) to, czy rzeczywiście Zjednoczona Prawica chce walczyć z aborcją. W tej sprawie potrzebne są działania, nie tylko słowa.

Niestety, nic nie wskazuje na to, by coś miało się wydarzyć. A to pokazuje, że mimo medialnej burzy to feministki osiągnęły swoje cele, a rzekomy strzał w kolano był kolejnym elementem powoli, ale systematycznie realizowanej strategii aborcjonistów.



Piotr Gociek

„Czarna Pantera” jest na najlepszej drodze, by stać się jedną z najbardziej kasowych produkcji nie tylko w dziejach Marvela, lecz także Hollywood

Kino może być narzędziem rewanżu. Spójrzcie na „Bękarty wojny”, o których Quentin Tarantino wprost mówił, że to sen o zemście, odreagowanie żydowskiej krzywdy i bezsilności z lat II wojny światowej. To zresztą w projekcie podobało się najbardziej Harveyowi Weinsteinowi, który wtedy był jeszcze jednym z najpotężniejszych ludzi w Hollywood, a nie osobnikiem powszechnie pogardzanym i oskarżanym o molestowanie, gwałty oraz zatykanie ofiarom ust pieniędzmi.

„Czarna Pantera”, 18. film z kinowego uniwersum Marvela, jest takim rewanżem. Tytułowy bohater to nie tylko kolejny z superbohaterów zaludniających tę produkcję (poznaliśmy go w filmie „Kapitan Ameryka: Wojna bohaterów”), lecz także przede wszystkim T’Challa, król Wakandy. Wakanda jest zaś ukrytym przed oczami postronnych najbardziej rozwiniętym na świecie krajem znajdującym się w sercu Afryki. Dawno, dawno temu w tym właśnie miejscu spadł meteoryt zawierający niezwykłą substancję – wibranium. To najbardziej wytrzymały metal na świecie, ale jego właściwości są dużo szersze. Wystarczy powiedzieć, że dzięki energii (i nie tylko), którą zapewnia, Wakanda to kraina cudów większych niż te, które widzieliśmy w „Krainie jutra” czy nawet na wielu planetach w innych filmach Marvela.

Korzenie opowieści o tajemniczych zaginionych królestwach sięgają początków współczesnej literatury popularnej. Na kartach powieści przygodowo-fantastycznych wyrastały cywilizacje ukryte przed wzrokiem białego człowieka. Shangri-La z „Zaginionego horyzontu” Jamesa Milтона leżąca w niedostępnej partii Himalajów. Kraina Kor z serii powieści H. Ridera Haggarda rozpoczętych klasykiem zatytułowanym „Ona”. Z kolei Edgar Rice Burroughs, twórca „Tarzana”, mocą wyobraźni wysłał swoich bohaterów do wnętrza Ziemi, by odkryli tam Pellucidar. Jednak przecież i wcześniej powstawały takie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

opowieści – o Eldorado w Ameryce Południowej albo o zaginionym królestwie ks. Jana w Azji. Mieszkańcy tych krain często byli tylko dziedzicami dawnej chwały (np. w cyklu Haggarda poddani Ayeshy korzystają z dorobku cywilizacji poprzedzającej egipską). W marvelowskiej Wakandzie mamy do czynienia z inną sytuacją – to naprawdę kraina cudów. I co najciekawsze – tu dochodzimy do nutki rewanżu – wszystko to jest dziełem ludzi o czarnym kolorze skóry.

KRAJ LUDZI SZCZĘŚLIWYCH

To odwrócenie stereotypów jest źródłem masy dobrej zabawy w „Czarnej Panterze”. Wakanda to kraj ludzi szczęśliwych, sytych, nieznających kryzysów energetycznych i terroryzmu, korzystających z niezwykłych cudów medycyny oraz technologii. Na innych Wakanadyjczycy mogą patrzeć z góry, pobłażliwie traktując białych, żółtych, czerwonych i w ogóle wszystkich jako półdidiotów. Władcy tej czarnej utopii są wobec obcych także mocno nieufni, dlatego pilnie strzegą tajemnicy swego istnienia. Dla reszty świata Wakanda to biedny kraj pastuchów, niewart nawet większej wzmianki w wiadomościach. Tymczasem agenci Wakandy działają we wszystkich krajach, bacznie przyglądając się, w jakim kierunku zmierzają wszyscy ci niedorozwinięci barbarzyńcy. Jak utopia to utopia – prowadzenie wojen nie należy do zwyczajów Wakandy, choć ze swoją technologiczną przewagą sprzątała każdego przeciwnika na kwaśne jabłko.

Brzmi to nieco idiotycznie, prawda? Jednak bądźmy szczerzy – czy wszystkie opowieści kręcone na podstawie komiksów Marvela albo DC nie są tak naprawdę idiotyczne? Strażnicy galaktyki z odrzutowym szopem w składzie, przybysz z Asgardu i jego magiczny młot, chłopiec pająk, który potrafi swą niezwykłą siecią skleić statek rozpruty na pół, i tak dalej, i tym podobne. Spece Marvela znaleźli jednak sposób na sprzedawanie owych opowieści jako czystej, bezpretensjonalnej rozrywki, z dużą dozą humoru i oszałamiającymi efektami specjalnymi, które wyznaczają nową jakość filmowej produkcji XXI w.

No i z obsadą, której mogliby pozazdrościć wszyscy. W „Czarnej Panterze” główną rolę gra nieco mniej znany Chadwick Boseman, ale u jego boku błyszczy Lupita Nyong'o (Oscar za „Zniewolonego. 12 Years A Slave”). Agentem CIA jest Martin Freeman (Bilbo z „Hobbita” i Watson

z serialu „Sherlock”), na drugim planie pojawiają się Angela Bassett i Forest Whitaker. A jednego ze złoczywców cudownie, powtórzyć: cudownie, odgrywa Andy Serkis, który bez komputerowych efektów, za jakimi krył się jako Gollum i przywódca małp Cezar, radzi sobie wyśmienicie.

Wszystko to sprawia, że kwestia, która teoretycznie powinna nas obchodzić tyle, co zeszcłe liście, na ekranie zamienia się w barwną przygodę. Fabuła „Czarnej Pantery” ogniskuje się bowiem wokół następstwa tronu w Wakandzie i tego, jaką drogę w relacjach ze światem zewnętrznym powinna wybrać ta kraina w trudnych czasach. W głębi kryją się jednak dwa pytania, jedno oczywiste i drugie niespodziewane w świecie Marvela. Pierwsze to doskonale znana kwestia „wielka moc oznacza wielką odpowiedzialność”. Czy moralne jest zatem pozostawanie w cieniu, kiedy dysponuje się tymi wszystkimi cudami? Drugie jest poważniejsze: Czy można budować lepszą przyszłość na kłamstwie, nawet jeśli to kłamstwo wydaje się usprawiedliwione? Oj tak, znamy to tłumaczenie doskonale. Ileż to razy wyższymi racjami tłumaczono nam nie tylko kłamstwa, lecz także zbrodnie!

Historia Ryana Cooglera, który wyreżyserował „Czarną Panterę”, to wzorcowy przykład tego, jak dziś rozwijają się kariery w Hollywood. Kilka krótkometrażówek, potem nieduży niezależny film fabularny świetnie przyjęty na festiwalach w Sundance i Cannes (w przypadku Cooglera – „Fruitvale Station”). Szybka promocja do świata projektów dużych studiów filmowych. Tutaj dla Cooglera próbą ognia był film „Creed: Narodziny legendy”, czyli sequel filmów z serii „Rocky”. Żółtodziób dał sobie radę na planie z weteranem Sylwestrem Stallone'em i wydobyl to, co najlepsze, z młodego Michaela B. Jordana (główna rola). Co najważniejsze, film przyniósł spore pieniądze.

ZADOWOLENI KRYTYCY I KSIĘGOWI

To wszystko wystarczyło, by znaleźć się na celowniku gigantów – Disneya i Marvela – i dostać do 200 mln dol. Ryzyko się opłaciło. W weekend otwarcia „Czarna Pantera” zarobiła w USA i na świecie łącznie niemal 400 mln dol. i jest na

najlepszej drodze, by stać się jedną z najbardziej kasowych produkcji nie tylko w dziejach Marvela, lecz także w ogóle współczesnego Hollywood. Czarne jest piękne – zacierają ręce księgowi.

Równie zadowoleni jak księgowi są amerykańscy krytycy. To już nie do końca rozumiem, bo zabawa faktycznie jest przednia, ale bądźmy realistami: to tylko kolejna bajka o gościach w dziwacznych przebraniach, którzy tłuką się po twarzach oraz rozrzucają dookoła rozmaite sprytne gadzety. Wygląda jednak na to, że Marvel wychował sobie całą generację wiernych fanów, nie tylko wśród publiczności.

Czy jest w „Czarnej Panterze” jeszcze coś, na co warto zwrócić uwagę, oprócz rozrywki i prowokacyjnego odwrócenia znaczeń (czarni – dobrzy, wyrozumiali, zaawansowani cywilizacyjnie; biali – skłócenie, podli, krwiożerczy, zacofani)?

W jednym z bardziej łopatologicznych momentów filmu ukochaną T'Challę próbuje go przekonać, że mieszkańcy Wakandy nie powinni być samolubni, że nie mogą obojętnie patrzeć na biedę i krzywdę okolicznych ludów. Namawiany do otwarcia granic świeżo upieczony monarcha odpowiada, że nie może tego uczynić, bo skończy się to źle dla Wakanady, dla jej unikatowego stylu życia. Nie brzmi przekonująco, widz jest po stronie dziewczyny o dobrym sercu. Bardzo byłem ciekaw, jak zostanie rozstrzygnięta ta kwestia. Czy pan Czarna Pantera, utraciwszy głowę dla swej ukochanej, wypowie na końcu wakanadyjską wersję

„herzlich willkommen!” i zaprosi uchodźców do swego królestwa, tak jak Angela Merkel zaprosiła ich do Niemiec, i szerzej, do Europy Zachodniej?

Otóż nic z tych rzeczy.

Wakanda zrozumie w finale, że faktycznie wielka moc oznacza wielką odpowiedzialność i od cierpiącego świata odwracać się nie można, ale nie będzie to oznaczało zachęty do wielkiej wędrówki ludów w kierunku czarnej utopii w sercu Afryki. Mądry T'Challa wybierze inną drogę: nieszczęśników się nie importuje, trzeba im pomóc tam, gdzie doświadczają niesprawiedliwości. Zatem: pomagajmy uchodźcom na miejscu. Tak Czarna Pantera został PiS-owcem.



★★★★★

REŻ. RYAN
COOGLER
„CZARNA
PANTERA”
(„BLACK
PANTHER”)
USA 2018

wyst. Chadwick
Boseman, Michael
B. Jordan, Lupita
Nyong'o

Ciała Sienkiewicza. Ciało samego autora, za młodu niewykłute, dość nienickiej postury, chorowite, ale spragnione miłości, ciało starzejące się, niszczące, żałosne.

Ciała jego bohaterów – mężczyzn różnych: malutkich, wymuskanych i topornych, dziarskich, starych i rozlazłych.

Ciała kobiet, do których się wzdycha, pokazywane zazwyczaj przez szczegół, wycinek dość pruderyjny, ale przecież wszystko mówiący – oczy, falujący biust, rozchyłone nozdrza, obławane rumieńcem, tracące dech. Ciała młode, dziewczęce, ledwie wykłute z dzieciństwa, niosące obietnicę zatrzymania czasu, ba, jego cofnięcia. I ciała kobiet brzemiennych, zdeformowane, zeszecone.

Upojne wizje ciał męczenia, torturowania, kaleczenia. I ciała z wypisanymi na sobie zapisami cierpienia, ciała zadające śmierć i poranione. Kobiectwo ciało ojczyzny – udręczonej, zbolalej.

Bardzo dobrze się stało, że Wydawnictwo Czarne zdecydowało się wznowić dotychczas niszowe, pochodzące z roku 2009, „Ciała Sienkiewicza” profesora Ryszarda Koziołka. Dlaczego? Bo to po prostu świetna książka.

Niech nie odrzuci nas fakt, że Ryszard Koziołek zaznaje dzisiaj chwały mainstreamowego krytyka (laureat Nagrody Literackiej Gdynia 2010, w latach 2012–2015 członek jury nagrody Nike, publikujący na łamach „Tygodnika Powszechnego” i agorowych „Książek”).

Niech nie odstrasza nas ostatnie teksty Koziołka, choćby te, w których – zaczadziły nowomodnymi ujęciami – wynosi pod niebiosa twórczość Ignacego Karpowicza – „Sońkę” i „Miłość”. Niech pewne zmanierowanie eseistyki Koziołka, widoczne w jego najnowszej książce „Dobrze się myśli literaturą” (Czarne 2016), nie powstrzyma naszej ręki sięgającej po „Ciała Sienkiewicza”.

To naprawdę świetna książka. Nie bójmy się. Nie brzydzmy. Weźmy w nawias wydrukowane na tylnej okładce zapewnienia Koziołka, że książka została „napisana z zachwyty i złości na Sienkiewicza”. Bo złości tu naprawdę bardzo mało, a przeważają zachwyty i oczarowanie.

WIERNOŚĆ TALENTOWI

Ryszard Koziołek zabiera nas oto w fascynującą podróż. Podróż, w czasie której pokaże, jak genialnemu pisarzowi udało się nawiązać kontakt z czytelnikami ponad głowami ideologów, krytyków, zazdro-

śnych konkurentów, jak wierność literaturze właśnie, a nie ideom czy domkniętym światopoglądom, doprowadziła do gigantycznego sukcesu. Z uśmiechem pobłażania przywoła głosy mędrców bezradnych wobec fenomenu Sienkiewicza, którzy nieświadomi integralności pisarskiego gestu naiwnie, mało sensownie narzekali, że taki talent się zmarnował. Bo co? Bo nie dał się wprząc w służbę ich ideologii, bo nie spełnił ich planów naprawy świata?

Koziołek kapitalnie pokaże, jak Sienkiewicz, nabywając wiedzy o swym talencie, zaufał literaturze i swej sztuce narracyjnej, by unikając definiowania swej postawy wobec świata, dać mu to, co najcenniejsze: opowieść. Przeleci Koziołek nad krytykami współczesnymi Sienkiewiczowi, dowiedzie żalności i beśsiły kampanii antysienkiewiczowskich, by jako czytelnik zwrócić się ku tym rozbuchanym, wabiącym czytelnika na wiele sposobów książkom. „Sienkiewicz

czy współczesnych autorowi mieszczań, stworzy Koziołek niesamowity esej o meandrach miłości. Bezceremonialnie zestawia biografię pisarza z jego dziełem, doprawi to wszystko mało subtelnym Freudem, by wydobyć na jaw odwieczne dylematy miłości, pełnej sprzeczności i wzajemnie wykluczających się wizji. Wydestyluje ze zdawałoby się infantylnego erotyzmu Sienkiewiczowskich bohaterów pokrętne, wzajem sprzeczne, czasem perwersyjne ciągoty. Odtworzy fantazmaty, jakimi zasilął pisarz swe dzieła, i przedłoży nam przed oczy drażniące przyjemności, sycące czytelnika.

Owszem, gdy przywoła scenę, w której bohaterowie „Pana Wołodyjowskiego” obserwują swe blade kobiety – oszepeconą ciężką Krzysię i Baśkę emanującą mimo zmęczenia chłopięcym wdziękiem, pozwoli sobie na zdania koszmarki typu: „Ketling i Wołodyjowski są tu personifikacjami tłumionego dyskursu seksualnego, którego podmiot pada ofiarą własnej wartościującej stratyfikacji płci”. Ale przecież te naukowe ekscesy nie zburzą lektury, zatopionej w Sienkiewiczu, pełnej odwołań i cytatów z jego fenomenalnych dzieł.

Analiza „Trylogii”, „Rodziny Połanieckich”, „Kryżaków” pozwoli Koziołkowi na opowieść o ambiwalencjach heteroseksualnej miłości, w której dążenie do wiecznej młodości koliduje z rozrodczością, a pierwiastki męski i żeński zwiernają się w nieustannej walce. Swobodnie poruszając się po dziełach zebranych Sienkiewicza, zrekonstruuje jego ideał kobiety, pisząc: „Spośród wielu kobiet w »Trylogii« Zagłęb naprawdę pociągają tylko dwie: Helena i Baśka. [...] Połączone razem tworzą znany już fantazmat, określony najwyraźniej przez Płoszowskiego w »Bez dogmatu«: »twarz dziewczynki z ponętami kobiety«”. W innym miejscu zanotuje: „Skutkiem konfliktu symbolicznego pomiędzy dwoma obiektami męskich uczuć jest częste u Sienkiewicza podwojenie postaci kobiecych, ujęte w opozycyjne typy bohaterki: androgyniczna versus płodna”. Miejscami, tworząc dyskurs o miłości, lekko przeszarżuje. Gdy wplecie do tego twórczość Balthusa, czyniąc go perwersyjnym współnikiem noblisty, czy gdy wystąpi z efekciarską nadinterpretacją nowelki „Autorki”.

CIEMNE EMOCJE

Wprowadza Koziołek czytelnika w konfuzję. Bo choć zaspokaja czytelnicze żądze i oczekiwania, to często czyni to bardzo brutalnie. Wyprowadza na światło dzienne

Ciała

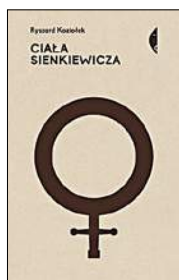


Andrzej Horubała

nie jest pisarzem idei, ale zmysłowego konkretnego narracji” – przetnie rozważania literaturoznawców i myślicieli, by wraz z nami zatopić się w jego kipiącej emocjami prozie.

W centrum oczywiście będzie arcydzieło „Trylogia”, ale przecież w adorację Sienkiewicza wplecie Koziołek także inne dzieła. Odtworzy miłosne gry, jakie w swym życiu rozwijał Sienkiewicz z kobietami w różnym wieku, zajrzy do prywatnej korespondencji, by pokazać Sienkiewicza posługującego się grubym słowem, swawolnego, bezecnego, opowiadającego o swych miłosnych podbojach, onanizmie, klasyfikującego kobiety do szybkiej konsumpcji...

Sprawdzi, jak Sienkiewicz kreował swe bohaterki, obiekty westchnień wojennych herosów. Prezentując piękne na różne sposoby kobiety, które zawładnęły wyobraźnią dzielnych rycerzy, wojów, które wdzierały się w myśli rzymskich patrycjuszów



**RYSZARD
KOZIÓŁEK**
**„CIAŁA
SIENKIEWICZA.
STUDIA O PŁCI
I PRZEMOCY”
CZARNE 2018**

to, co miało pozostawać w półmroku: definiuje uczucia pisarza, nie pozwala tkwić im w niedopowiedzeniach, w niewykluciu. Bezlitośnie rozszyfrowuje grę, którą prowadzi Sienkiewicz z samym sobą, z czytelnikami książek, czytelniczkami osobistych listów. Pisz: „Dzięki literaturze Sienkiewicz może przenosić swoje fantazmaty na dowolną postać fikcyjną, a jak pokazuje jego korespondencja, także na realnych adresatów”.

Brawurowo rozpoczyna rozdział poświęcony wieloletniej korespondencji pisarza zbolełego po śmierci pierwszej żony, Marii z Szetkiewiczów, z jej siostrą. Posłuchajmy: „Sienkiewicz wymyślił Jadwigę Janczewską w lecie 1886 r., mniej więcej w pół roku po śmierci żony Marii (zmarła 19 października 1885 r.). Jest to jedna z jego najlepszych postaci literackich”. Odtwarza Koziółek osobliwą grę, którą prowadził pisarz ze swą szwagierką, by stwierdzić: „Miłosne pisanie do Janczewskiej odcina go od depresji po śmierci ukochanej żony, oferując jakieś przedłużenie tamtego uczucia w pokrętnej relacji z siostrą zmarłej; dla niej słowa Sienkiewicza są siecią, w którą wpada, odgradzając się coraz bardziej od męża i syna, a nawet od rzeczywistości swego życia. Pisanie jest dla niego pracą żałoby, która niebawem się skończy, ją zaś wypycha w żałobę permanentną, gdyż obiektem jest on sam – żyjący pisarz”. Nie ma Koziółek litości też dla lekkich poruszeń emocji, nad którymi nie panujemy i które przecież często nas zwodzą, nie wierzy w urodę i niewinność uczuć pozostających w nierozkwicie, subtelnie zabarwiających naszą codzienność. Skoro więc w zapiskach Sienkiewicza pojawia się jakiś trop, Koziółek niczym gończy pies, który zwiertzył zwierzynę, wyrusza na poszukiwania i z korespondencji, z plotki, biograficznej fiszki destyluje swoją tezę, stawiając nam przed oczy fragmenty listów, łącząc opisy osób z powieści z realnymi personami z życia pisarza. Tak czyni z niebezpieczną od pewnego momentu epistolograficzną grą rozpoczętą przez sześćdziesięcioletniego pisarza z dziewięcioletnią Wandzią, tak postępuje z wątkami żałoby i śmierci kobiet w powieściach, tak z lękiem wobec prokreacji.

Nasyca wyrażnie Koziółek czytanie Sienkiewicza własnymi dylematami i dylematami naszej epoki, ciągnie myśl poza horyzont pisarza, ukryty za maską filologa, zwierza się z własnych niepewności i rozdarć. Nie sposób nie zacytować późniejszej deklaracji Ryszarda Koziółka, nie sposób nie zacytować, bo stanowi ona także trafną prezentację strategii, którą realizuje w „Ciałach Sienkiewicza”:

„Dobra lektura powinna być emocjonalna, taki jest jej nietałony cel, ale też ciemna strona

opowieści. Za Bataille’em powiedziałbym, że jest to »nieprawa część« literatury, kiedy ta odwołuje się do ciemnych emocji czytelnika, wybudza je lub ożywia [...]. To, co dzieje się z nami w trakcie czytania, wcale nie zawsze jest dobre! W lekturze bywamy sadystami, szowinistami, wydajemy niesprawiedliwe sądy, stajemy się stronnikami zbrodniarzy, ponieważ literatura właśnie to, między innymi, chce z nami robić – wydobyć naszą emocjonalność. Jeśli jest wielka, na tym się nie skończy – będzie nas skłaniać także do zrozumienia, co się z nami dzieło”.

I Koziółek, delektując się Sienkiewiczem, pokazuje, jak pisarz wprowadza nas w eksperymentalny odbiór. Zachwyca się niezwykłą kreacją na pozór niewinnego Zagłoby. Pisz: „Transponując dyskurs uwodziciela w dyskurs ojca, Sienkiewicz normalizuje społeczną patologię starczego pożądania”. W precyzyjnych analizach pokazuje filtry i cudze spojrzenia, przez które autor po-

kazuje nam przemoc i zabijanie, wciągając w pornografię sado-maso. Ligia – dręczona w wizjach Winicjusza i umierająca – we własnych marzeniach – jako męczennica. Uśmiech pobłażania dla faktu, że „postacie bliskie pisarzowi lub obarczone funkcją moralnego, patriotycznego bądź heroicznego wzorca zabijają elegancko, niemal dyskretnie”, ale i erotyczna niemal fascynacja kobiet wojennym widowiskiem przemocy, wzmocniona przez Koziółka odwołaniem się do nasyconego namietnością reportażu Sienkiewicza z corridy.

Po mistrzowsku wplata w swe czytanie noblisty problematykę płci, pokazując już nie tylko seksualny wymiar bohaterów, nie tylko spór chrześcijaństwa z Erosem, lecz także ukształtowanie świata, w którym ścierają się pierwiastki męskie i żeńskie. Relacje między kobietą-ojczyzną a zbłąkanymi bohaterami, rzeczywistość, w której męka, ofiara znaczą więcej niż bohaterski czyn, a rana więcej niż triumf. No tak, tylko znów: „kontakt kobiety z męskimi ranami jest alegorią miłości i pożądania”.

Wciągając nas w namiętną lekturę, nie zaniedbuje Koziółek także polemik z tradycyjnymi ujęciami twórczości Sienkiewicza. Pokazuje więc, jak i co chciał Sienkiewicz w nas krzepić, jak łączył anachronizm z nowoczesnością i na czym polegał mechanizm konsolacyjny jego „Trylogii”. Zbyt mało miejsca tu, by choćby zasygnalizować wątki, które wręcz wylewają się z książki śląskiego literaturoznawcy, ale trudno, takie są uwarunkowania tygodnikowego pisania. „Ciała Sienkiewicza. Studia o płci i przemocy” – lektura obowiązkowa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Ryszard Koziółek

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI/AGENCJA GAZETA



Moda idzie za serialem



Joanna Bojańczyk

Świat ogląda teraz ambitne seriale nowej generacji, a w nich wielokbudżetowe kostiumy i świetny product placement dla mody

Intrygi polityczne, awantury rodzinne, kłopoty z dziećmi i królewski glamour pałacu Buckingham. W środku tego wszystkiego zachwycająca Claire Foy jako królowa Elżbieta II. Jeśli państwo jeszcze nie widzieli serialu „The Crown”, to radzę nadrobić zaległości. Pierwszy sezon zaczyna się w roku 1949 wraz z objęciem tronu przez Elżbietę, drugi obejmuje lata 1956–1964. Trzeci zobaczymy za rok.

Jeszcze niedawno, gdy była mowa o kostiumach filmowych, chodziło tylko o duży ekran. Teraz świat ogląda ambitne seriale nowej generacji i to w nich moda otrzymuje najlepszy product placement. Z pieczołowitych, imponujących kostiumów słyną Anglicy. Wiedzą, że są ważną częścią produkcji filmowej, i mają na to budżet. Nie będę się zneść nad ostatnią

produkcją TVP „Korona królów”, już na Facebooku schłostano ją dostatecznie, ogłaszając zbórkę koców i firanek na kostiumy... Wiadomo, chodzi o pieniądze. Jednak trzeba przyznać, że w naszym przypadku także przeorane wojną zasoby materialne nie dają kostumografowi szans. Każdy, kto pracował przy filmie, potwierdzi, że porządne, wierne kostiumy z epoki kosztują i nie można ich zrobić z firanek. A pieniędzy u nas brak.

Co innego „The Crown”. Mogłoby się wydawać, że serial w zasadzie współczesny nie wymaga tak olbrzymich nakładów. Wystarczyłoby wyciągnąć z szaf trochę miękkich bliźniaków vintage, sukni z wciętą talią i gotowe. Nic bardziej błędnego. Kostiumy pierwszego sezonu „Korony” kosztowały 100 mln funtów, czyli prawie pół miliarda złotych. Pracowało przy nich 100 osób – trzeba było ubrać 293 aktorów i 7 tys. statystów. Wykorzystano wszystkie dostępne w Londynie ubrania z lat 50., resztę sprowadzono z Włoch i Hiszpanii. 300 strojów zrobiono całkowicie ręcznie. Szeffowa kostiumografów Michele Clapton (wcześniej dostała Emmy za kostiumy do „Gry o tron”) dokładnie studiowała zdjęcia i filmy z epoki, potem szkicowała projekty, z całego świata sprowadzała materiały.

Każdy odcinek jest paradą wspaniałych strojów, wiele z nich to wierne kopie ubrań rodziny królewskiej z tamtych lat. Nie ma tu żadnej namiastki, żadnego oszustwa. Nad samą suknią ślubną Elżbiety przez tydzień pracował sześćosobowy zespół hafciarzy. Kosztowała 30 tys. funtów – o ironio, wielokrotnie więcej niż oryginał z roku 1947, którego koszt pokryto w części powojennymi kartkami, przysługującymi także rodzinie królewskiej...

Oryginał sukni zaprojektował królewski krawiec sir Norman Hartnell. Można go było w zeszłym roku oglądać na wystawie urządzonej w pałacu Buckingham z okazji 90. urodzin Elżbiety II. Wykonana z jedwabiu w kolorze kości słoniowej, ozdobiona była 10 tys. drobnych perełek i pięciometrowym trenem inspirowanym obrazem Botticello. Twórca uznawał tę suknię za najpiękniejszą stworzoną przez siebie kreację.

„Bardzo szanuję królową, ale zawsze zastanawiałam się, dlaczego zawsze nosi to samo – pudełkowe żakieciki, plisowane spódnice – powiedziała dziennikowi »Daily Mail« Michele Clapton. – Jednak zrozumiałam, że w tych ubraniach najwygodniej jest jej wykonywać swoją pracę”.

W drugim sezonie działowi kostiumu szefowała Jane Petrie. Koniec lat 50. i początek 60. oznaczają demokratyzację



Kostiumy z pierwszego sezonu „The Crown” kosztowały 100 mln funtów FOT. ALEX BAILEY/NETFLIX

cję mody, a także polityki i życia społecznego, co pałac Buckingham przyjmuje z rezygnacją i ze zrozumieniem. W drugim sezonie ubrania królowej są prostsze i lżejsze – nosi ona sweterki i spódnice, zawsze w akompaniamentcie potrójnego sznurka pereł. Więcej fantazji mogła kostiumografka włożyć w ubrania zbuntowanej księżniczki Małgorzaty, którą gra Vanessa Kirby. Stroje rodziny królewskiej na ślubie księżniczki z fotografem Anthonym Armstrongem-Jonesem, przyszłym earlem Snowdonem, odtworzone są z obsesyjną dokładnością. Bliska oryginałowi jest także suknia Jackie Kennedy, którą miała na sobie w czasie wizyty w Londynie – żółta spódnica i czarna góra. Tylko rękawiczki zmieniono z czarnych na białe dla dobra telewizyjnego oświetlenia.

MODA IDZIE ZA DOWNTON

Jeśli twórcy telewizyjnych kostiumów naśladować życie, to w pewnym momencie życie zaczyna naśladować telewizję. Zaczęło się od serialu „Seks w wielkim mieście”, który wprowadził trwającą do dziś modę na szpilki zawrotnej wysokości. Bohaterka Carrie Bradshaw miała w szafie szpilki o wartości 40 tys. dol., nie zdejmowała ich nawet w łazience. Przy okazji wypromowano również szewca

celebrytę Manolo Blahnika. „37 proc. Amerykanek gotowych jest skoczyć na bungee z mostu Golden Gate, żeby zdobyć »Manolos«” – napisał w 2007 r. „The New York Times”. Modę na ubrania z lat 50. XX w. wylansował serial „Mad Men”. Autorka kostiumów Janie Bryant przypominała ikoniczne fasony z tamtych lat – począwszy od New Look Diora, kończąc na nastrojowej elegancji wczesnych lat 60. Serial wyświetlany jest od kilku lat i do dziś jego wpływ widać na wybiegach.

Trudno byłoby dosłownie przenieść do współczesności kostiumy ze światowego hitu „Downton Abbey”. W 2015 r., po nakręceniu sześciu serii i sześciu latach pracy, realizatorzy „Downton Abbey” powiedzieli, że to koniec. Film wyświetlano w ponad 200 stacjach telewizyjnych, wszędzie bił rekordy oglądalności. Zdobył najważniejsze nagrody w dziedzinie produkcji telewizyjnych – Złote Globy, Emmy za najlepszy serial, pobił rekord Guinnessa za najlepsze opinie dla filmu w odcinkach. W Wielkiej Brytanii zebrał entuzjastyczne recenzje krytyków i był najchętniej oglądanym serialem od 35 lat.

Akcja rozpoczyna się w roku 1912 i opowiada historię arystokratycznej rodziny Crawleyów. Równoległe z intrygą na górnych piętrach zamku Downton w hrabstwie Yorkshire, gdzie mieszkają „państwo”, toczy się ściśle z nią związana opowieść o losach służby. W tle wypadki historyczne – zatonięcie „Titanica”, I wojna światowa, epidemia grypy hiszpanki, okres międzywojenny i towarzyszące mu burzliwe zmiany obyczajowe w epoce poedwardiańskiej.

Nie ma przesady w twierdzeniu, że serial ten zmienił także modę. Ile kobiet nie chciałoby prowadzić życia takiego jak lady Mary, której głównym zadaniem było ładnie wyglądać i której garderobiane problemy rozwiązywała bezszelestnie pokojówka Anna? Angielska arystokracja nie przypomina już dziś tamtej. Jednak ubrania? Trencze i buty do konnej jazdy, sukienki wyszywane koralikami, koronki, kołnierze z futra, ozdoby do włosów. W ostatnich latach moda szła za Downton. Ralph Lauren, który był jednym ze sponsorów filmu, wykorzystał go w swoich kolekcjach. Sezon jesień/zima 2012 zainspirowany był właśnie Downton. Nie ma chyba osoby w modzie, która nadawałaby się do tego lepiej. Lauren pochodzi z ubogiej rodziny z Bronxu,

ale zawsze pozostawał pod urokiem aury angielskiej arystokracji i od lat jego kolekcje są utrzymywane w duchu „stylu angielskiego”. Tweedy, wełny, trencze...

SERIALOWA LADY MAKBET

W serialu „House of Cards” w równym stopniu co zwroty intrygi uwagę widzów przyciągały ubrania serialowej lady Makbet, czyli Claire Underwood granej przez Robin Wright. Jej zawsze wyprostowana, nieskazitelnie zgrabna, wysoka sylwetka przemierzająca pewnym krokiem posadzki Kapitolu budziła zazdrość i podziw. Równie ostra jak charakter i odzywki była garderoba, której koncepcję stworzył Kemal Harris. W palecie stonowanych szarości, écru, granatów i czerni, idealnie dopasowana do sylwetki zachwycała prostotą i minimalistyczną elegancją. Jedną trzecią ubrań robiona była na miarę, jedną trzecią przekazywały domy mody, resztę kupiono w eleganckich domach towarowych Barneys i Bergdorf Goodman. Każdą część garderoby Claire dokładnie omawiano z aktorką, mierzono na specjalnie stworzonym do tego celu manekinie. „Dopasowałbym buty, gdybym mógł” – skomentował Harris.

Uważny obserwator zauważy ewolucję stylu bohaterki, dokonującą się w miarę wspinania się jej męża po szczeblach kariery politycznej. W pierwszym sezonie, do którego kostiumy projektował Tom Broecker, pani Underwood zajmowała się działalnością charytatywną. Wtedy jej stroje były stosunkowo swobodne. W następnych, gdy Frank Underwood został prezydentem, a Claire pierwszą damą, jej etykieta ubraniowa stała się bardziej ścisła. Poszła w kostiumy. „Użyliśmy dużo kostiumów Diora, Gucciego i Burberry i utrzymaliśmy trochę spódnic z pierwszego sezonu, a szczególnie tę jedną spódnicę Gucciego, o którą stale ludzie pytają w e-mailach i na Twitterze” – powiedziała Johanna Argan. Srebrna suknia od duetu Dolce & Gabbana, którą Claire miała na przyjęciu z okazji wizyty rosyjskiego prezydenta, była jedną z najbardziej komentowanych.

W pewnym momencie główna bohaterka zmieniła kolor włosów: z szatynki stała się blondynką.

Sondaże wykazały, że widzowie wolą blondynki... Mam podejrzenie graniczące z pewnością, że fryzura pani Agaty Kornhauser-Dudy inspirowana jest Claire...



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Śmierć w tureckiej dzielnicy



★★★★★
REŻ. FATIH AKIN
„W UŁAMKU SEKUNDY”
(„AUS DEM NICHTS”)
NIEMCY 2017

wyst. Diane Kruger,
 Denis Moschitto,
 Samia Muriel
 Chancrin

Co robi bohater amerykańskiego filmu, któremu zli ludzie zamordowali rodzinę, a ramię sprawiedliwości okazuje się za krótkie, by ich dosięgnąć? Wiadomo, bierze prysznic, myje zęby, idzie do sklepu i kupuje karabin automatyczny. „W ułamku sekundy” nie jest jednak produkcją hollywoodzką. Katja, straciwszy w terrorystycznym zamachu męża i syna, po prostu pograża się w żałobie. Nie umie się pogodzić z tragedią, która wzięła się „z niczego” (tak brzmi oryginalny tytuł).

Fatih Akin jest autorem, który umie wzbąć się wysoko, by za chwilę wpaść w korkociąg. Tym razem trzyma poziom do końca, choć nie da się ukryć, że najlepiej wyszły mu te partie filmu, w których mógł po raz kolejny popisać się znajomością realiów multikulturowej

europejskiej metropolii, pochodzącą – jak miemam – z autopsji. Zamach ma miejsce w tureckiej dzielnicy Hamburga, zaś małżonek bohaterki jest Kurdem, „niepraktykującym muzułmaninem”, który za handel narkotykami spędził pięć lat w zakładzie zamkniętym.

Katja też nie była grzeczną dziewczynką (o czym świadczą choćby jej tatuaże), lecz z czasem stała się typową niemiecką Hausfrau. Policja, zasugerowana przeszłością Nuriiego, sądzi, że zabiła go mafia. Kobieta jest jednak przekonana, że zrobili to nienawidzący obcokrajowców „naziole”. Własnego śledztwa nie prowadzi, utrata bliskich odebrała jej energię i chęć życia. Zmieni się to, gdy zamachowcy zostaną schwytani. Reżyser, akuratywny jako psycholog, gubi się z lekka w wątku kryminalnym.

Trudno uwierzyć, by niemieckie służby – które z terroryzmem mają jednak do czynienia już od dłuższego czasu – nie potrafiły przeświecić podejrzanych i sprawdzić ich alibi.

Rzadko zdarza się obraz aż tak zdominowany przez jednego aktora. „W ułamku sekundy” dosłownie wisi na kreacji Diane Heidkrüger, bardziej znanej jako Kruger. Co ciekawe, po raz pierwszy gra w ojczystym języku, dotąd udzielała się jedynie w produkcjach francuskich i anglosaskich. Tym występem zamknęła usta malkontentom, uważających ekranowe kariery modelek za jeden z koronnych dowodów na cynizm branży filmowej. Dopóki Niemka wcielała się w Helenę Trojańską czy Marię Antoninę, dopóty potwierdzała stereotypy. U Akinia wystąpiła bez makijażu, co można uznać za punkt zwrotny w jej karierze. Gdy jeszcze da się oszpeścić, tak jak Charlize Theron w „Monster”, gratulacjom nie będzie końca.

Supremacja Kruger sprawiła, że w filmie nie ma żadnej godnej uwagi roli drugoplanowej. Złoty Glob wydaje się raczej nagrodą pocieszenia za brak nominacji do Oscara niż pasowaniem Akinia na mistrza kina. Na ten tytuł musi jeszcze trochę popracować. ©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „LADY BIRD”

Utalentowana scenarzystka („Frances Ha”) i niezła aktorka tym razem daje się poznać także jako reżyserka słodko-gorzkiej historii o dorastaniu, opartej w dużej mierze na własnych doświadczeniach. „Lady Bird” to opowieść o ostatnim roku liceum buntowniczej nastolatki (wyśmienita Saoirse Ronan),

która jest tak skupiona na własnych (dość pretensjonalnych) marzeniach, że nie zauważa głębokiej miłości, którą obdarza ją surowa matka. ©

Piotr Gociek

• „Lady Bird”, reż. Greta Gerwig,
 wyst. Saoirse Ronan, Laurie Metcalf,
 Tracy Letts, USA 2017

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Jestem najlepsza. Ja, Tonya” („I, Tonya”), reż. Craig Gillespie, USA 2017
- „Czerwona jaskółka” („Red Sparrow”), reż. Francis Lawrence, USA 2018
- „Każdego dnia” („Every Day”), reż. Michael Sucsy, USA 2018
- „Moja miłość” („I’m Not Ashamed”), reż. Brian Baugh, USA 2016

Da się zrobić

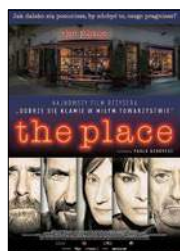
Uważaj, czego pragniesz, czyli traktat o moralnej nędzy ludzkości rozpisany na dziewięć postaci. Dziesiątą jest koleś o wyglądzie smutnego diabła, który całymi dniami wysiaduje w knajpie i spełnia życzenia, lecz nie za darmo. Najpierw petent musi postąpić wbrew swojej naturze, co zwykle oznacza zrobienie czegoś paskudnego. Chcesz powrotu ukochanego? Rozbij małżeństwo sąsiada. Nie chcesz, by twój syn umarł? Zabij sześćioletnią dziewczynkę. Starsza pani ma skonstruować bombę i podłożyć ją w publicznym miejscu, zakonnica musi zejść w ciążę: „Jeśli chce znów poczuć obecność Boga”.

Niektórzy wahają się, próbują negocjować, w końcu jednak przechodzą

na ciemną stronę mocy. Mężczyzna zapisuje zobowiązania i zwierzenia delikwentów w grubym zeszytce, przypominającym notatnik scenarzysty filmowego. Pytany, dlaczego to robi, odpowiada krótko: „Karmię potwory”.

Z czasem niektóre wątki zaczynają się zazębiać, ale generalnie „The Place” bazuje na niedopowiedzeniach. Słuszną to strategią, gdyż wyłożenie kawy na ławę zaorąło niejedną obiecującą horror czy dreszczowiec. Za odkrycie, że „w każdym z nas jest coś obrzydliwego”, Genovese nagrody Kioto raczej nie dostanie. Trochę to wszystko wydumane i teatralne, lecz miło donieść, że włoszczyzna sprawdza się nie tylko w rosale. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★

REŻ. PAOLO GENOVESE
„THE PLACE”
WŁOCHY 2017

wyst. Valerio Mastrandea,
Marco Giallini,
Alba Rohrwacher



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIEZIENNA ELEGIA

W świecie filmu wszystko jest możliwe – nawet przemiana Vince’a Vaughna, znanego głównie z romantycznych komedii, w ponurego twardziela. W „Blok 99” gra osobnika niemal żywcem wyjętego z „Synów anarchii” – wytatuowanego i przyzwyczajonego do rozwiązywania problemów przemocą.

Praca dla narkotykowego dilerka prowadzi go za kraty, tam z kolei dowiaduje się, że jeśli nie zamorduje pewnego ważnego więźnia, to jego ciężarnej żonie przydarzy się coś bardzo niedobrego. Zabiera się więc do roboty zbrojny jedynie w spryt, żelazną wolę i własne pięści. Film jest współczesnym hołdem dla kina „exploitation”, ciekawie wystylizowanym i mocno odrealnionym (choć nie aż tak bardzo jak „Kill Bill”). Oto przypowieść na temat: „Jak daleko posuniesz się w krzywdzeniu innych, kiedy nie masz innego wyjścia”. Kino raczej dla widzów odpornych na mocne sceny, bo reżyser i scenarzysta (twórca „Bone Tomahawk”) nie ma litości ani dla głównego bohatera, ani dla naszych nerwów. ©©



wyst. Vince Vaughn, Jennifer Carpenter,
Don Johnson

★★★★★

REŻ. S. CRAIG ZAHLER
„BLOK 99”
(„BRAWL IN CELL BLOCK 99”)
USA 2017,
FILMOSTRADA

HINDUSKI PAN BROWN

„Jestem taka samotna” – mówi królowa Wiktoria w filmie „Powiernik królowej”. „Wszyscy, których naprawdę kochałam, umarli, tylko ja trwam i trwam”. W tym luźnym ciągu dalszym przeboju Johna Maddena z roku 1997 („Jej wysokość pani Brown”) znów mamy ten sam układ, ale zmieniły się okoliczności.

Wtedy ból królowej po utracie męża kołał znajomość ze szkodliwym koniuszym, w filmie Stephena Frearsa, rozgrywającym się kilka dekad później, chyląca się nad grobem monarchini znajduje pocieszenie w rozmowach z hinduskim służącym. Podobieństw jest więcej: wrogość dworu wobec „obcego”, zazdrość, obmowa, spiski. Judi Dench w roli głównej znów jest znakomita, ale całość budzi mieszane uczucia. Wyczuleni na rasizm uważają, że Karim Abdul nakreślony jest jako zbyt głupkowaty, przeciwnicy nachalnego multi-kulti zwracają uwagę, że z gorliwego muzułmanina uczącego Wiktorię sekretów Koranu czyni się tu jedynego mądrego i sprawiedliwego. ©© **recenzuje Piotr Gociek**



Judi Dench, Ali Fazal, Tim Pigott-Smith

★★★★★

REŻ. STEPHEN FREARS
„POWIERNIK KRÓLOWEJ”
WIELKA BRYTANIA 2017,
FILMOSTRADA

GRA TYGODNIA: „KINGDOM COME: DELIVERANCE”

Zero smoków, elfów, krasnoludów, czarów i magicznych broni. Za to dużo zamków, klasztorów, lokalnych wojenek i znoju. Co to za świat? Średniowiecze. Po kilkunastu godzinach gry w „Kingdom Come: Deliverance” co do jednego nie mam wątpliwości. Jeszcze nikt w grze RPG

nie oddał tej epoki równie starannie od strony historycznej, co niezależne studio Warhorse. Walki są piekielnie trudne, zadania często mało heroiczne (przynieś ojcu dzban piwa), ale za to wiarygodne i oddające ducha czasów. Ambitny projekt z błędami



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

technicznymi, które – jak mi nie mam – wyeliminują przyszłe patche. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** RPG/FPP
- **Platforma:** PS4/PC/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Warhorse Studios/CDP
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 18+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Conrad według Blütha

Pprzed rokiem pisałem na tych łamach o „Likwidacji leninowskiej elity» oraz innych pismach sowietologicznych 1933–1938” Rafała Blütha, wydanych akurat w Bibliotece „Więzi”. Przywołałem wówczas postać tego zapomnianego badacza polskiej i rosyjskiej literatury, autora więcej niż interesujących szkiców o Mickiewiczu i Conradzie, jak również znawcy problematyki totalitaryzmów, szczególnie totalitaryzmu sowieckiego. Ten ciekawy krytyk, związany z kręgiem inteligencji katolickiej ks. Kornilowicza, został rozstrzelany przez Niemców w Warszawie, w jednej z pierwszych egzekucji, w listopadzie 1939 r.

Tragiczna śmierć Rafała Blütha, a także to, że jego dorobek, rozproszony w prasie międzywojennej, nie został zebrany swego czasu w publikacje książkowe, jak również podejrzane z ortodoksyjnie komunistycznego punktu widzenia sowietologiczne zainteresowania autora, np. procesami moskiewskimi z lat 30., wpłynęły na jego niedocenienie czy wręcz niepamięć o nim. I właściwie dopiero w ostatnim czasie zostaje on przywracany humanistyce polskiej.

Z pewnością na uwagę zasługują jego teksty poświęcone Josephowi Conradowi, zebrane obecnie w tomie „Conradiana” ze wstępem Stefana Zabierowskiego. Rafał Blüth przygotowywał biografię autora „Lorda Jima”; miała się ona ukazać pt. „Historia opuszczonego gniazda”. Już sam ten tytuł wskazuje, że krytyka najbardziej interesowała polskie wątki w życiu i twórczości wybitnego anglojęzycznego pisarza. Świadczą o tym m.in. szkice „Dwie rodziny kresowe” czy „O tragicznej decyzji krakowskiej Konrada Korzeniowskiego”. Stefan Zabierowski akcentuje przy tym, że Blütha „stosunkowo mało interesowała strona artystyczna twórczości Conrada,



FOT. GRANGER COLLECTION/FOTOLIA

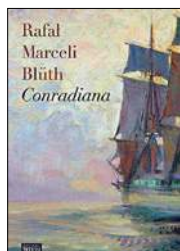
natomiast koncentrował się na – wpisanych w te utwory – koncepcjach moralnych”. Wydaje się, że badacz miał stuprocentową rację. Conrad był pisarzem wielkich dylematów i sporów etycznych. Marginalizując ich znaczenie, dość łatwo byłoby uznać twórcę „Korsarza” za autora, średnio ciekawych zresztą, powieści przygodowych. A trudno o większe nieporozumienie.

Zracji osobistych zainteresowań najbardziej zajmujący wydał mi się szkic Rafała Blütha zestawiający Conrada z Dostojewskim, pisarzem fascynującym, ale – z wielu względów – powiedziałbym: szkodliwym. Powieści wielkiego Rosjanina budzą bowiem tyleż zachwytu, ile odrazy. I tak właśnie czytał „Zbrodnię i karę” Conrad. Nie decydowały o tym wyłącznie uprzedzenia Polaka do Rosji. Joseph Conrad odrzucał moralistykę Dostojewskiego jako

moralista właśnie. „Dostojewski – tak jak Conrad – czytamy w szkicu Blütha – wierzy w człowieka. Ale u pierwszego z nich wiara ta opiera się na biernych i instynktownych mocach duszy ludzkiej. U drugiego natomiast ma ona swe źródło w zdolności człowieka do heroicznego wysiłku. Czy obie te koncepcje nie mogłyby się wzajemnie łagodzić? Dostojewskiego potępienie rozumu i apoteoza prostego serca wymaga jednak korekty. Dostarcza jej właśnie Conrad racjonalną dyscypliną, która stanowi przeciwwagę dla gwałtownych porywów serca”.

Jednak, oczywiście, polski czytelnik Conrada zawsze w pewnym momencie postawi sobie – jakby w ślad za Elizą Orzeszkową – pytanie o polskość autora „Smugi cienia”. Łopatologicznie rzecz ujmując, gdzieś w powietrzu zawieszone zostaje pytanie: Czy Conrad był dobrym Polakiem? No bo wybrał jednak drugą ojczyznę, drugi język, przez co stał się „nasz i nie nasz”. Rafał Blüth pomaga rozwikłać podobne, co tu dużo mówić – nie za mądre – problemy. Przywołuje przy tym Stefana Żeromskiego, który nazywał Josepha Conrada „śmiałym, twardym, niepodległym, indywidualnym człowiekiem” i powiadał o nim: „Musiał się zwrócić w naszą stronę, bo Polska tak jest w uczucie bogata, iż się z jej objąć nikt, kto szlachetny, nie wyrwie”. A ten „polski i niepolski pisarz” w liście do Kazimierza Waliszewskiego tak ujmował całe zagadnienie: „A jeżeli Pan zechce uwierzyć mi na słowo i powie, że pływając po kuli ziemskiej, nigdy, ani myślą, ani sercem, od kraju się nie oddaliłem, na pewno zostanę przyjęty na stopie rodaka u nas, pomimo mojej angielszczyzny”.

„Powrót Conrada do Polski dopiero się zaczyna” – pisał w 1932 r. Rafał Blüth. Ten proces, czego dowiódł zeszłoroczny Rok Conrada, wciąż trwa. ©



★★★★★
**RAFAŁ MARCELLI
BLÜTH**
„CONRADIANA”
BIBLIOTEKA
„WIĘZI” 2017



PIOTR GOCIEK

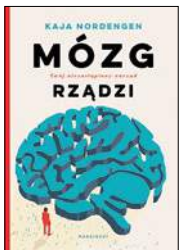
POCZYTANKI

Mózg na ścianie

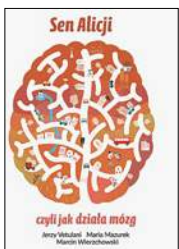
Wybór tych akurat książek to z mej strony jasna demonstracja. Po-
minawszy „Sekretne życie lasu”,
a także tajemne żywoty grzybów,
łąki, ogrodów, pasiek – i zapewniając solen-
nie, że ewentualne „Sekretne życie krów”
też ominę – jako ludzki szowinista rzucam
się z rozkoszą na opowieści o naszym
własnym mózgu.

Nie mam nic przeciwko pogadankom ze
świata przyrody, ale po pierwsze: wydaw-
nictwa przegrzały koniunkturę, ścigając
się na rozmaite publikacje o sercach liści
i wzruszeniach borowików. Po drugie:
zwiększyłem ostatnio porcję spożywanych
warzyw, więc emocjonowanie się wyra-
żonymi na piśmie problemami ogródka
byłoby jednostronne i mało dżentelmeń-
skie (bo po głowie chodzi mi głównie jedno
pytanie: Gdzie o tej porze kupić dojrzałe,
słodkie pomidory?). Po trzecie: ktoś tu
musi trzeźwo zawołać: zanim zaczniesz
dziecko wzruszać perypetiami motylków,
ptaszków i choinek, objaśnij mu najpierw,
jak działa najważniejszy z jego własnych
organów, ten, który decyduje o tym, jak
postrzegamy grzyby, łąki, pasieki i motylki
oraz ile zrozumiemy z tego, co mówią na
ten temat mamusia i tatuś.

Książka norweskiej neurolog „Mózg
rządzi” jest znakomitą wprowadzeniem
w temat. Zrobiona już po nowemu: prosty
styl, króciutkie rozdziały, coś na kształt
„mózgowego alfabetu”. Gdyby wpadła
w me ręce w czasach licealnych, pewnie
czytałbym ją z wypiekami na twarzy
podczas przerw między lekcjami. Jednak
kiedy chciałem lekturę podsumować tra-
dycyjnym: „Dlaczego nasi tak nie potrafią?”,
wpadła w me ręce pozycja pokazująca, że
Polacy nie gęsi. „Sen Alicji, czyli jak działa
mózg” to ślicznie zrobiona książka dla
jeszcze młodszego odbiorcy. Do tekstu
wybitnego neurobiologa prof. Jerzego Vetu-
laniego dołożono świetne ilustracje i tak
powstał bestseller (jedna z chętniej kupo-
wanych książek dla dzieci w roku 2017).
Polecam państwu ten polsko-norweski
dwupak. Pierwszą pozycją („Sen Alicji”)
rozbudzić wyobraźnię, drugą („Mózg
rządzi”) zaspokoicie ciekawość. ©©



★★★★★
KAJA NORDENGEN
„MÓZG RZĄDZI”
WYDAWNICTWO
MARGINESY 2017



★★★★★
JERZY VETULANI
„SEN ALICJI,
CZYLI JAK DZIAŁA
MÓZG”
WAM 2017

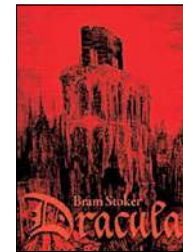
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

W swojej najnowszej
powieści mistrz literatury
szpiegowskiej powraca do
wyczynów swej najbardziej
znanej kreacji – Geor-
ge’a Smiley’a. W misternie
utkanej opowieści mieszają
się czasy zimnej wojny
i współczesne wyzwania.



JOHN LE CARRÉ
„SZPIEGOWSKIE
DZIEDZICTWO”
SONIA DRAGA

Powieść gotycka, która
dała początek jednemu
z wielkich wampirycznych
mitów popkultury. W nowym
przekładzie (Magdaleny
Moltzan-Mańkowskiej),
z klimatycznymi ilustracjami
Andrzeja Masianisa i posło-
wem Macieja Płazy.



BRAM STOKER
„DRACULA”
VESPER

Pierwsza dama polskiej
fantastyki kontynuuje
bestsellerowy cykl „Zastępy
Anielskie” i rozpoczyna rok
temu opowieść o ostatniej
szansie Królestwa: wyprawie
do Strefy Poza Czasem,
w poszukiwaniu emanacji
Światłości.



MAJA LIDIA
KOSSAKOWSKA
„BRAMY
ŚWIATŁOŚCI”,
TOM 2
FABRYKA SŁÓW

„Burzliwe losy słynnego rodu”,
jak głosi podtytuł, a dokład-
nie linii „prusko-berlińskiej”.
Czyli od głośnego ślubu przed
obliczem Fryderyka I przez
skandale i mistyfikacje aż do
sowieckich łagrów i dziejów
kuzynki Kennedy’ego. ©©



WITOLD BANACH
„RADZIWIŁŁOWIE”
WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

polecą Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **E.L. James „Mroczniej”** (Sonia Draga) – przy takiej popularności ciąg dalszy musiał nastąpić – historia Anastazji i Christiana tym razem z jego punktu widzenia.
2. **Harlan Coben „W domu”** (Albatros) – 11. tom serii o Myronie Bolitarze, rozpoczętej w 1995 r. bestsellerową powieścią „Bez skrupułów”.
3. **Remigiusz Mróz „Nieodnaleziona”** (Filia) – ukochana Damiana pojawia się 10 lat po zaginięciu. Kto stoi za tą zagadką?
4. **Beata Anna Dąbrowska „Dieta warzywno-owocowa dr Ewy Dąbrowskiej”** (WAM) – zbiór przepisów opartych na popularnej diecie, autorką jest synowa lekarki.
5. **A.J. Finn „Kobieta w oknie”** (W.A.B.) – thriller, współczesna wariacja w duchu „Okna na podwórze”, kolejna próba wykreowania nowej „Dziewczyny z pociągu”.

(Najchętniej kupowane książki w sieci Empik
od 22 stycznia do 4 lutego 2018 r.)



JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Mój tekst o nieobecności polskich piosenek na antenie Programu Trzeciego sprowokował polemikę Wiktora Świetlika. W liście do tygodnika zarzucił mi mijanie się z prawdą, a w najlepszym wypadku brak wiedzy. Zostałem zaproszony przez prezesa Polskiego Radia na spotkanie, na którym zaprezentowano mi statystyki i przekonywano, że publiczny nadawca z nawiązką realizuje ustawę, emitując w ramówce więcej niż jedną trzecią utworów polskich.

Pomyślałem sobie, że może rzeczywiście nie doceniam ich starań, więc od tego czasu ponad jedną godzinę dziennie słucham tylko Trójki. W ciągu dwóch tygodni (ok. 15 godzin) trafiłem na osiem polskich piosenek! Już słyszę, że miałem pecha, że akurat tak losowo się złożyło, ale każdy, kto zna rachunek prawdopodobieństwa, wie, że skoro słucham radia o typowych porach w samochodzie, jadąc do pracy lub wracając w korkach,



Edyta Bartosiewicz na jubileuszowym koncercie Trójki – 2017 r. FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

Trójka jak Sejm kontraktowy

a polskiej muzyki w tym czasie jest tak niewiele, to znaczy, że muzyczna playlista została tak ułożona.

Jeżeli nie ma w tym nielegalnych praktyk, to próbuję zrozumieć, dlaczego Polskie Radio w miażdżącej proporcji gra zagraniczną produkcję, i nie znajduję odpowiedzi. Muzyka na antenie radia to także pieniądze. Z odtworzeniem każdej piosenki wiąże się tantiemy odprowadzane dla autorów, producenta i wykonawców. Poza tym piosenka to również promocja produktu, jakim jest album do kupienia

w sklepach lub w sieci. Polskie Radio, grając obcą twórczość, przepompowuje gigantyczne pieniądze należne z tytułu ochrony praw do kieszeni zagranicznych podmiotów, uszczuplając nasz rynek. Polski rynek pozbawiony dopływu pieniędzy i radiowej promocji ma bardzo utrudniony rozwój. Dzieje się to za sprawą decyzji kilku osób, które zadowolą 33 proc. zawartości polskiej muzyki na antenie – czyli tyle, ilu przedstawicieli społeczności pozwolili Polakom wybrać do Sejmu kontraktowego. ©©



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Katastrofa na smyczki

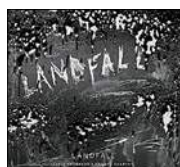
Laurie Anderson od 40 lat jest czołową przedstawicielką nowojorskiej sceny artystycznej. Ku zaskoczeniu wszystkich jej singiel z ośmiominutową piosenką „O Superman” trafił w 1981 r. na drugie miejsce brytyjskiej listy. Potem performerka była już „tylko” pupilem krytyków i wydała kilka epokowych albumów.

Kronos Quartet z San Francisco nie uznaje muzycznych ograniczeń. Z łatwością łączy klasykę z awangardą albo etno z Hendriksem. Dla kwartetu smyczkowego komponował m.in. Henryk Górecki.

Album „Landfall” opowiada o huraganie Sandy, który 29 października 2012 r. spustoszył Nowy Jork. Anderson czyta zapiski z tamtych zdarzeń, a gra kwartetu nadaje opowieściom epicki rozmach. Mu-

zyka łącząca piękno akustycznej instrumentacji z elektronicznymi rozbłyskami wspaniale odzwierciedla niszczycielski charakter żywiołu, a także fascynujący spektakl, który obserwowała wówczas Laurie. Trzydzieści utworów trwających średnio dwie minuty przepełnia poczucie straty. Wrażenie tonują elementy absurdu i tragicomiczne opisy zbiorowego lęku.

Twórczość nowojorczanki zawsze charakteryzowały ekscytujące, pełne dramaturgii kompozycje, które jednocześnie zawierają wiele ludzkiego ciepła i humoru. Pod koniec albumu Anderson wspomina zalaną piwnicę wypełnioną zrujnowanymi przedmiotami, które zbierała troskliwie przez lata. Mówi: „Pomyślałam, jak pięknie, jak magicznie i jak katastroficznie”. ©©



★★★★★
LAURIE ANDERSON & KRONOS QUARTET
„LANDFALL”
NONESUCH



★★★★★
MGMT
„LITTLE DARK AGE”
COLUMBIA

Dziesięć lat temu nowojorski duet

powalił krytyków połączeniem psychodelii i podziemnego electro. Do tego ich debiut znalazł pół miliona fanów. Obecnie mamy psychopop lat 80. oparty na prostych melodyjkach. Z dawnego szaleństwa nic nie pozostało. ©©



★★★★★
IMARHAN
„TEMET”
CITY SLANG

Drugi album algijskich

Tuaregów, którzy wyglądają jak nowojorscy hipsterzy. Przy czym fantastycznie łączą rock, blues, a nawet jazz z gorącym powiewem Sahary. Tradycja przetworzona przez nowoczesne brzmienia w najlepszym wydaniu. ©©



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Wojny klocków

Sam z siebie nigdy nie poszedłbym na najnowsze „Gwiezdne wojny”. Nie to, że jestem wrogiem tej serii, ale też nie jestem jakimś wielkim fanem. Jako dziecko eksycytowałem się dwoma pierwszymi częściami, ale później – no cóż – wyrosłem. Za to mój syn akurat dorósł.

Poszliśmy zatem. „Ostatni Jedi” to kiepski film, ale za to bardzo długi. I chyba ta długość mnie znudziła. Na pół godziny przed końcem dzieła poczułem nagle straszliwy przesył. Do tej pory tylko raz miałem coś takiego. Jako sześciolatek pochłonałem zbyt wiele sałatki jarzynowej na Wielkanoc i skończyło się to dla mnie bardzo źle.

Teraz też w kinie zrobiło mi się niedobrze. Poczułem, że jeśli jeszcze raz usłyszę coś o mocy, rycerzach Jedi, Luku Skywalkerze i rebeliantach, to czym prędzej będę musiał biec do toalety. Nie za dobrze robił mi też widok mieczy świetlnych. Tak, to zdecydowanie był syndrom sałatki. Za dużo.

Za dużo przyswoiłem przez te wszystkie lata.

Gwiezdne wojny” to chyba najlepszy przykład triumfu technologii nad kulturą, który kiedyś tak ładnie w książce opisał Neil Postman. Coraz trudniej wymyślić nowe, porywające i hipnotyzujące historie, więc bez końca eksploatuje się te już wymyślone, opowiadając je na nowo w bardziej wymyślny, efektowny i technicznie zaawansowany sposób. Z historii o odległej galaktyce już dawno wycisnięto wszystkie soki, ale wciąż bierze się ją na warsztat – z coraz gorszymi scenariuszami i coraz mniej ciekawymi postaciami.

Mnie od tego zemdliło i następnej części „Gwiezdných wojen” już nie zniosę, bynajmniej nie dlatego, że nie lubię takiego kina – wręcz przeciwnie, przedkładałem je nad irańskie dramaty psychologiczne. Nie trawię tylko odgrzewanych potraw. Dziwi mnie jednak, że kultowa seria nadal pozostaje kultowa, choć tak bardzo obniżyła loty. Dzieciaki

wciąż biegają z mieczami świetlnymi i bawią się w Jedi oraz szturmowców. I nawet mam teorię, dlaczego tak się dzieje.

Otóż dzieje się tak za sprawą klocków Lego. Duńska firma reprodukuje rozmaite światy filmowe w swoich produkcjach. Z największym rozmachem i pieczołowitością kreuje właśnie uniwersum (jak to się teraz ładnie mówi) „Gwiezdných wojen”. Każdy szanujący się dzieciak, od przedszkolaka do nastolatka, zmusza rodziców do kupowania kompletów klocków. A jest ich bez liku. Każdy pojazd, który prześliznął się gdzieś na ekranie, ma swój klockowy odpowiednik. Każda postać została zaklęta w figurkę. Dodatkowo Lego uzupełnia swą ofertę encyklopedycznymi wydawnictwami na temat tego, co wyprodukowało. Efekt jest taki, że co drugi smarkacz mógłby się doktoryzować z biografii Vadera. A dzisiejsza popularność „Gwiezdných wojen” bierze się nie z Hollywood, tylko z Danii. ©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Poza czasem

Coraz trudniej się beztrako bawić. Nawet kino akcji, przygody i fantastyki zostało już skażone wirusem poprawności politycznej. Oglądam sobie serial „Timeless”. Pal sześć, że identyczny pomysł – ekipa psująca historie i druga podążająca w ślad za nią w celu naprawy – zrealizowałem w słuchowisku „Chuligan czasoprzestrzeni” gdzieś w 1973 lub 1974 r. Uśmiejch politywania budzi też coraz powszechniejsza zasada obsadzania Murzynów w roli intelektualistów. Prawdziwe kłopoty pojawiają się dalej – oto nasi

bohaterowie lądują w III Rzeszy. Spotykają tam antyfaszystowską konspirację, brytyjskich agentów (Ian Fleming w kostiumie kapitana Klossa), nie ma tylko Niemców. Zamiast nich są wyłącznie nazisci. Pardon jest jeden dobry Niemiec – Wernher von Braun, który wprawdzie konstruuje rakiety spadające na Londyn, ale trzeba go ocalić. Bo kto w przyszłości wyśle człowieka na Księżyc? Ale to też detal. Wciągnięci w akcję dowiadujemy się, że dobrzy nie są do końca dobrzy, a źle całkowicie źli. Ujawnia się złowroga grupę od pokoleń

próbującą zmieniać świat na swoją modłę. Sęk w tym, że jest to wstręt-na grupa prawicowa, a przecież wszelkie tego rodzaju organizacje były dziełem lewicy – od masonerii do komunistów, faszystów czy nazistów. To lewica chce zmieniać świat i tworzyć „nowego człowieka”, prawica chce go jedynie zakonserwować i w związku z tym dopóki ma instytucje państwowe i Kościół, dopóty nie musi spiskować.

To jednak twórcom serialu „Timeless” nie przychodzi do głowy. A jeśli nawet przychodzi, zachowują tę wiedzę wyłącznie dla siebie. ©

W dniu 8 lutego 2018 r. wziąłem udział w programie Jana Pospieszańskiego „Warto rozmawiać” w TVP1. Jednym z tematów tej audycji była akcja „Polska zawsze wierna”, która polegała na podpisywaniu petycji skierowanej do przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski. Apel zawiera prośbę, aby biskupi katoliccy w naszym kraju potwierdzili tradycyjne nauczanie w sprawie nierozdzielności małżeństwa i niedopuszczania do komunii świętej osób żyjących w różnego rodzaju związkach niesakramentalnych. Do połowy lutego petycję podpisało ponad 120 tys. osób, które nie zgadzają się z głębokimi zmianami wprowadzanymi obecnie w Kościele katolickim w różnych częściach świata. Sygnatariusze tego apelu nie chcą takich zmian w naszej ojczyźnie.

W programie „Warto rozmawiać” zaprezentowałem pewien kierunek myślenia, który może pomóc rozwiązać trudną sytuację, w jakiej znaleźli się obecnie katolicy w naszym kraju. Uważam, że wielką szansą zachowania naszej tradycji religijnej i kulturowej jest mądre rozumienie obecnego procesu decentralizacji Kościoła katolickiego oraz skuteczne ukazywanie katolikom na świecie specyfiki krajów słowiańskich i całego regionu Europy Środkowo-Wschodniej. Czym jest decentralizacja? Jak rozumieć katolicyzm słowiański? Czy nie grozi nam schizma?

PONTYFIKAT FRANCISZKA

Jednym z najważniejszych elementów obecnej reformy Kościoła jest jego decentralizacja. Można mówić dzisiaj o rozwoju procesu, który rozpoczął się w drugiej połowie ubiegłego wieku. Obecnie decentralizacja jest nie tyle spójnym projektem, ile formą uznania różnych nurtów istniejących w Kościele i próbą rozwiązania wielu napięć oraz konfliktów. Co jest istotą tego procesu? Decentralizacja oznacza mniej władzy Rzymu, a więcej kompetencji przekazywanych Kościołom lokalnym. Od 2013 r. prowadzi się w Watykanie wiele dyskusji dotyczących możliwości przeniesienia niektórych uprawnień z dykasterii rzymskich na biskupów lokalnych i konferencje episkopatów.

W adhortacji apostolskiej „Evangelii gaudium”, która stanowi dokument programowy obecnego pontyfikatu, papież Franciszek napisał następujące słowa: „Istnieje bardzo wiele tematów związanych z ewangelizacją współczesnego świata, które można by tu rozwinąć. Zrezygnowa-

Decentralizacja Kościoła katolickiego



ks. Andrzej Kobyliński

Czym jest decentralizacja? Jak rozumieć katolicyzm słowiański? Czy nie grozi nam schizma?

FOT. FOTOLIA

tem jednak ze szczegółowego omówienia tych licznych kwestii, które powinny być przedmiotem badań i starannego pogłębienia. Nie uważam także, że należy oczekiwać od papieskiego nauczania definitywnego lub wyczerpującego słowa na temat wszystkich spraw dotyczących Kościoła i świata. Nie jest stosowne, żeby papież zastępował lokalne episkopaty w rozpoznaniu wszystkich problemów wyłaniających się na ich terytoriach. W tym sensie dostrzegam potrzebę przyjęcia zbawiennej »decentralizacji«.

Na przestrzeni dwóch tysięcy lat istniały bardzo różne modele funkcjonowania chrześcijańskiego życia kościelnego. Upraszczając problem, można powiedzieć, że szczególnie od Soboru Trydenckiego (1545–1563) do Soboru Watykańskiego II (1962–1965) Kościół katolicki był bardzo scentralizowany. To znaczy, że w tym okresie bardzo akcentowano rolę papieża i Stolicy Apostolskiej. Najważniejsze kwestie dotyczące rozumienia prawd wiary i moralności były rozstrzygane w Rzymie. Katolicy na całym świecie poznawali swoją religię zasadniczo z tych samych książek i podręczników. Sakramenty święte były sprawowane w ten sam sposób na wszystkich kontynentach. Istniała jedna ogólnoswiatowa wersja religii katolickiej.

Zmiana nastąpiła po Vaticanum II. Symbolicznym punktem zwrotnym była publikacja encykliki „Humanae vitae” w 1968 r. Dlaczego? Dokument papieża Pawła VI został oficjalnie odrzucony przez episkopaty w różnych krajach. Od tego momentu wielu duchownych i świeckich zaczęło traktować dokumenty doktrynalne papieża i Stolicy Apostolskiej jako opinie teologiczne, które podlegają dyskusji i nie posiadają żadnej mocy wiążącej. Zaczęła się zmniejszać rola Rzymu. W latach 60. i 70. XX w. kościoły lokalne stawały się coraz bardziej autonomiczne. To doprowadziło do ukształtowania się różnych modeli katolicyzmu.

SKUTKI DECENTRALIZACJI

W drugiej połowie ubiegłego wieku katolicyzm na świecie stał się bardzo różnorodny. Nie chodzi tutaj o naturalne różnice związane z inkulturacją, czyli zakorzenieniem religii katolickiej w różnych kulturach, ale o głębokie zmiany odnoszące się do rozumienia prawd wiary i moralności. Niemal wszyscy katolicy w Niemczech od ponad 40 lat nie praktykują spowiedzi świętej. Wielu katolików w Australii czy Szwajcarii przyjęło pro-

testanckie rozumienie obecności Jezusa Chrystusa w sakramencie Eucharystii. Część katolików w Belgii, Australii, USA czy Kanadzie domaga się błogosławienia związków homoseksualnych w swoich świątyniach. To, co jest grzechem po wschodniej stronie Odry, jest bardzo często uznawane za dobre moralnie po zachodniej stronie tej rzeki. Faktyczna decentralizacja ostatnich 50 lat doprowadziła do powstania różnych modeli katolicyzmu na świecie.

KATOLICYZM I SŁOWIANIE

W Polsce oraz w innych krajach byłego bloku wschodniego dominuje zasadniczo konserwatywne rozumienie katolickich prawd wiary i moralności. W pewnym sensie można mówić w naszym regionie Europy o istnieniu odrębnej formy religijności, którą osobiście nazywam katolicyzmem słowiańskim. Na czym polega jego specyfika? Wśród wielu charakterystycznych elementów naszej słowiańskiej mentalności można podkreślić m.in. zachowanie sakramentu spowiedzi, sprzeciw wobec religijnego błogosławienia par homoseksualnych czy negatywną ocenę komunizmu. Warto zachować tę odrębność także w przyszłości.

Nie ma w katolicyzmie słowiańskim odpowiedniej siły moralnej i filozoficznej, która byłaby atrakcyjna dla mieszkańców Australii, Hiszpanii czy Francji. Nie przekonamy katolików mieszkających w tych krajach, żeby powrócili do tradycyjnego rozumienia spowiedzi i innych sakramentów. Jesteśmy bezradni wobec propozycji niektórych biskupów Belgii czy Niemiec, aby błogosławić związki homoseksualne. Nie zmienimy pozytywnego podejścia do komunizmu i marksizmu wielu milionów katolików we Włoszech, w Wenezueli czy Brazylii. Możemy natomiast obronić naszą regionalną specyfikę. Mamy do odegrania wielką rolę, jeśli chodzi o katolików w krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Powinniśmy być liderem religijnym tego regionu.

Katolicyzm słowiański ma dzisiaj coraz więcej wspólnych elementów z chrześcijaństwem prawosławnym, które zdecydowanie sprzeciwia się współczesnej rewolucji obyczajowej. Prawosławie broni tradycyjnego rozumienia ludzkiej seksualności, małżeństwa i rodziny. W 2003 r. Rosyjski Kościół Prawosławny zerwał wszelkie kontakty z Kościołem Episkopalnym w Stanach Zjednoczonych z powodu wyświęcenia Gene’a Robinsona, duchow-

nego o orientacji homoseksualnej, na biskupa diecezji New Hampshire. W 2005 r. Patriarchat Moskwy i całej Rusi zawiesił oficjalne kontakty z Kościołem Ewangelicko-Luterańskim w Szwecji, gdy władze tej wspólnoty wyznaniowej wprowadziły w swoich świątyniach błogosławieństwo związków homoseksualnych. W 2015 r., z tych samych powodów, doszło do zerwania relacji między Rosyjskim Kościołem Prawosławnym a Kościołem Prezbiteriańskim Szkocji i Zjednoczonym Kościołem Protestantckim Francji.

Niektórzy katolicy kategorycznie odrzucają wszystkie zmiany wprowadzane w Kościele w ostatnich dziesięcioleciach. Niestety, czasami dochodzi wręcz do schizmy! W 2011 r. na Ukrainie został założony Bizantyjski Katolicki Patriarchat, który wyrasta z jednego z odłamów Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego. Głównym celem tej wspólnoty jest zachowanie „nieskalanego skarbu wiary katolickiej”. Patriarchą tego kościoła jest Eliasza Antoni Dohnal – były czeski duchowny greckokatolicki, główny lider ruchu tradycjonalistów greckokatolickich, którego centrum znajduje się w klasztorze bazylikańskim Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny w Podhorcach na Ukrainie. Do tego nowego Kościoła należą bardzo konserwatywni katolicy m.in. z Ukrainy, ze Słowacji i z Czech, którzy nie akceptują współczesnej modernizacji religii katolickiej. 1 sierpnia 2014 r. patriarcha Eliasz nałożył nawet klątwę na papieża Franciszka. Wcześniej podobna anatema została rzucona na papieża Jana Pawła II i Benedykta XVI.

KOŚCIÓŁ MILCZENIA

Powinniśmy cierpliwie przekonywać katolików w innych krajach o specyfice religijnej i kulturowej Europy Środkowo-Wschodniej. Warto zastanowić się nad tym, w jaki sposób można dzisiaj wykorzystać decentralizację Kościoła w celu obrony tradycyjnej formy katolicyzmu w Polsce, na Litwie czy na Słowacji. W tym kontekście trudno racjonalnie wytłumaczyć, dlaczego Kościół w naszym kraju stał się ponownie Kościołem milczenia. Takie określenie stosowano w okresie zimnej wojny w odniesieniu do katolików z bloku wschodniego. Po wschodniej stronie żelaznej kurtyny katolicy zostali brutalnie zmuszeni przez komunistów do milczenia. Dlaczego jednak także obecnie nie słychać naszego głosu w wielkiej dyskusji, która się toczy w Kościele na wszystkich kontynentach?

Bronisław Świdorski

Wydaje się, że fraza „Obcy w domu”, będąca hasłem obchodów 50. rocznicy wydarzeń marcowych '68 przez Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, obarczona jest podwójnym błędem. Po pierwsze: Czy istotnie podstawowym przesłaniem działań marcowych była obcość czy raczej jedność? Po drugie: nadając Żydom miano „obcych”, czyli ludzi pozbawionych praw w swoim kraju, zamienia się ich wylątków w ofiary. Jest to zapewne rezultat tak modnej dzisiaj idei wiktylizacji żydowskiej historii, opartej na niekoniecznie prawdziwym przekonaniu, że „ofiara zawsze ma rację”.

Najśmieszniejsze jest jednak to, że ów muzealny nadtytuł nie został bynajmniej wymyślony w muzeum. Jest to bowiem dosłowna powtórka antysemitowskiej frazy Gomułki z marcowych przemówień. To on w neurotycznej intonacji oddzielił Polaków od „syjonistów”, których postanowił wygnać. Ta fraza nigdy nie była obiektywną oceną wydarzeń marcowych, ale gorącym hasłem politycznym antysemitów. To cięcie siekierą po „linii krwi” jest zgodne z programem nacjonalistów w obu grupach narodowych. Nie oddaje jednak prawdy o tamtych wydarzeniach.

Bo Marzec był czymś przeciwnym: był dowodem na to, że wszyscy jesteśmy Polakami, że linia graniczna nie przebiegała między etnicznymi grupami, ale między komunistyczną władzą i narodem. Ukazał to Jerzy Eisler w swojej drugiej książce o Marcu, zatytułowanej „Polski rok 1968” (omówiłem ją w szkicu „Marzec '68 – mit romantyczny?”, zamieszczonym w „Europie”, a obecnie dostępnym w Internecie). Historyk podkreślił w niej, że na terenie kraju przeważał w tych wydarzeniach udział młodych polskich robotników. Poparcie tej grupy dla studenckiej walki potwierdza konkluzja Eislera: „Od 7 marca do 6 kwietnia w całym kraju zatrzymano 2725 osób, w tym 937 robotników – o ponad 300 więcej niż studentów”. Był Marzec zatem ruchem studentów, których Gomułka nazwał obcymi, czy polskich robotników? Dlaczego pracownicy Muzeum POLIN nie pomyśleli, co poczuć ci robotnicy, kiedy znowu usłyszą echo słów Gomułki, głoszące, że ich odwaga i aktywność służyły „obcym”, Żydom?

Demonstrując w Marcu, wcale nie byliśmy „obcy”. Przeciwnie, poświadczaliśmy żywą swojskość we wspólnym, polskim



Protesty studentów na Krakowskim Przedmieściu w rejonie Uniwersytetu Warszawskiego

FOT. TADEUSZ ZAGOŹDZIŃSKI/PAP

Obcy w domu.

Wokół Marca '68

domu. Uczestnicząc 8 marca 1968 r. w wiecu przed siedzibą rektora warszawskiego uniwersytetu, stałem razem z innymi polskimi studentami i bynajmniej nie czułem obcości. Także skazany na karny obóz wojskowy za marcową aktywność spotkałem na nim zwykłych studentów z wielu miast, a ogromnej większości z nich nawet gorliwy nacjonalista nie nazwałby obcymi. Łączył nas też wspólny wróg.

Marcowy bunt był elementem walki polskiego narodu przeciwko władzy komunistów. Antysemita Gomułka próbował rozbić naszą jedność, przedstawiając niektórych buntowników jako „obcych”, jako nie-Polaków, jako Żydów. Zadziwiające i oburzające jest to, że Muzeum POLIN tak łatwo zaakceptowało antysemitowską ideę jako swoje hasło.

Marzec '68 był ruchem ogólnopolskim, zatem z pewnością większe prawo do organizowania obchodów marcowych ma Muzeum Historii Polski niż Muzeum Historii Żydów Polskich. Przecież my, jego uczestnicy, dzieliliśmy tę walkę z całym polskim narodem!

Naprawdę dziwi, że ufundowane na historycznej wiedzy muzeum z taką łatwością pomija d o w o d y naukowe, opisane przez h i s t o r y k a, i woli sięgnąć po nacjonalistyczną r e t o r y kę p o l i t y k a Gomułki. Powtarzam: razi owo chętnie powtórzenie przez muzeum frazy tego sowieckiego sługusa, niebędące ani polemiką, ani sprzeciwem, gdyż wiemy, że czcigodni polscy profesorowie i muzealnicy, zazwyczaj poważni i konkretni jak wysuszone cytryny, z daleka obchodzą figury ironii i parodii.

Ponadto ów nacjonalistyczny podział na Polaków, „gospodarzy kraju”, wykluczających ze swojej społeczności „obcych” Żydów, okazuje się całkowicie fałszywy w konfrontacji z realiami wydarzeń marcowych. Przecież nie wszyscy Żydzi byli „obcy” w PRL! Przecież to wcale nie Polacy donosili na mnie esbecji, ale dwaj Żydzi będący jej tajnymi współpracownikami: jeden był synem komunistycznego generała, drugi – cenzora. Nie mogę wykluczyć, że czuli się obco w Polsce i bardzo pragnęli zostać uznani za „swoich” przez władzę komunistyczną. Obaj ci synowie, wówczas moi najserdeczniejsi przyjaciele, dzięki swojemu donosicielstwu zrobili w kraju kariery i otrzymali tytuły naukowe, gdy ja zostałem wyrzucony z uniwersytetu i zmuszony do emigracji. Czy i ja, i oni byliśmy równie „obcy w domu”, w Polsce?

Z kolei jedna z jurerek muzealnego komitetu uczestniczyła w wydarzeniach marcowych, gorliwie współpracując z komunistyczną milicją. Z własnej woli podjęła się stworzenia obszernego tekstu na użytek esbecji, który dzisiaj można odszukać w Internecie (o, ci nasi lojalni pisarze, nigdy nie potrafią się w porę zatrzymać!); moje nazwisko, nazwisko przeciwnika komunizmu, występuje w nim kilka razy. I tę właśnie osobę muzeum wyznaczyło do oceny nadsyłanych wypowiedzi o Marcu '68. Ja, prześladowany uczestnik marcowych wydarzeń, zuchwale (a może po prostu lekkomyślnie?) zgodziłem się być świadkiem o b r o n y w procesie marcowym i świadczyć na korzyść oskarżonej osoby. O ile wiem, byłem jedynym uczestnikiem Marca, który podjął się bronić kolegów w warszawskich procesach politycznych w tym czasie (więcej o tym piszę we wspomnianym szkicu o książce Eislera). Bezpieka natychmiast zareagowała, zgodnie z prawdą obiecując, że mnie zniszczy. Jak widzimy, do dzisiaj pozostaje niezaspokojone pytanie: Czy tego, kto wydawał swoich kolegów, i tego, kto ich bronił, można określić tym samym mianem?

Długo nie chciałem wyjeżdżać z kraju. Tym, co przeważało na szali decyzji, były wybory do Sejmu w 1969 r. Moja żydowska matka, która bardzo chciała być Polką i za nic nie chciała wyjechać, w panice wołała, że gdy nie zagłosuję, o n i przyjdą do domu, odbiorą jej pracę i wyrzucą „na bruk”. Ojciec, wywodzący się z katolickiej rodziny warszawskich robotników, w 1914 r. jako 16-latek znalazł się w Rosji.

I właśnie tam do końca życia zakochał się po uszy w Leninie i Stalinie. Nie mógł mi wybaczyć, że byłem wrogiem komunizmu. Nienawiść ojca i lament matki skłoniły mnie do pójścia na wybory. Oczywiście miałem zamiar skreślić, skreślić, skreślić... W lokalu wyborczym pokazałem dowód i otrzymałem kartę do głosowania. Urna stała tuż przy stoliku komisji – wystarczyło tylko wrzucić do niej kartę. W odległym rogu była niewielka przestrzeń oddzielona skąpą zasłoną. Obok nie siedział rosyjski mężczyzna, zapewne esbek, uzbrojony w kartkę papieru i ołówek. Nikt w lokalu nie podchodził do niego, każdy wrzucił otrzymaną kartę do urny, nawet nie zaglądając do niej. Wiedziałem, że wejście za zasłonę i skreślenie wszystkich – na co miałem ogromną ochotę – w niczym nie zmieni wyniku wyborów, ustalonego jeszcze przed głosowaniem, natomiast może ściągnąć represje na moją rodzinę.

Marzec był dowodem na to, że linia graniczna nie przebiegała między etnicznymi grupami, ale między komunistyczną władzą i narodem

Oszustwa komunistów nie były bowiem żadną tajemnicą. Gdybym skreślił, byłbym zadowolony z siebie, a jednocześnie miałbym świadomość, że szkodzę mojej rodzinie. Czy miałem prawo tak postąpić? A czy miałem prawo skreślić moją marcową aktywność? Po chwili wahania wrzuciłem nieskalaną kartę do urny i wyszedłem. Być może ocaliłem egzystencję rodziny, ale zdradziłem siebie. Poczulem metalowy smak wędzidła w ustach – smak, który zna każdy niewolnik. Także z tego powodu postanowiłem wyjechać z Polski. Czy wyjeżdżając, stałem się „obcy”, czy raczej kontynuowałem polskie tradycje protestu?

Gdy w Danii pytano mnie, dlaczego wyjechałem, odpowiadałem: „Bo polscy komuniści uznali mnie za wroga, a ja zawsze wierzyłem komunistom” (ta wypowiedź została zarejestrowana w filmie „Wyjechałem z Polski, bo...”, zamieszczonym na stronie internetowej Muzeum POLIN). Widziałem moją postawę jako kontynuację walk Polaków z narzuconymi przez Rosjan „władcami”, a nie jako gest „obcego”. Dlatego też w Danii starałem się,

jak mogłem, pomagać Solidarności, w której widziałem naturalnego spadkobiercę polskich buntów niepodległościowych.

Nie sądzę, że byliśmy ofiarami, wyjeżdżając, chociaż właśnie tę postawę propaguje wiktyimizująca wizja muzeum. Uzyskaliśmy bowiem ogromną szansę wzbogacenia siebie – nie, nie myślę tutaj o pieniądzach (sam jestem o wiele uboższy od moich polskich znajomych), ale o zwiększeniu wiedzy o świecie i o sobie, o czym pisałem w „Znaku” (nr 3 z 1996 r.) w artykule „Trzy”.

Zyskałem bowiem trzy tożsamości, które nadal rozwijam. Od zawsze piszę po polsku i od czasu do czasu w języku Kierkegarda, od Marca '68 interesuję się historią Żydów, zaś od 27 lat jestem mężem Dunki i posiadam rodzinę, z którą rozmawiam po duńsku. Dlaczego mam jedną lub dwie z tych tożsamości odrzucić, nazywając je obcymi? Czy łączenie w sobie tożsamości nie jest jedynym skutecznym protestem przeciwko zwiariowanemu nacjonalizmowi, popychającym nas ku wojnom?

Nie chcę sprawić wrażenia, że ten proces przebiegał w całkowitym szczęściu i harmonii. Udział w marcowych demonstracjach, który w Polsce był niekiedy powodem do dumy, a najczęściej powodował represje, w Danii wcale się nie liczył. Zajęci liczeniem pieniędzy Duńczycy nie mieli czasu na zdobywanie wiedzy o nieznanym kraju. Na moje podania o stypendia i pracę często nie dostawałem odpowiedzi, aż pewna dobra protestancka dusza podpowiedziała mi, abym nie pisał w curriculum vitae, że walczyłem z władzą, że byłem prześladowany i że wyrzucono mnie z uniwersytetu. „W Danii jest to życiorys kryminalisty” – szepnęła ta chrześcijańska dusza. O wiele lepiej przystosowali się zatwardziali oportuniści. W Danii spotkałem wielu esbeków i ubeków, którzy nagle odkryli, że są ofiarami komunizmu.

Rozważmy teraz implikacje muzealnego tytułu dla tych „obcych”, którzy pozostali w kraju, ponieważ czują się Polakami. Czy ta fraza nie przykleja się łatwo do ust polskich nacjonalistów i czy nie wzmacnia ich oskarżeń, że ci „obcy”, którzy z „podejrzanych powodów” pozostają w Polsce, są w istocie kłamcami (bo „udają” Polaków) i tchórzami (bo boją się emigrować)? Czy nie jest to zbyt łatwa redukcja marcowej lekcji?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

List napisany w Kopenhadze 15 września 2017 r. został w ubiegłym roku opublikowany w kwartalniku „Kronos”.

Political fiction 2018



Łukasz Warzecha

A gdyby PiS od początku przyjął całkiem inną strategię? Gdyby starał się unikać niepotrzebnych napięć, odpuścił sobie walkę o Trybunał Konstytucyjny i postawił na porozumienie z Niemcami? Spróbujmy sobie to wyobrazić. Pamiętając, że to tylko rodzaj zabawy, a więc wizja pełna koniecznych uproszczeń i skrótów, za które autor z góry przeprasza i prosi o wybaczenie

Setna rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości była wielkim sukcesem. Obok gospodarzy – prezydenta Andrzeja Dudy i premiera Mateusza Morawieckiego – na trybunie stali specjalni goście z zagranicy, między innymi prezydent Donald Trump, kanclerz Angela Merkel, premier Theresa May, prezydent Emmanuel Macron. Nieco chwiał się obok nich przewodniczący Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker, bezskutecznie usiłując poklepać po plecach Dalię Grybauskaitė. Trochę z tyłu, bez zwracania uwagi, znalazł sobie miejsce Donald Tusk. Byli też ministrowie w komplecie, w tym obrony – Jarosław Gowin – i spraw zagranicznych – Jacek Czaputowicz.

Prezydent w swoim wystąpieniu mówił, że rząd Morawieckiego od trzech lat nieprzerwanie, z małymi tylko zmianami personalnymi na drugorzędnych sta-

nowiskach, buduje pomyślność i zgodę. Kamery TVP pokazały w tym czasie nieco skwaszone miny obecnych również liderów opozycji – Grzegorza Schetyny i Ryszarda Petru.

Jeszcze w 2015 r. najtrudniejszą decyzją kierunkową było powierzenie rządu nie Beacie Szydło, szykowanej na to miejsce w czasie kampanii wyborczej, ale Mateuszowi Morawieckiemu. Decyzja okazała się trafna, bo Morawiecki, choć rzucony na bardzo głęboką wodę i zaliczający początkowo polityczne wpadki, łatwo oswoił z myślą o trwałych rządach PiS zagranicznych partnerów i biznes.

O objęcie Ministerstwa Obrony Narodowej bardzo starał się Antoni Macierewicz. Gdyby tak się stało, byłoby to złamaniem danej podczas kampanii obietnicy, że MON zajmie się Gowin. Jarosław Kaczyński miał się długo zastanawiać. Zwyciężyła jednak zimna kalkula-

cja. Prezes PiS rozumiał, że Macierewicz będzie wykorzystywał MON do budowania własnej pozycji nawet kosztem PiS. Uznał też, że w tym resorcie potrzebny jest ktoś, kto zacznie efektywnie sprzątać bałagan po poprzednikach zamiast brylować na uroczystościach. Gowin dowiódł swojej skuteczności, najpierw bardzo dyplomatycznie wcielając w życie trudną decyzję o zerwaniu kontraktu na caracale. W ciągu roku rozstrzygnięto nowy przetarg.

TRYBUNAŁ I SĄDY

Problemem był Trybunał Konstytucyjny. Istniał plan, aby pójść w tej sprawie na całość i nie tylko unieważnić wybór przez Sejm poprzedniej kadencji dwóch „nadmiarowych” sędziów, lecz także powołać własnych pięciu dzięki zmianie ustawy o TK. Łatwo przewidzieć, że wywołałoby to długotrwały kryzys wokół

Trybunału i w konsekwencji zlikwidowałoby całkowicie jego i tak szczytowy autorytet jako strażnika konstytucji. Stało się szczęśliwie inaczej i w listopadzie 2015 r. PiS doprowadził do rozwiązania kompromisowego, którego skutkiem było powołanie dwóch nowych sędziów TK, już przez nowy Sejm, zamiast tych, którym kadencja kończyła się w grudniu, a nie unieważnienie poprzedniego wyboru. Zaskarżona do Trybunału kluczowa ustawa o programie „500+” została uznana za konstytucyjną nawet głosami sędziów mianowanych przez PO. Komentowano, że nawet oni poczuli, skąd wieje wiatr. Nowym prezesem TK w 2016 r. została Barbara Piwnik.

Istnieć miał też plan radykalnej przebudowy Sądu Najwyższego i Krajowej Rady Sądownictwa, z ogromną rolą ministra sprawiedliwości oraz polityków. Po cichu jeszcze przed wyborami nad jego założeniami pracował Zbigniew Ziobro. Gdy jednak decydowała się ogólna koncepcja rządów – rewolucja czy ewolucja – Jarosław Kaczyński postawił Ziobrze warunek: jeżeli ma objąć Ministerstwo Sprawiedliwości, musi działać ewolucyjnie. Żadnej rewolucji. Zgoda była jedynie na daleko idącą zmianę Ustawy o ustroju sądów powszechnych, bo ta najbardziej dotyczyła zwykłych ludzi. Kaczyński miał uznać, że pozostałe kwestie – SN i KRS – mają nikły wpływ na sądownictwo powszechne, więc choć zmiany i tam są potrzebne, mają być wypracowane w taki sposób, żeby wciągnąć do współpracy młodszych sędziów.

Ziobro zastosował się do ustaleń. Przede wszystkim po wielomiesięcznych konsultacjach, także ze środowiskami prawników, postawiono na projekt, całkowicie demokratyzujący wybory sędziów członków KRS: każdy sędzia otrzymał taki sam głos, niezależnie od zajmowanego stanowiska. Choć sędziowskie stowarzyszenia, takie jak Iustitia, wciąż grzmiały o naruszaniu niezawisłości sędziowskiej, coraz wyraźniej było słyszeć młodszych sędziów, oskarżających starszych o oportunistyczny wobec poprzedniej władzy i wyrażających satysfakcję ze zmian wprowadzanych przez PiS.

MEDIA

W sprawie mediów publicznych ścierały się początkowo dwie koncepcje. Według jednej pluralizm medialny miało zapewnić przechylene telewizji publicznej maksymalnie na stronę rządu

i zrobienie z niej praktycznie narzędzia prorządowej propagandy. Najważniejszym ogniwem teje miały być „Wiedomości” TVP. Ostatecznie premierowi udało się przekonać prezesa Kaczyńskiego, że będzie to strategia w dłuższym okresie kontrproduktywna i że dużo lepszym pomysłem jest stworzenie w dużej mierze neutralnej lub najwyżej subtelnie wychylonej na stronę władzy telewizji, bo osiągnięcia rządzących można promować bez łopatologicznej formy. Ten plan z powodzeniem realizował Mateusz Matyszkowicz. Postawienie na czele TVP młodego publicysty, kiedyś redaktora naczelnego „Frondy”, wywołało początkowo zdumienie w obozie dobrej zmiany, ale szybko okazało się, że doskonale odnajduje się w nowej roli. W polityce zagranicznej rząd Morawieckiego poszedł drogą spokojnej realizacji strategicznych celów.

DYPLMACJA

Jacek Czaputowicz objął urząd, sygnalizując, że polityka zagraniczna nie może być zakładnikiem krajowej. Zamiast rozważanej wcześniej strategii konfrontacji i tyleż efektownego, co nieefektywnego „wstawania z kolan” przyjęto strategię unikania zbędnych zadrażnień i koncentrowania całego aparatu dyplomacji na wyzwaniach naprawdę ważnych – na przykład kwestii amerykańskiej obecności wojskowej w Europie Środkowej, polityki klimatycznej UE czy sytuacji na Ukrainie.

Polska pod rządami PiS była oczywiście wielokrotnie atakowana. Apogeum ataków przypadło na spór o relokację imigrantów. Groziło nam nawet postawienie przed Trybunałem Sprawiedliwości UE za niewykonanie zobowiązań, które przyjęła jeszcze Platforma, ale wtedy rząd Morawieckiego zadeklarował przyjęcie 150 uchodźców pod warunkiem ich dokładnej weryfikacji oraz wyrażenia przez nich wyraźnej chęci osiedlenia się w Polsce. Te kryteria były trudne do spełnienia i ostatecznie do Polski przyjechało zaledwie 35 osób, ale już to wystarczyło, żeby wymknąć się spod noża Komisji Europejskiej.

Szczególnie dobre stosunki zapanały pomiędzy Warszawą a Berlinem. Podczas nieoficjalnych spotkań kanclerz Merkel z Jarosławem Kaczyńskim zapadło ustalenie, którego obie strony się trzymały. Niemcy chciały, żeby polski rząd i partia rządząca nie przeprowa-

dzały wizerunkowych i medialnych ataków na Niemcy i ich szczególną rolę w Europie. W zamian Polska miała bez sprzeciwów ze strony Berlina przeprowadzać projekt Międzymorza, mieć dużą swobodę działania w Europie Środkowej oraz – o co już dawno temu zabiegał Lech Kaczyński – stałą gorącą linię z Bundeskanzlersamt jako kluczowy partner. Konfliktowe zagadnienia, jak Nord Stream 2, zostały wyjęte poza nawias. Przyjęto, że tu różnice pozostaną, ale nie muszą oddziaływać na resztę relacji.

Gdy pojawiła się sprawa przedłużenia kadencji Donalda Tuska na przewodniczącego Rady Europejskiej, Merkel wyjaśniła Morawieckiemu w rozmowie telefonicznej, że na pozostaniu Tuska na stanowisku zależy jej ze względu na jego dyspozycyjność, ale ustalenia z Warszawą pozostają w mocy. Polska nie oponowała zatem przeciwko dalszej części kadencji byłego premiera w Radzie Europejskiej. Kiedy zaś niedługo później Tusk publicznie skrytykował rząd w Warszawie, Merkel również publicznie zbesztła go w wyjątkowo przykry sposób, przypominając, gdzie jego miejsce.

Radykalna opozycja była w tym wszystkim całkowicie bezradna. Nie była w stanie zaproponować żadnej konkurencyjnej koncepcji, ale też nie umiała przekonać nikogo, że dzieją się rzeczy straszne. Nie udawało jej się znaleźć sojuszników poza krajem. Nasi zagraniczni partnerzy, nawet ci mający z nami sprzeczne interesy, uznali, że Kaczyński idzie drogą Orbána – choć czasami podnosi głos, w gruncie rzeczy unika zbędnych konfliktów, twardo grając jedynie tam, gdzie jest to nieodzowne. A wtedy – lepiej odpuścić.

Czy taki rozwój wypadków byłby możliwy? Tego się oczywiście nie dowiemy, bo formacja Jarosława Kaczyńskiego wybrała całkiem inną drogę, a radykałowie w obozie władzy i jego otoczeniu uznali ją za jedyną właściwą. Jednak sytuacja, w której Polska zużywa ogromną część swoich sił na rozwiązanie nieprzynoszących żadnej wymiernej korzyści konfliktów, a w rok niepodległości wychodzimy z trudnym do podliczenia bilansem wewnętrznych tarć i animozji, każe postawić poważnie pytanie: czy naprawdę nie można było tego rozegrać inaczej?



Wyklęci

między czernią a bielą



Piotr Zychowicz

Żołnierze wyklęci walczyli bohatersko o słuszną sprawę. Możemy być z nich dumni. Nie oznacza to jednak, że mamy zamiatać pod dywan niechlubne epizody ich działalności

Żyjemy w czasach ostrych, zacieklej podziałów. I w czasach wielkich uproszczeń. To, co się obecnie najlepiej „sprzedaje”, to tzw. narracja. Czyli prosty, spójny i jasny przekaz, w którym nie ma miejsca na żadne wątpliwości, półcień i niuanse. Coraz mniej jest

miejsca na dyskusję, a coraz więcej na bezkrytyczne skandowanie sloganów.

O ile od biedy można zrozumieć, gdy podobne metody stosowane są w bieżącej walce partyjno-politycznej, o tyle gorzej, gdy stosuje się je wobec historii. Historia nigdy nie była bowiem czarno-

-biała. I wszelkie próby przycinania jej do ciasnych ram wewnętrznej „polityki historycznej” czy „pedagogiki wstydu” są wielce ryzykowne.

Modelowym tego przykładem jest opowieść o żołnierzach wyklętych. A właściwie dwie – skrajnie różne – opowieści o żołnierzach wyklętych, które zdominowały polską debatę publiczną.

Według części mediów wszyscy żołnierze podziemia antykomunistycznego byli nieskazitelными bohaterami. Żaden z nich nigdy nie zrobił krzywdy bliźniemu, żaden nie zhańbił się niegodnym czynem. Wszyscy byli aniołami. Według innych mediów wyklęci byli hordą kryminalistów. A ich głównymi zajęciami były mordowanie cy-



Żołnierze 5. Wileńskiej Brygady AK.
Od lewej: ppor. Henryk Wieliczko „Lufa”,
por. Marian Pluciński „Mścislaw”, mjr
Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”, NN,
por. Dżdzisław Badocha „Żelazny” FOT. IPN

ojczyzny i wolność osobistą jednostki. Rzucili wyzwanie najbardziej ludobójczemu systemowi w dziejach świata. Mimo miażdżącej przewagi wroga walczyli jak lwy. Bez nadziei na zwycięstwo, a często nawet na przeżycie.

Dla wielu z nich była to walka o godność i honor. A walka taka – niezależnie od naszej oceny jej sensu – zasługuje na najwyższy szacunek. Dlatego możemy być dumni z tysięcy bitew i potyczek, które wyklęci stoczyli z komunistami. Z akcji likwidacyjnych, rozbitych więzień, zasadzek i aktów dywersji.

Duma z dokonań wyklętych nie może jednak oznaczać, że przy użyciu patriotycznej gumki myszki mamy wymazywać z ich historii niewygodne fakty. Czyni, których nie da się usprawiedliwić walką o niepodległy byt państwa polskiego. Nie jesteśmy przecież bolszewikami, żeby cenzurować własną historię.

Historycy oceniają, że przez szeregi polskiego powojennego podziemia niepodległościowego mogło przewinąć się nawet 120 tys. ludzi. Wiara w to, że w tak olbrzymiej zbiorowości uzbrojonych mężczyzn nie było ani jednego, który dopuścił się zbrodni, jest naiwnością.

Cóż ma więc zrobić historyk, publicysta lub dziennikarz zajmujący się powojennym podziemiem niepodległościowym, gdy natrafi na źródła stawiające w niekorzystnym świetle członków jego własnej wspólnoty? Żeby nie być gołosłownym przytoczę kilka przykładów.

Oto relacja pani Eugenii Olszewskiej, mieszkanki białoruskiej wsi Zanie spacyfikowanej przez oddział Narodowego Zjednoczenia Wojskowego 2 lutego 1946 r.:

Nasza siostra Marysia chciała podnosić ojca z ulicy, po strzale. Wtedy jeden z bandytów podbiegł i strzelił jej w usta, z bliska. Siostra, wyjąc z bólu, zdołała przebiec ulicę i upadła przy wierzbie. W strasznym bólu gryzła sobie paznokcie, wygrzebała nogami doły przy brzozie. Kolejny bandyta podbiegł i dobił siostrę.

A oto fragment skargi napisanej po latach przez dyrektora szkoły położonej na pograniczu polsko-litewskim Vladasa Trimonisa. 23 czerwca 1944 r. znalazł się on na celowniku żołnierzy 5. Wileńskiej Brygady AK.

Z żoną i 11-miesięcznym dzieciątkiem uciekliśmy ze szkoły. Ja położyłem się w życie, a żona z córeczką uciekły do szkolnego stróża. Polscy jeźdźcy dogonili żonę z dzieckiem i popędzili do szkoły. Po paru godzinach przyjechał mój ojciec i zawiadomił, że żona i córeczka zostały zamor-

dowane. Zastrzelili je na szkolnym korytarzu. Strzelono widocznie z tyłu, kula wyszła niedaleko od oka. Córeczkę żona trzymała na rękach. Jak ją zamordowali, nie jest jasne, tylko połowa głowy była zniesiona i ściana opryskana mózgiem.

I jeszcze fragment relacji Hanny Harasiuk, dziewczynki, która przetrwała pacyfikację Piskorowic, ukraińskiej wsi zaatakowanej przez oddział Narodowej Organizacji Wojskowej 18 kwietnia 1945 r.:

Kat powiedział do mojej mamy: – Chodź, kurwo, do stodoły. Bardzo ją kopał i bił. Podszedł drugi i strzelił do mojej mamy. Mama upadła, a mój braciszek lwaś, który miał dziesięć lat, upadł i stracił przytomność po tym, co zobaczył.

Historyk lub publicysta, który natrafi na takie wstrząsające źródła, może zrobić dwie rzeczy:

1. Przemilczeć je w imię obrony „pięknej legendy”;

2. Opublikować je w imię wierności prawdzie i empatii dla ofiar.

Ja jestem zwolennikiem tego drugiego podejścia. I właśnie nim kierowałem się, pisząc książkę „Skazy na pancerzach”. O ile bowiem stosunek do ofiar pochodzących z własnego narodu jest probierzem patriotyzmu, o tyle stosunek do ofiar z innych narodów jest probierzem ludzkiej przyzwoitości.

W książce starałem się w obiektywny sposób ukazać pełne oblicze tych wyklętych, których działalność wzbudza dziś największe emocje opinii publicznej. Przedstawić zarówno blaski, jak i cienie ich tragicznych biografii. Ich olbrzymie zasługi dla Rzeczypospolitej, ale również epizody mniej chwalebne. Przede wszystkim starałem się jednak ukazać motywacje tych ludzi, kontekst ich działań, okoliczności i proporcje.

MARGINES, NIE REGUŁA

Zacznijmy od sprawy najważniejszej. Otóż przypadki niegodnego zachowania niektórych wyklętych nie mogą rzutować na ocenę całego podziemia niepodległościowego. Byłoby to bowiem niesprawiedliwością wobec dziesiątek tysięcy wyklętych, którzy nigdy nie splamili się strzelaniem do bezbronnych.

Zabójstwa cywilów stanowiły absolutny margines działalności podziemia antykomunistycznego. Wyklęci strzelali głównie do Sowietów, ubeków, milicjantów i żołnierzy KBW. Szpicli oraz partyjniaków. A nie do kobiet i dzieci.

wilów, gwałty i grabieże. Wszyscy wyklęci byli diabłami wcielonymi. Z jednej strony otrzymujemy więc obraz biały jak śnieg, a z drugiej czarny jak smoła. A jak było naprawdę? Tak jak w prawdziwym życiu – czyli różnie. Rzeczywistość nie była ani tak idylliczna, jak zapewniają brązownicy, ani tak katastrofalna, jak twierdzą lewicowcy.

Wyklęci nie byli aniołami, ale nie byli też diabłami. Byli po prostu ludźmi. Z krwi i kości. A więc jak wszyscy ludzie popełniali także błędy.

SŁUSZNA SPRAWA

Nie ma wątpliwości, że wyklęci bili się o słuszną sprawę. O niepodległość

Historycy szacują, że żołnierze wykłęci dokonali kilkunastu tysięcy akcji zbrojnych. A straty strony komunistycznej w wojnie z podziemiem wynosiły od kilku do kilkunastu tysięcy. A więc wielokrotnie przekraczały te, które poniosła ludność cywilna. Sprawców zabójstw należy więc oceniać indywidualnie, a nie kolektywnie. Jest to fundamentalna zasada cywilizowanego świata, od której odstępować nie wolno. Każdy człowiek może odpowiadać tylko za swoje czyny.

Niestety, nie wszyscy uczestnicy debaty publicznej są tego samego zdania. Niegodnych czynów dokonanych przez niektórych wykłėtų używają oni instrumentalnie do próby skompromitowania całego podziemia. Modelowym przykładem jest głośna kampania „wykłéci przekłéci”. Taką „narrację” prowadzą przede wszystkim środowiska postkomunistyczne, które kult wykłėtų uwiera najbardziej. Podejście takie jest niedopuszczalne, bo prowadzi do rozmycia podstawowych faktów.

Otóż wydarzenia lat 1944–1963 nie były żadną „wojną domową”, nie były też „walkami bratobójczymi”. Była to walka polskich patriotów z obcym, sowieckim najazdem. Wkroczenie Armii Czerwonej do Polski nie było żadnym „wyzwoleniem”, tylko nową okupacją. Przedstawianie wszystkich żołnierzy podziemia jako bandytów pozwala tymczasem zdjąć odium winy z komunistów. Skoro wykłéci byli czarnymi charakterami, to – automatycznie – zwalczające ich władze odgrywały rolę pozytywną. Jest to absurd. To, co dla wykłėtų było bowiem marginesem i największą patologią, dla komunistów było normą.

O ile zdecydowana większość zbrodni wykłėtų wypływała z inicjatywy lokalnych dowódców lub była popełniana w afekcie, o tyle w przypadku komunistów mieliśmy do czynienia z zaplanowaną z góry państwową kampanią eksterminacyjną.

Obława augustowska. Nocne egzekucje przy Rakowieckiej, masakry, obozy koncentracyjne w Jaworznie i Świętochłowicach, krwawe ubeckie katownie, deportacje i przesiedlenia. Wagony bydłce, pistoletowe kule, odwrócone stołki i kolczasty drut. Zinstytucjonalizowany masowy terror.

Komuniści po wojnie utopili Polskę we krwi. W porównaniu z nimi nawet najbardziej radykal-

ni żołnierze podziemia jawią się jako wzór żołnierskich cnót. Mówiąc o niegodnych czynach żołnierzy podziemia niepodległościowego, pamiętajmy więc, z kim walczyli. I o proporcjach.

BLASKI I CIENIE

Kluczowe jest również to, aby ukazać kontekst tych wydarzeń. Weźmy słynny rajd oddziałów 5. Wileńskiej Brygady AK mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” na Litwę Kowieńską. Miał on miejsce w czerwcu 1944 r. i jego efektem była śmierć kilkudziesięciu litewskich cywilów. Głównie kobiet i dzieci.

O tej tragedii należy pisać otwarcie. Nie można jednak o niej pisać w oderwaniu od tego, co się stało kilka dni wcześniej. Czyli masakry Polaków, do której doszło w miejscowości Głinciszki. Litewscy policjanci zamordowali tam kilkadziesiąt osób – wśród nich również były kobiety i dzieci – a ich ciała wrzucili do masowego grobu.

Radykalne działania odwetowe podjęte przez żołnierzy AK w Dubinkach i innych litewskich wsiach były więc spowodowane szokiem oraz wściekłością, które wywołała litewska zbrodnia. Niestety, Polacy postanowili odpowiedzieć pięknym za nadobne. W imię zasady „oko za oko – ząb za ząb”.

Podobnie było we wspomnianych już Piskorowicach. W pacyfikacji dokonanej przez oddział kpt. Józefa Zadziarskiego „Wołyniaka” śmierć poniosło ok. 120 ukraińskich cywilów. Poprzedniego dnia kureń UPA dowodzony przez Iwana Szpontaka „Zaliźniaka” puścił jednak z dymem pobliską polską wieś Wiązownica. W masakrze zginęło z kolei blisko 80 cywilów.

Warto jeszcze dodać, że spora część żołnierzy kpt. Zadziarskiego pochodziła z Wołynia, gdzie na własne oczy widziała ludobójstwo dokonane na polskiej ludności cywilnej przez ukraińskich cywilów.

Nie chodzi oczywiście o to, żeby mnożyć okoliczności łagodzące. Nic nie usprawiedliwia strzelania do kobiet i dzieci. Chodzi o to, żeby pokazać kontekst i tło tych dramatycznych wydarzeń w celu zrozumienia motywów, którymi kierowali się żołnierze.

To były niezwykle brutalne konflikty i wszystkie strony nie przebiegały w środkach. Wojna ma bowiem to do siebie, że demoralizuje ludzi i często wyciąga z nich to, co najgorsze.

Tym sposobem docieramy do kolejnego ważnego zastrzeżenia. Mniejszych lub większych zbrodni wojennych dopuszczały się wszystkie armie biorące udział w II wojnie. Z tego strasznego, totalnego konfliktu nikt nie wyszedł czysty jak łąza. Swoje czarne karty mają armie amerykańska, francuska czy brytyjska. A także polska.

Przedstawianie wykłėtų jako jedynej formacji, która „ma coś za uszami”, jest więc sprzeczne z faktami historycznymi. W każdym narodzie i w każdej zbiorowości ludzkiej znajdują się przecież jednostki zdolne do niegodnych czynów. Taka jest bowiem logika wielkich liczb i taka jest natura ludzka.

„Kto nie ocenia zjawisk metodą kolektywnego uproszczenia – pisał mój mistrz Józef Mackiewicz – ten wie, że każdy naród przedstawia nieskończenie różnorodny wachlarz. Tym większy, im naród jest liczniejszy. Mieszczą się w nim dyrektorzy banków i włamywacze do kas bankowych. Siostry zakonne i prostytutki. Ludzie o zamiłowaniach mieszczańskich i teoriach anarchistycznych. Dusigrosze i rozrzutnicy. Starzy i młodzi. Dobrzy i źli. Ludzie są tylko ludźmi, a nie kolektywem złej lub dobrej klasy, jak uczył Lenin, czy złego czy dobrego narodu, jak uczył Hitler”.

To samo dotyczy wykłėtų. W szeregach podziemia byli wielcy bohaterowie, ale byli też ludzie, których działań po latach nie da się usprawiedliwić. Mało tego, czasami w jednym życiorysie, niczym dwie splecione nici, przeplatały się heroizm i okrucieństwo.

Oczywiście nikt nie lubi słuchać, że przedstawiciele jego narodu dopuszczali się niegodnych czynów. Ja także. Gdy dowiadywałem się po raz pierwszy o podobnych przypadkach, nie mogłem w nie uwierzyć. Sądziłem, że mam do czynienia z komunistyczną propagandą albo ubekimi prowokacjami. Niestety, najnowsze badania naukowe nie pozostawiają w tej sprawie wątpliwości – takie pożałowania godne sytuacje się zdarzały.

Upierając się, że było inaczej, na dłuższą metę wyrządza się legendzie powojennego podziemia niedźwiedzią przysługę. Pisanie o wykłėtų w tonie jednostronnego, urzędowego kultu może przynieść skutek odwrotny od zamierzonego. W części opinii publicznej prędkiej czy późniejszej wywoła bowiem przekorę i zniechęć ją do antykomunistycznego podziemia. Jestem przekonany, że legenda żołnierzy wykłėtų obroni się bez patriotycznych pudrów i szminek.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ
„SKAZY NA
PANCERZACH.
CZARNE
KARTY EPEPEI
ŻOŁNIERZY
WYKŁėtųCH”
REBIS 2018



Tadeusz Płużański

Nie powinniśmy wpisywać się w retorykę zbrodniczej komunistycznej propagandy, która za wszelką cenę chciała zdeprecjonować niezłomnych

Jak powinniśmy pisać o wykłetych przez komunistów żołnierzach niezłomnych? Przede wszystkim nazywajmy rzeczy po imieniu. Pamiętajmy, że to polskie wojsko w większości kontynuowało walkę rozpoczętą tragicznego września 1939 r. i trwającą w toku zbrodniczej okupacji niemieckiej. Że przez następne lata – po 1944/1945 – ci żołnierze niepodległej zachowali wierność polskim ideałom i ciągłość walki o wolność, kontynuując to, co w historii oporu antyniemieckiego było najważniejsze: tradycję Polskiego Państwa Podziemnego, Armii Krajowej czy Narodowych Sił Zbrojnych. Nie zapominać, że nie brali udziału w żadnej wojnie domowej, ale stawiali nierówny opór – nie wyzwolicielowi, ale drugiemu, po niemieckim okupantowi Polski. Co to była bowiem za Polska, w której Polacy byli mordowani przez komunistów całkowicie podporządkowanych Moskwie? Pamiętajmy o najważniejszym celu tej walki – ochronie ludności cywilnej przed sowietyzacją.

Coraz częściej historycy tę wojnę polsko-sowiecką lat 1944–1954 nazywają ostatnim polskim powstaniem. To wszystko – 10 lat zmagania, zasięg terytorialny (Polska w granicach wyznaczonych przez Stalina i walka na kresach – aż do 1949 r.), a przede wszystkim liczebność (przynajmniej kilkadziesiąt tysięcy powstańców) – świadczy o wyjątkowości tych żołnierzy i tej walki. W żadnym z krajów podbitych przez Związek Sowiecki nie było takiego fenomenu.

Tymczasem Sowietzi i poddani im komuniści zgotowali niezłomnym piekło. Oni mieli zniknąć na zawsze – jakby wojna dla Polski skończyła się w 1945 r., jakby żaden opór przeciwko drugiemu sowieckiemu okupantowi w ogóle nie istniał. Alojzy Grabicki, naczelnik warszawskiej katowni przy ul. Rakowieckiej w latach 1945–1954, żonie jednego ze skazanych odparł:



Witold Pilecki prowadzi defiladę w Lidzie z okazji Dnia Niepodległości FOT. IPN



Nie niszczy zwycięstwa

„Po takich zbrodniarzach ziemia musi być zrównana”.

DLACZEGO WYKŁĘCI

Dlatego powinniśmy wyraźnie definiować, dlaczego ci żołnierze byli wykłęci i przez kogo. To wykłęcie należy zresztą rozumieć na wiele sposobów. W pierwszym rzędzie jako eliminację fizyczną, po której ciała wrzucano potajemnie do nieoznaczonych dołów. Taka zbrodnicza praktyka miała miejsce np. na stołecznej „Łączce”, gdzie bezimiennie mogiły pokrywano później płytami chodnikowymi lub innymi grobami. Jednak wykłęcie to również niszczenie rodzin tych żołnierzy, np. poprzez pozbawienie perspektyw zawodowych i – w konsekwencji – życiowych. Wreszcie: wymazanie bohaterów z kart historii, przesłonięcie publicznej i w ogóle świadomości Polaków.

Powinniśmy traktować jako memento fakt, jak długo, również w tzw. III RP, trwało ich odkłamywanie – od połowy lat 90. i prekursorskich działań środowiska Ligi Republikańskiej (posługiwali się terminem „wykłęci” ze względu na brak tych żołnierzy w zbiorowej pamięci Polaków) oraz solidarnościowego wydawcy Adama Borowskiego aż do przełomowej dla żołnierzy prezydentury śp. Lecha Kaczyńskiego, który podniósł ich do rangi bohaterów narodowych, inicjując Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wykłętych (co dziś kontynuuje prezydent Andrzej Duda).

Przecież to przywracanie pamięci dokonało się w dużej mierze wbrew kontrolowanej przez komunistów transformacji po 1989 r. Wykłęci wrócili do świadomości nie dzięki elitom okragłostołowym, ale za sprawą niewielu w sumie historyków i pasjonatów historii. To był spontaniczny, oddolny i obywatelski impuls. Dopiero później odpowiedzialność za ich historię wzięły na siebie instytucje państwowe – przede wszystkim Instytut Pamięci Narodowej.

Powinniśmy podkreślać, że wbrew sowieckiemu wykłęciu oni byli niezłomni. Walczyli mimo dramatycznej sytuacji: własnej i ojczyzny, kiedy Zachód Polskę zdradził i oddał w ręce Stalina. Przy okazji postuluję, by nie zaliczać do nich tylko partyzantów walczących z bronią w ręku. Wykłym przez komunistów żołnierzem niezłomnym był również rtm. Witold Pilecki, który pozostał oficerem wywiadu. Albo gen. August Emil Fieldorf „Nil”, który zrezygnował z jakiegokolwiek walki. Jednak oni do końca życia, mimo ubeckiego śledztwa, zachowali niezłomną postawę. Później

komuniści ich wykłęli, wymazali z historii, tak samo jak mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszke” czy mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zaporę”. Dla fenomenu żołnierzy niezłomnych najistotniejsza jest nie forma walki, ale jej cel. A było nim odzyskanie przez Polskę niepodległości, przez Polaków wolności, a warunkiem tego zrzucenie sowieckiej okupacji.

JEDNOŚĆ IDEI

Zgoda, że wśród niezłomnych nie było jedności formacji, ale – co najważniejsze – była jedność idei. W takim samym stopniu niezłomnym jest Stanisław Łukasik „Rys” z lubelskiego zrzeczenia Wolność i Niezawisłość jak Henryk Flame „Bartek”, dowódca Narodowych Sił Zbrojnych na Śląsku Cieszyńskim. Zgoda, były podziały – np. te z czasów okupacji niemieckiej przeszły na czasy sowieckie, bo to, jak już pisałem, była kontynuacja oporu. W obu konspiracjach byli piłsudczycy, ludowcy, chadecy, niepodległościowi socjaliści, narodowcy. Jednak walczyli ze wspólnym wrogiem. A różnice polityczne czy światopoglądowe były drugorzędne i stanowiły o sile, wartości idei dla różnych środowisk. Istotne było to, że najpierw trzeba tę wolną Polskę wywalczyć. To był wspólny mianownik ich wszystkich. Podobnie było wcześniej, kiedy w powstaniu warszawskim też walczyli żołnierze NSZ, mimo że nie zgadzali się z ideą zrywu. Zresztą podstawowa podległość pozostała ta sama – polscy żołnierze, tak jak podczas okupacji niemieckiej, w większości dalej uznawali polski rząd na uchodźstwie. To świadczy o ciągłości, ale też o legalności struktur, w przeciwieństwie do komunistycznej usurpacji.

Następca „Zapory” kpt. Zdzisław Broński „Uskok” pisał: „Życie poświęcić warto jest tylko dla jednej idei, idei wolności! Jeśli walczymy i ponosimy ofiary to dlatego, że chcemy właśnie żyć, ale żyć jako ludzie wolni, w wolnej Ojczyźnie”.

Teraz zastanówmy się, czego nie powinniśmy robić. Nie powinniśmy przede wszystkim dzielić okresów polskiej walki – do 1945 r. miała być ona słuszna i sensowna, a po 1945 r. niepotrzebna i bezsensowna. A czy ma sens dzielenie polskich żołnierzy na dwa pokolenia – AK i NSZ, a potem WiN i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego? Nie, bo to było jedno, polskie, patriotyczne pokolenie, a sięgając jeszcze głębiej – na ogół byli to ci sami żołnierze, którzy nie złożyli broni przed sowieckimi „wyzwolicielami”. Czy sensowne jest również stwierdzenie, że do 1945 r. kpt. Romu-



ald Rajs „Bury” jest bohaterem, a po 1945 r. staje się nagle bandytą? Zresztą poważni badacze, Kazimierz Krajewski czy Grzegorz Wąsowski, kwestionują jego „zbrodnie”, nie mówiąc już o tym, że w 1995 r. Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego unieważnił wyrok śmierci na kpt. Rajsa, który wydały na niego komunistyczne władze, oczyszczając go tym samym ze wszystkich zarzutów i uznając jego działalność za służącą niepodległości Polski.

ANTYPOLSKIE ZAKŁAMANIE

Nie powinniśmy zatem wpisywać się w retorykę zbrodniczej komunistycznej propagandy, która za wszelką cenę chciała – i to antypolskie zakłamanie trwa do dziś – zdeprecjonować niezłomnych. Robiła z nich nie tylko przestępców politycznych, lecz także wyrzutków społecznych, ludzi z marginesu, pospolitych bandytów, morderców, złodziei, antysemitów, czyli diabły wcielone. Pamiętajmy przesłanie 17-letniej sanitariuszki 5. Wileńskiej Brygady AK Danuty Siedzikówny, która odmówiła podpisania prośby o łaskę do Bieruta, bo w piśmie jej koledzy z oddziału zostali nazwani bandytami. Jednak niezłomni to było przede wszystkim polskie wojsko, wychowane na przedwojennych tradycjach, oddające dodatkowo cały przekrój II RP – nie tylko polityczny, lecz także społeczny, ze szczególną reprezentacją chłopów.

Nie powinniśmy na siłę szukać skaz na pancerzach w momencie, kiedy wiedza o niezłomnych jest wciąż niewielka. Kiedy tylko ok. 40 proc. Polaków rozpoznaje



Zygmunt Szendzielarz ps. Łupaszka
(w środku) wraz z kolegami FOT. IPN

rtm. Pileckiego. Kiedy oprócz ochotnika do Auschwitz potrafimy jako zbiorowość wymienić zaledwie kilku – „Łupaszkę”, „Burego”, „Ognia”. A gdzie pamięć np. o Stanisławie Sojczyńskim, wspomniał komendant Konspiracyjnego Wojska Polskiego, przedwojennym nauczycielu, czy innym wybitnym Polaku i żołnierzu – ppłk. Łukaszu Cieplińskim, który był ostatnim komendantem WiN, a de facto, dzięki ciągłości organizacyjnej i ideowej, ostatnim komendantem AK? Ten ostatni – typowy żołnierz dwóch okupacji i dwóch konspiracji – w jednym z grypsów do rodziny z celi śmierci napisał: „Zrobili ze mnie zbrodniarza. Prawda jednak wkrótce zwycięży. Nad światem zapanuje idea Chrystusowa, Polska niepodległość – a człowiek pohańbiona godność ludzką – odzyska”.

„My chcemy Polski suwerennej, Polski chrześcijańskiej, Polski – polskiej!” – tak cel powojennej walki przedstawiał kpt. Władysław Łukasiuk, „Młot”, dowódca 6. Brygady Wileńskiej AK, legenda Podlasia.

„Ich niezłomność bardzo często była poddyktowana nie tylko walką o niepodległość, ale także wiarą w Boga i wiernością Jego prawom” – mówił w jednej z homilii ksiądz prałat Józef Maj z kościoła św. Katarzyny na warszawskim Śłużewie, gdzie komuna też zakopała ofiary swojego reżimu w zbiorowych dołach.

Podpułkownik Ciepliński, kpt. Łukasiuk mieli rację. Prawda i idea Chrystusowa zwyciężają. Uszanujmy ich wiarę w Polskę i Boga, nie niszczy my tej pięknej, arcy-polskiej idei.

„Wartość walki tkwi nie w szansach zwycięstwa sprawy, w imię której się ją podjęło, ale w wielkości tej sprawy” – to słowa filozofa Henryka Elzenberga.

Oznaczają sens walki ze złem nawet wtedy, gdy ta walka skazana jest na porażkę. To piękna, niezłomna idea ratowania Rzeczypospolitej za wszelką cenę. Nie niszczy my tego.

TRZEBA PRZYWRACAĆ

Zwycięstwo wyklętych przez komunistów żołnierzy niezłomnych, bohaterów, ale też ludzi z krwi i kości (nawet jeśli jest to zwycięstwo zza grobu) jest tym piękniejsze, bo odniesione głównie dzięki zwykłym Polakom, polskiej młodzieży, dzięki działaniom społecznym. Nie niszczy my tego, szczególnie w momencie, kiedy większość z nich nie została jeszcze wydobyta z bezimiennych dołów śmierci. Dzisiaj możliwe stało się to, co było blokowane przez lata: ekipa naukowców prof. Krzysztofa Szwagrzyka pracuje na terenie całego kraju, razem z ogromną rzeszą wolontariuszy. Nie niszczy my tego.

Jednak moglibyśmy przy okazji trochę inaczej rozłożyć akcenty. Trochę mniej mówić o martyrologii niezłomnych – choć to ważny, tragiczny kres ich życia – a częściej o tym, jacy to byli ludzie. Nigdy dość przypomnienia, jakie to było wspaniałe, patriotyczne pokolenie. Tym smutniejsze jest to, że komuniści wyrwali nam ten wyjątkowy element polskiego kręgosłupa. Tym bardziej musimy tę historię odbudować, przywrócić ich, a co za tym idzie

– ciągłość polskich dziejów, polskiego państwa. To obowiązek nas, współczesnych.

Nie pozwalamy, aby ten kręgosłup był nam dalej wyrywany. Dlatego priorytetem jest dalsza zmiana programów nauczania. Tak, aby polska młodzież dowiedziała się o nich – Cieplińskim, Szendzielarzu, Dekutowskim, Kasznicy, Pileckim, Fieldorfe. Tylko wtedy młodzi ludzie będą mogli zrozumieć, jaka była istota komunizmu i postkomunizmu. Zobaczmy dramat polskiej elity wyeliminowanej przez czerwonych zbrodniarzy, którzy nielegalnie, po trupie przedwojennej Polski, przejęli władzę i kazali siebie nazywać bohaterami.

Myśląc o niezłomnych, powinniśmy pamiętać takie oto sceny, charakterystyczne dla wielu z nich, dla sprawy, o którą walczyli. Komunistyczny prokurator Witold Gatner tak opisał moment zamordowania gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila” 24 lutego 1953 r.: „Byłem zdenerwowany, napięty. Czulem, że trzęsą mi się nogi. Skazany patrzył mi cały czas w oczy. Stał wyprostowany. Nikt go nie podtrzymywał. Po odczytaniu dokumentów zapytałem skazanego, czy ma jakieś życzenie. Na to odpowiedział: »Proszę powiadomić rodzinę«. Oświadczyłem, że rodzina będzie powiadomiona. Zapytałem ponownie, czy jeszcze ma jakieś życzenia. Odpowiedział, że nie. Wówczas powiedziałem: »Zarządzam wykonanie wyroku«. Kat i jeden ze strażników zbliżyli się [...]. Postawę skazanego określiłbym jako godną. Sprawiał wrażenie bardzo twardego człowieka. Można było wprost podziwiać opanowanie w obliczu tak dramatycznego wydarzenia”.

Walka, a często ofiara życia żołnierzy II konspiracji niepodległościowej, to symbol niezłomnej postawy bohaterów, a także hańby ich oprawców, którzy mordowali polskich patriotów, a potem przez lata zabijali pamięć o nich, nazywając zdrajcami i bandytami, wyrzucając na śmietnik historii. Dzisiaj dalej musimy walczyć o to, aby wyklętym przez komunistów żołnierzom niezłomnym przywrócić należne miejsce w pamięci następnych pokoleń Polaków. Dajmy się nimi nacieszyć ich odkrywcom. Szczególnie polskiej młodzieży, która to niezłomnych – a nie komunistów – uznaje za swoich bohaterów. Niezłomni zwyciężyli, nie zabijamy ich po raz kolejny.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest prezesem fundacji łączka, publicystą historycznym, autorem książek o żołnierzach niezłomnych i nierozliczonych zbrodniach komunistycznych.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Śmierć Rasputina

To wielka historiozoficzna dyskusja. Czy historia jest niczym rzeka, która płynnie zawsze utartym korytem? I żadne – nawet nawietyniejsze jednostki – nie są w stanie zmienić jej biegu? Czy też może odwrotnie – nic nie jest z góry przesądzone, gdyż wszystko zależy od wielkich postaci historycznych, ich czynów, cech charakteru i wyborów.

Nie ukrywam, że jestem zwolennikiem tego drugiego podejścia. W przeciwieństwie do marksistów nie wierzę bowiem w determinizm dziejowy. Uważam, że ludzkość nie była skazana na komunizm. Triumf bolszewizmu w Rosji wcale nie był pewny. Był on skutkiem wielu fatalnych okoliczności.

Jedną z nich było to, że na tronie imperium Romanowów zasiadał akurat Mikołaj II. A więc człowiek chwiejny i niezdeterminowany. Jaka szkoda, że Aleksander III umarł przedwcześnie na zapalenie nerek i nie doczekał roku 1917. Gdyby rewolucja wybuchła za jego panowania, Lenin i Trocki zawiśliby na suchych gałęziach. Komunistyczny pucz zostałby z miejsca stłumiony, bolszewicy podzieliliby los paryskich komunistów.

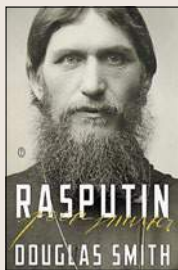
Niestety, carem był jednak Mikołaj II. Za symbol degrengolady, jaka toczyła tego władcę i jego otoczenie, może służyć postać Rasputina. Jak to możliwe, że cesarz

nie przepędził go precz? Jak to możliwe, że taki cham mógł mieć tak wielki wpływ na to, co działo się w Rosji? Takie pytania zadawałem sobie, czytając znakomitą książkę „Rasputin” pióra brytyjskiego badacza Douglasa Smitha.

Przez wiele lat pozycja, jaką faworyt cesarzowej zajmował na rosyjskim dworze, była powodem zgorszenia wśród poddanych. Szczególnie w szeregach korpusu oficerskiego. Trudno w to dziś uwierzyć, ale ten mnich decydował nawet o obsadzie stanowisk ministerialnych! Ta niebywała historia zakończyła się drastycznie. 17 grudnia 1916 r. grupa arystokratów pod wodzą Feliksa Jusupowa uśmierciła Rasputina. Mnicha najpierw otruto, potem wpakowano w niego trzy kule (jedną prosto w czoło), a na koniec wrzucono pod lód do Newy.

Spiskowcy wierzyli, że dokonując tego zabójstwa, uratowali dynastię przed „ruiną oraz hańbą” i zbawili Rosję. Nie rozumieli jednak, że Rasputin nie był przyczyną procesów rozkładowych toczących Rosję i dom Romanowów. On był tylko ich objawem. Gdy rok później wybuchła rewolucja, Mikołaj II nie potrafił wykrzesać z siebie energii, by zdławić bunt. Zamiast tego pogrążył się w fatalistycznej rezygnacji i abdykował.

Zdecydowanie bolszewicy mieli więcej szczęścia niż rozumu. ©©



★★★★★
DOUGLAS SMITH
„RASPUTIN”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE 2018



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Apostata Piłsudski

Podobno w naszym kraju skuteczny polityk musi być Polakiem, wyznawać religię rzymskokatolicką i mieć uregulowane sprawy rodzinne. W przypadku II RP teoria ta nie wytrzymywała konfrontacji z rzeczywistością. Politycy z pierwszych szeregów zmieniali wyznania, unieważniali małżeństwa, a ze sprawami rodzinnymi też bywało różnie. Józef Piłsudski, chcąc ożenić

synonimami. Prawosławny to Rosjanin, a protestant to Niemiec. Fakt powrotu do katolicyzmu zachował jednak w tajemnicy, oficjalnie wrócił do religii przodków dopiero po śmierci pierwszej żony. Natomiast pikanterii całej sprawie dodaje to, że jeden ze świadków (Wieniawa) kilka lat później sam został protestantem (kalwinem). Po śmierci pierwszej żony powrócił do katolicyzmu, biorąc z drugą małżonką cichy ślub w obrządku rzymskokatolickim.

Pojęcia „Polak” i „katolik” stały się synonimami. Prawosławny to Rosjanin, a protestant to Niemiec

Jeszcze większe zamieszanie było z wyznaniem właściwego triumfatora z maja 1926 r. – gen. Gustawa Orlicz-Dreszera. Pochodził on z rodziny wyznania ewangelicko-augsburskiego, ale w 1921 r. poślubił w obrządku katolickim aktorkę, Wandę Filochowską. Natomiast unieważnienie małżeństwa (13 lat później) odbyło się przed sądem konsystorskim Synodu Wileńskiego Kościoła Ewangelicko-Reformowanego. Pozostaje mieć nadzieję, że sam zainteresowany orientował się, jakiego właściwie jest wyznania... Jego kolejne małżeństwo miało świecki charakter. Generał wziął ślub w Gdyni (na terenie dawnego zaboru pruskiego), gdzie istniały małżeństwa cywilne.

Przypadek Józefa Piłsudskiego wzbudza jednak pewne wątpliwości. Czy po wyrzeczeniu się luteranizmu z punktu widzenia Kościoła wciąż pozostawał mężem Marii Juszkiewiczowej czy też nie? Wydaje się, że to ciekawy temat dla specjalistów od prawa kościelnego. ©©

się z Marią Juszkiewiczową, przeszedł na luteranizm, gdyż w tym obrządku jego wybranka unieważniła swoje pierwsze małżeństwo.

Po kilkunastu latach zmienił jednak zdanie. Wyrzeczenie się protestantyzmu miało prywatny charakter, odbyło się 27 lutego 1916 r. w Karasinie na Wołyniu przed kapłanem 1. pułku (świadkami byli Sosnkowski i Wieniawa). Piłsudski nigdy nie był fanatykiem religijnym, jego stosunek do wiary można nazwać umiarkowanym. Nie zwracał uwagi na poglądy innych, wątpliwe, by przeszkadzało mu fakt, że od kilkunastu lat był protestantem. Uświadomił sobie jednak, że przez ponad stulecie niewoli pojęcia „Polak” i „katolik” stały się



DOPING Z CZAJNIKIEM

Ponieważ Rosjanie stosowali upaństwowiony doping w sporcie, nie ma ich reprezentacji na igrzyskach w Pjongczangu. Zrobiono za to miły gest i pozwolono czystym zawodnikom wystartować pod flagą olimpijską. Szybko jednak okazało się, że pierwszym przyłapanym na doping w Korei Południowej jest... Rosjanin Aleksander Kruszelnicki – brązowy medalista w curlingu. Według mediów w jego organizmie wykryto meldonium. Curlerzy z innych reprezentacji byli zdumieni, bo ich zdaniem w tej dyscyplinie doping nie ma sensu. Trzeba tam bowiem jedynie wypuścić po lodzie kamienny „czajniczek” i trafić nim w odpowiednie miejsce. No, jest jeszcze zadanie szczotkowania lodu przed kamieniem, żeby nadać mu odpowiedni tor. Jednak zamiatać na doping?

FOT. WALEY SHARIF/UTASS/GETTY IMAGES

NIERÓWNA RÓWNOŚĆ

Walka o parytet może być działaniem samobójczym. Wskazują na to badacze z University of Missouri i Leeds Beckett University w Wielkiej Brytanii. Z ich opracowania, przytaczanego przez Science-Newsline wynika, że tam, gdzie kobiety specjalnie zachęca się do studiowania nauk ścisłych, matematyki i inżynierii, pięknej płci jest na takich kierunkach mniej niż tam, gdzie kobiet nie zachęca się do kierunków preferowanych tradycyjnie przez mężczyzn. Brytyjscy naukowcy nazwali to „paradoksem równości płci”. Ich zdaniem w bardziej rozwiniętych i zamożnych krajach kobiety częściej kierują się osobistymi preferencjami – a że częściej niż technika odpowiadają im nauki humanistyczne i biologiczne, to wybierają taką ścieżkę. Piewcy parytetów mają już tylko jedno rozwiązanie: przymus.

NOWOCZESNA UCZELNIA

Jeśli chodzi o studiowanie, to oryginalni zaczynają być Kanadyjczycy. Dalhousie University szuka nowego pracownika ds. kontaktów ze studentami. I stawia

jeden konkretny wymóg – ma to być osoba „widocznie inna rasowo”. Uczelnia chce bowiem być zróżnicowana pod tym względem. Do tej pory takich osób wśród pracowników naukowych jest 11 proc. (wzrost od 2015 r., gdy było to 8,3 proc.). Zdaniem przedstawicieli uniwersytetu jest jeszcze jednak kłopot z kadrą wyższego szczebla – odsetek osób innych niż białe na stanowiskach zarządzania sięga zaledwie 4,7 proc. Jaki wstyd!

NIEMCY ROZBROJENI

Dziennik „Die Welt” dotarł do wewnętrznego raportu niemieckiego resortu obrony. Wynika z niego, że Niemcy nie tylko nie spełniają NATO-wskich wymagań co do finansowania obronności, lecz także ich armia jest w prawdziwej rozsypce. Bundeswehra ma w 2019 r. objąć dowództwo nad nową formacją bardzo wysokiej gotowości NATO, tymczasem z potrzebnych do tego 44 czołgów Leopard 2 sprawnych jest zaledwie dziewięć. A z 14 bojowych wozów piechoty gotowe do działań są zaledwie trzy. Coraz częściej także Luftwaffe nie jest w stanie spełniać zobowiązań wobec NATO, bo formacja boryka się z awariami sprzętu. ©

Łukasz Zboralski



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

0 faszystach i rasistach

Wyznawcy jedynie słusznych, lewicowych poglądów chcieli uhonorować swego arcykapłana, pisarza Roberto Saviano (autor słynnej „Gomorri”) literackim Noblem. Akademia Szwedzka się na Saviano nie poznała. Jednak w oczach postępowego świata pisarz pozostaje bezdyskusyjnym autorytetem moralnym i sumieniem Italii.

Tydzień temu Saviano powiedział brytyjskiemu „Guardianowi”: „Faszyzm powrócił do Italii i paraliżuje cały kraj”. Zaniepokojony zacząłem rozglądać się za Czarnymi Koszulami. Bez skutku. Jako że zbliżają się wybory (4 marca), rzuciłem

się na sondaże. Okazuje się, że za neofaszystowską Forza Nuova opowiada się 0,2 proc. badanych, a za pogrobowcami Mussoliniego z CasaPound – 0,5 proc. Klub kibica rzymskiego Lazio nie wystartował, a nikt inny się w Italii do faszyzmu nie przyznaje, odetchnąłem więc z ulgą. Niestety, przedwcześnie.

Okazuje się bowiem, że można być faszystą i rasistą, nie zdając sobie z tego sprawy. Jak jasno wykspikowała w telewizji postępową dama: „Ci, którzy protestują przeciw migracji, są rasistami, choć może nawet o tym nie wiedzą”.

Wyszło więc na to, że Saviano może mieć rację. Szczególnie jeśli

przyjąć, że rozpoznać nieuświadomionego faszyzm i rasizm, zwłaszcza mutację bezobjawową, potrafią jedynie postępowi intelektualiści.

Ruszyła wielka przedwyborcza akcja diagnostyczna. Z komentarzy w czołowych włoskich mediach wynika, że obóz postępu, jedyna zdrowa siła narodu, staje w tych wyborach do walki z siłami zła: rasistami, faszystami i populistami. Można też wyczytać zale, że naród pobił, bo – jak wynika z sondaży – na lewicę głosować nie chce. Może, jak kiedyś sugerował władzom NRD Brecht, progresiści powinni sobie wybrać jakiś inny naród? ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Współczesny Dawid czy Goliat?



Tomasz Teluk

Jest wierny idei Wielkiego Izraela i liczy, że dzięki sojuszowi z Donaldem Trumpem uda mu się ją zrealizować podczas kolejnej kadencji. Może się jednak okazać, że na przeszkodzie Beniaminowi Netanjahu staną całkiem przyziemne sprawy...



FOT. REUTERS/FORUM

Korupcja jest plagą wśród izraelskich polityków najwyższego szczebla. W ciągu ostatnich dwóch dekad podejrzenia o nielegalne przyjmowanie pieniędzy czy prezentów w zamian za przysługi dotyczyły każdego premiera oraz innych ministrów rządu. Śledztwo przeciw Beniaminowi Netanjahu toczyło się już w latach 1997–1999. Podobnie jak przeciw jego następcom Ehudowi Barakowi, Arielowi Szaronowi i Ehudowi Olmertowi, który spędził 16 miesięcy w więzieniu po tym, jak udowodniono mu branie łapówek, gdy był jeszcze burmistrzem Jerozolimy. „Już pięciokrotnie izraelski polityk mówił, że to nic takiego, a kończył w więzieniu” – zauważa Ron Kampeas na łamach internetowego „The Times of Israel”.

„Mój ojciec załatwił twojemu 20 mld dol., a ty kłócisz się ze mną o 400 szekli?” – miał powiedzieć syn premiera Yair swojemu koledze Nirowi, synowi potentata gazowego Kobięgo Maimona, gdy ten nie chciał mu pożyczyć na prostytutkę. Opinią publiczną wcale nie wstrząsnęło to, że Yair był pod wpływem i wulgarnie zaczepiał modelki pod

jednym z telawiwskich klubów ze stripizmem, po tym, gdy rozmowę przytoczyła izraelska telewizja. Beniamin Netanjahu wpadł w furję i zapowiedział, że rozprawi się z politycznymi pomówieniami, które mogą pokrzyżować mu szyki przed przyszłorocznymi wyborami do Knesetu.

Czarne chmury zbierają się jednak nad premierem Izraela i tylko od decyzji prokuratury zależy, czy zostaną mu postawione zarzuty. Policja potwierdziła zasadność podejrzeń, które wskazują na przyjęcie miliona szekli łapówki, ale sprawa dotyczy co najmniej kilku poważnych zarzutów w dwóch wątkach. Pierwszy – tzw. Case 1000 – dotyczy przyjmowania ekstrawaganckich podarunków od bogatych osób, w zamian za przysługi. Drugi – Case 2000 – jest nie mniej poważny i związany jest z protekcją potentata prasowego w zamian za wsparcie w mediach. Sprawa dotyczy związków z Arnonem Mozesem, wydawcą dziennika „Yedioth Ahronoth”. Netanjahu miał mu obiecać, że ograniczy dystrybucję konkurencyjnej darmowej gazety „Israel Hayom”. Ostatnio pojawiło się kolejne śledztwo – Case 4000 – które dotyczy współpracowników premiera.

Premier „Bibi” wietrzy spisek i twierdzi, że jego polityczni przeciwnicy chcą obalić rząd i utrudnić mu wygranie wyborów w 2019 r. Swoim wyborcom powtarza, że skoro lewica nie daje mu rady przy urnie, to postara się go ukatrupić w inny sposób.

Netanjahu ma tylu zwolenników, ilu przeciwników. Izraelskie prawo nie wymaga złożenia urzędu nawet, gdy zarzuty się potwierdzą. Do połowy przyszłego roku może więc cieszyć się z władzy i prestiżu jako najdłużej urzędujący szef gabinetu od czasów Ben Guriona, osiągając dodatkową satysfakcję z tego, że jego bieżąca kadencja przypada na 100-lecie podpisania Deklaracji Balfoura i 70-lecie powstania nowożytnego państwa Izrael.

POLSKIE KORZENIE

Ojciec Beniamina – Benzion Milejkowski – urodził się w 1910 r. w Warszawie. Jego dziadek był rabinem i aktywnym syjonistą – został dyrektorem warszawskiego gimnazjum Mordechaja Jakowa Krinskiego, a następnie rabinem w synagodze Beth Jacob w Łodzi. Rodzina powróciła do Palestyny w latach 20.

Beniamin urodził się w 1949 r. w Ziemii Obiecanej. Jako 18-latek odbył służbę wojskową w elitarnych oddziałach Sajjaret Matkal. Studiował w Stanach Zjednoczonych, do dziś mówi z wyraźnym jankeskim akcentem. Ukończył prestiżowy Massachusetts Institute of Technology. Karierę w polityce zaczął od piastowania funkcji ambasadora przy ONZ w końcu lat 80. W 1993 r. wstąpił do prawicowego Likudu i po trzech latach stał się najmłodszym premierem kraju w historii. Na krótko wziął rozbrat z polityką, ale po powrocie dostał tekę ministra spraw zagranicznych, a potem ministra finansów w rządzie Ariela Sharona. Od 2009 r. stoi na czele rządu nieprzerwanie od trzech kolejnych kadencji, odnosząc sukcesy za sukcesem. Nic więc dziwnego, że rodacy upatrują w nim przywódcę, który może zmienić bieg historii narodu.

Netanjahu to twardy gracz. W maju 1972 r., podczas służby, został trafiony w ramię, gdy odbijał zakładników samolotu porwanego przez fanatyków z Czarnego Września. „Moja służba w jednostce wzmocniła zrozumienie ryzyka podejmowanego w czasie zatwierdzania operacji i ryzyka, które biorą na siebie żołnierze” – wspominał. Jego brat zginął w 1976 r., podczas uwalniania porwanych z rąk terrorystów innego samolotu, na lotnisku w Ugandzie. Pewnie dlatego zwykle bierał twardy, konfrontacyjny kurs wobec Palestyńczyków. Trudno było mu akceptować porozumienia pokojowe, zwłaszcza te z Oslo, i pozostawać biernym wobec terrorystycznego zagrożenia, które pustoszyło kraj.

Jako polityk Netanjahu nie cieszy się sympatią lewicy i arabskiej części społeczeństwa. Jest zwolennikiem polityki silnej ręki. Przeciwstawiał się zarówno porozumieniom pokojowym z Hamasem, jak i historycznej umowie z Iranem, którą nazywał bardzo poważnym błędem zachodniego świata. To, co nie podobało się opozycji, podobało się Izraelczykom. Podczas drugiej kadencji popierała go nawet połowa wyborców. Obecna, czwarta kadencja jest jedną z najtrudniejszych nie tylko ze względu na długość jego rządów, lecz także z powodu dość szerokiej koalicji, co wymaga pogodzenia wielu, czasem egzotycznych, poglądów.

„Bibi” to pragmatyk i zarazem zwolennik wolnego rynku w starym stylu. Słynie z niewyparzonego języka, a może raczej szczerego wyrażania tego, co naprawdę myśli. To często przysparzało mu

kłopotów. Tak było podczas wizyty na Uniwersytecie Bar-Ilan, gdzie podkreślił starania o zagwarantowanie wyłączności Jerozolimy dla Izraela i wykluczył powrót Palestyńczyków na terytoria okupowane, co zamroziło na lata rozmowy pokojowe z Arabami.

ARCHITEKT WIELKIEGO IZRAELA?

Żydzi nie są zgodni co do tego, czy obecny premier poprowadzi ich kraj do umocnienia pozycji na Bliskim Wschodzie. Tradycjonaliści są co prawda zadowoleni z tego, że Izrael nie skapitulował wobec politycznej poprawności i nie legalizuje związków tej samej płci, nie ulega liberalnym trendom w kwestii uznawania małżeństw mieszanych czy większego zaangażowania kobiet w synagogach reformowanych (np. w kwestiach udzielania ślubu przez kobiety rabinów czy odmawiania określonych modlitw pod Ścianą Płaczu), ale jednocześnie ubolewają, że w Ameryce tylko sześciu na 10 Żydów wybiera za żony Żydówki i tylko 2 proc. wybranek pochodzi z rodzin ortodoksyjnych.

Cały naród z nadzieją patrzy na międzynarodowe poczynania premiera, a szczególnie umiejętne poruszanie się w koalicji z Amerykanami i Saudyjczykami. Plan pokojowy dla Palestyny wysuwany przez księcia Arabii Saudyjskiej Mohammada bin Salmana jest w zasadzie zbieżny z planami Netanjahu. Zakłada państwowość palestyńską bez pełnej suwerenności terytorialnej, brak możliwości powrotu uchodźców do kraju i brak zgody na ogłoszenie Jerozolimy stolicą Palestyny. Czy to jednak wystarczy, aby odbudować potęgę Izraela?

Gdy Dawid zdobył twierdzę Syjonu, Jerozolima była nic nieznaczącą osadą, ale Królestwo Izraela i Judy sięgało od Edomu, Judei i kraju Filistynów do Aramu na północy graniczącego z Asyrią, ziemiami Hetytów i Fenicjan. Niektórzy przesuwają granice historycznego Izraela jeszcze na Wschód. Zresztą sugerują to ostatnie znaleziska archeologiczne, potwierdzające judeochrześcijańskie ślady na ziemi, na której Arabowie byli najprawdopodobniej gośćmi. Na terenach Półwyspu Arabskiego wykopaliska potwierdziły obecność w tych miejscach rozwiniętej cywilizacji żydowskiej, a potem chrześcijańskiej na długo przed Mahometem. Oczywiście kłóci się to z negacjonistyczną narracją muzułmanów, którzy potrafią zaprzeczać nie tylko egzystencji państwa Izrael, lecz

także istnieniu Świątyni Salomona na górze Moria czy Holokaustowi.

To woda na młyn tych grup, które chciałyby potęgę nowego państwa. Według obecnych syjonistów granice Ziemi Obiecanej przesuwane byłyby zgodnie z naturalną ekspansją państwa, jego rosnącymi potrzebami, zasobami i demografią nie tylko na teren byłej Palestyny, lecz także aż od Sydonu i rzeki Litani (obecnie południowy Liban), do Wzgórz Golan, Ammanu, a może nawet części półwyspu Synaj, a więc do terenów sąsiedniej Syrii i Jordanii czy Egiptu. Mania wielkości to szansa i przekleństwo Izraela. To kraj balansujący między skrajnościami – od egzystencjalnego lęku przed unicestwieniem do euforii z powodu każdego, nawet maleńkiego sukcesu. Netanjahu doskonale rozumie te emocje i grając na nich, zdobywa zaufanie.

KONTROWERSYJNY PRZYWÓDCA

Jako mąż stanu Netanjahu deklaruje polityczną konkurencję w swoim kraju. Potrafi też być kontrowersyjny. W trakcie obecnego sporu z Izraelem na kanwie nowelizacji ustawy o IPN w Internecie robi furorę wideo z konferencji syjonistycznej sprzed kilku lat, podczas której premier Izraela stawia mocno dyskusyjną hipotezę o tym, że Adolf Hitler chciał jedynie deportacji Żydów do Palestyny, natomiast do „ostatecznego rozwiązania” namówił go... wielki mufti Jerozolimy Al-Hadżdż Amin al-Husajni. (Mufti rzeczywiście spotkał się z Hitlerem, który przedstawił mu swoje zbrodnicze plany. Al-Husajni popierał hitlerowców, oportunistycznie widząc w Zagładzie szansę dla swoich ziomków na dominację w Palestynie – przyp. aut.).

Premier został skrytykowany nawet przez swoich rodaków, nie tylko polityków opozycji, lecz także przede wszystkim uznanych historyków. Nerwowa reakcja jego otoczenia na penalizację przez Polskę kłamstwa o polskich obozach śmierci i współodpowiedzialności za Holokaust wskazuje, że dla skuteczności w osiąganiu swoich celów nie cofnie się nawet przed ciosami poniżej pasa.

„Bibi” chce zrobić wszystko, co najlepsze, dla swojej ojczyzny – nawet przenieść do Izraela obrady Grupy Wyszehradzkiej. Na razie nic nie wskazuje na to, aby ktokolwiek mógł stanąć mu na drodze oprócz sądu...

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Tomasz Teluk jest filozofem polityki, publicystą, założycielem Instytutu Globalizacji (www.globalizacja.org).



Olivier Bault

Może się okazać, że afera w USA pogrąży nie Donalda Trumpa, lecz demokratów, FBI i Hillary Clinton

Prawdziwa

Lawa przysięgłych powołana przez Roberta Muellera, specjalnego prokuratora do nadzorowania federalnego śledztwa w sprawie zarzutów o ingerencję Rosji w wybory prezydenckie w 2016 r. w USA, postawiła w stan oskarżenia 13 obywateli Rosji oraz trzy rosyjskie firmy. Ludzie ci mieli pracować dla rosyjskiej firmy Internet Research Agency z Sankt Petersburga. Firma ta była nazywana „farmą trolli” Kremla.

37-stronicowy akt oskarżenia dotyczy ingerencji w amerykański system wyborczy od 2014 r., obejmuje zatem także wybory prezydenckie z 2016 r. Ci, którzy chcieli, widzieli w tym ogłoszeniu zarzutów potwierdzenie podejrzeń, jakoby ekipa wyborcza Trumpa miała korzystać z pomocy Rosjan. Na przykład dla „New York Timesa” akt oskarżenia „szczegółowo obala stwierdzenia pana Trumpa, który podawał w wątpliwość fakt wtrącania się Rosjan w wybory i który zbywał pytania na temat ich ingerencji jako »fake newsy«”.

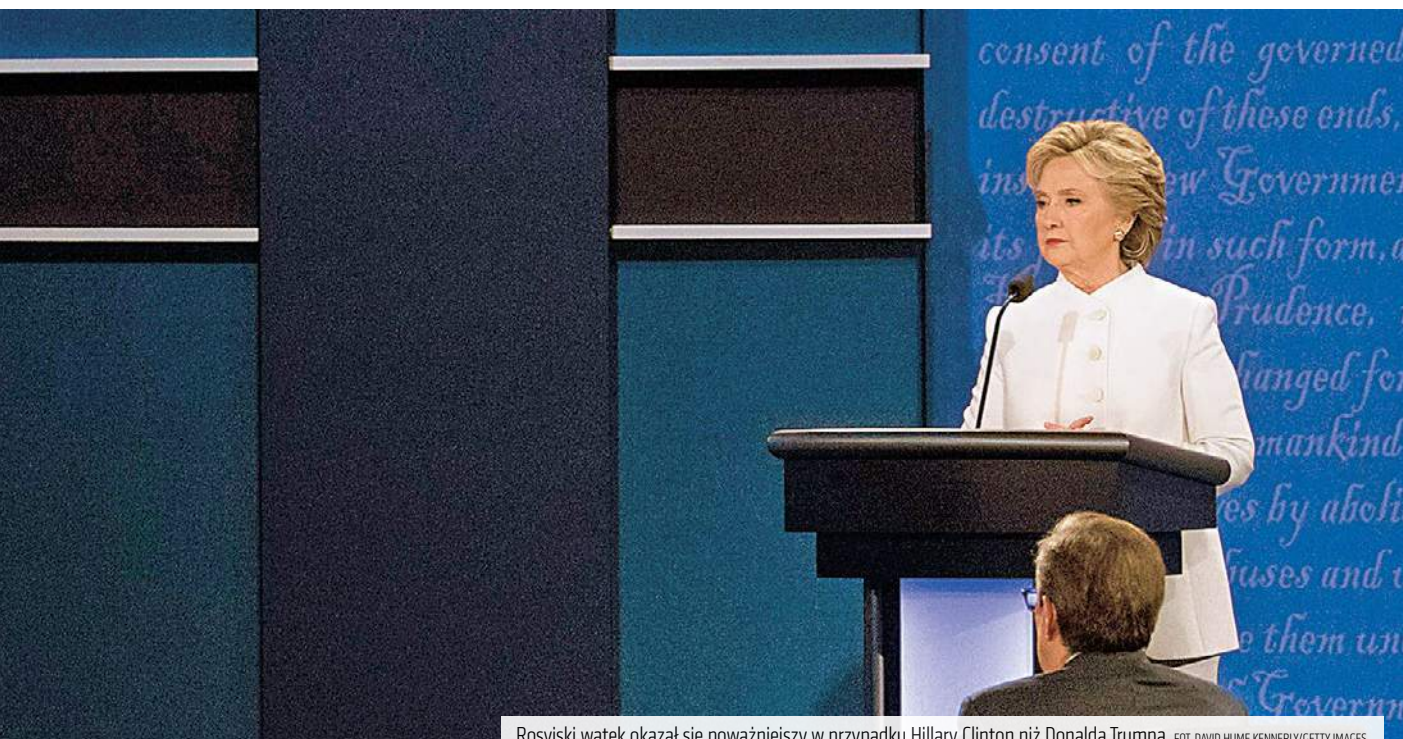
Problem jednak w tym, że akt oskarżenia nie zawiera – jak to mówił zastępca

prokuratora generalnego Rod Rosenstein, gdy ogłaszał postawienie obywateli rosyjskich w stan oskarżenia – „żadnych zarzutów wobec jakiegokolwiek Amerykanina o świadomy udział w tej nielegalnej działalności” i „nie zawiera zarzutów, jakoby działalność będąca przedmiotem postępowania mogła zmienić wynik wyborów z 2016 r.”. Ingerencja w przebieg amerykańskich wyborów prezydenckich miała mianowicie polegać wyłącznie – wedle dotychczasowych ustaleń – na agitacji w serwisach społecznościowych przez rosyjskich pracowników rosyjskiej „farmy trolli”. Oprócz 12 pracowników Agencji Badań Internetowych zarzuty dotyczą jej domniemanego szefa Jewgienija Prigożina i jego dwóch spółek: Concord Management i Concord Catering. Operacja miała zostać uruchomiona w 2014 r., czyli przed kandydowaniem Trumpa, a w początkowej fazie wyborów z 2016 r. – na etapie prawyborów – rosyjskie trolle miały wspierać zarówno Trumpa w obozie republikanów, jak i Berniego Sandersa w obozie demokratów. Można by więc rzec – wiele hałasu o nic,

zwłaszcza biorąc pod uwagę miesięczny budżet tej operacji, który miał w szczytowej fazie sięgać 1,5 mln dol. Biorąc pod uwagę wzajemne proporcje, są to kwoty porównywalne z jednorazową dotacją w wysokości 700 tys. dol., którą w listopadzie ubiegłego roku zaoferował amerykański Departament Stanu na wsparcie mediów opozycyjnych na Węgrzech w ostatnich miesiącach przed wyborami.

RAPORT DEMOKRATÓW

Tymczasem wielomiesięczne śledztwa prowadzone przez FBI i przez specjalnego prokuratora Roberta Muellera budzą w Stanach coraz więcej pytań. Już od dawna wiadomo, że to Partia Demokratyczna oraz komitet wyborczy Hillary Clinton zamówili i opłacili słynny raport agencji Fusion GPS zredagowany przez byłego brytyjskiego oficera MI6. Wiadomo było też, dzięki zeznaniom przed Komisją Sprawiedliwości Senatu, że raport ten, który miał dowodzić powiązań Donalda Trumpa i jego ekipy z ludźmi z otoczenia Władimira Putina, był oparty wyłącznie



Rosyjski wątek okazał się poważniejszy w przypadku Hillary Clinton niż Donalda Trumpa FOT. DAVID HUME KENNERLY/GETTY IMAGES

Russiagate

na źródłach pośrednich i zawierał wiele niesprawdzonych informacji. Sęk w tym, że FBI dostało egzemplarz tego raportu w sierpniu 2016 r. i choć znało jego pochodzenie, to posługiwało się nim we własnym śledztwie. Na początku lutego decyzją prezydenta zostało odtajnione memorandum republikańskich członków Komisji ds. Wywiadu Izby Reprezentantów, z którego wynika, że FBI i Departament Sprawiedliwości wykorzystywały sfabrykowany raport Fusion GPS oraz wstrzymywały ważne informacje, aby uzyskać zgodę na podsłuchiwanie doradcy kampanii Donalda Trumpa ds. polityki zagranicznej. Polemika wokół raportu Fusion GPS nie jest jedyną w aferze Russiagate, która miała pogrozić Donaldowi Trumpowi.

Wątpliwości wzbudza bowiem stronnictwo niektórych członków ekipy śledczej Roberta Muellera. Na początku grudnia wyszły na jaw SMS-y wysyłane do siebie przez dwóch agentów FBI zatrudnionych w zespole Muellera. Wiadomości pochodziły z okresu kampanii wyborczej i pokazywały wielką pogardę, jaką agenci

ci żywili do Trumpa. Jak się później okazało, inny bliski współpracownik specjalnego prokuratora Muellera był wcześniej zatrudniony jako prawnik współpracownika Hillary Clinton zamieszanego w słynną aferę e-mailową (jako szefowa Departamentu Stanu Clinton zobowiązana była korzystać z rządowego konta poczty elektronicznej, a wysyłała e-maile z konta prywatnego – przyp. red.), a jeszcze inny reprezentował w przeszłości doradcę ds. bezpieczeństwa narodowego prezydenta Baracka Obamy oraz Fundację Clintonów. Okazało się ponadto, że w sumie na ok. 20 członków ekipy śledczej Muellera siedmioro przekazało w przeszłości pieniądze na rzecz kampanii wyborczej demokratów.

PIENIĄDZE Z URANIUM

Kontrowersje dotyczą również samego Roberta Muellera, chociaż mianował go zastępca prokuratora generalnego Rod Rosenstein (a tego z kolei mianował Trump). I chodzi nie tylko o oskarżenia wobec tego byłego dyrektora FBI (w latach 2001–2013) o obstrukcję w przy-

padku śledztw prowadzonych przez Kongres w sprawie roli Arabii Saudyjskiej w zamachach z 11 września 2001 r. Chodzi też o jego rolę w możliwym tuszowaniu sprawy związanej z wielomilionowymi wpłatami na konto Fundacji Clintonów przez podmioty będące własnością Federalnej Agencji Energii Atomowej Federacji Rosyjskiej (Rosatom) po wykupie przez Rosjan firmy Uranium One, która kontroluje ok. 20 proc. zasobów uranu w Stanach Zjednoczonych. Zgodę na sprzedaż Uranium One musiał wydać m.in. Departament Stanu, na czele którego stała wtedy Hillary Clinton.

Związki między wpłatami na konto Fundacji Clintonów a sprzedażą Uranium One Rosjanom „The New York Times” opisał jeszcze w kwietniu 2015 r. Według gazety w 2005 r. kanadyjski biznesmen Frank Giustra, właściciel firmy UrAsia, podpisał z Kazachstanem duży kontrakt na wydobycie uranu. Było to kilka dni po jego wizycie w tym kraju, którą odbył w towarzystwie Billa Clintona. Rok później Giustra podarował Fundacji Clintonów 31,3 mln dol.

W lutym 2007 r. firma UrAsia została połączona z firmą wydobywczą z RPA i przyjęła nazwę Uranium One. W kolejnych miesiącach nowo powstała firma rozwinęła swoją działalność w Stanach Zjednoczonych. W czerwcu 2008 r. rosyjska agencja atomowa Rosatom rozpoczęła negocjacje w sprawie inwestycji w Uranium One. W latach 2008–2010 właściciele akcji Uranium One przekazali darowizny w wysokości 8,65 mln dol. na konto Fundacji Clintonów. W styczniu 2009 r. Hillary Clinton, która w 2008 r. przegrała na etapie prawyborów startcie o prezydenturę, została sekretarzem stanu prezydenta Baracka Obamy. W czerwcu 2009 r. filia Rosatom ARMZ wykupiła 17 proc. akcji Uranium One. W latach 2010–2011 kolejne miliony dolarów napływały do Fundacji Clintonów od inwestorów Uranium One. Była wśród nich m.in. darowizna w wysokości 2,35 mln dol. wpłacona przez fundację rodzinną Iana Telfera – prezesa Uranium One. W czerwcu 2010 r. Rosatom rozpoczął starania o większościowy udział w Uranium One. Musiał w tym celu uzyskać aprobatę amerykańskiej Komisji ds. Inwestycji Zagranicznych, w której Departament Stanu kierowany przez Hillary Clinton ma swojego przedstawiciela.

W czerwcu 2010 r. Bill Clinton dostał 500 tys. dol. wynagrodzenia od rosyjskiego banku inwestycyjnego Renaissance Capital za wygłoszenie wykładu w Moskwie. To właśnie Renaissance Capital wcześniej wycenił dla Rosatomu koszt wykupu akcji firmy Uranium One. W październiku 2010 r. Rosatom dostał zielone światło od Komisji ds. Inwestycji Zagranicznych w Stanach Zjednoczonych na podniesienie swojego udziału w kapitale Uranium One do 51 proc. W styczniu 2013 r., pomimo wcześniejszych zapewnień, że tak się nie stanie, Rosatom wykupił wszystkie akcje Uranium One i stał się jedynym właścicielem firmy kontrolującej ok. 20 proc. amerykańskich zasobów uranu. Razem ocenia się, że wpłaty do Fundacji Clintonów, co do których można podejrzewać, że miały związek z tą transakcją, przekroczyły 140 mln dol.

„The New York Times”, który jest raczej znany ze swoich sympatii dla demokratów, napisał: „Badanie przez »New York Timesa« transakcji związanej z Uranium One bazuje na dziesiątkach rozmów oraz na przeglądaniu rejestrów publicznych i dokumentów złożonych przed komisjami giełdowymi w Kanadzie, Rosji i Stanach Zjednoczonych. Niektóre powiązania

między Uranium One a Fundacją Clintonów zostały obnażone przez Petera Schweizera, byłego członka prawicowego Instytutu Hoovera i autora książki „Clinton Cash”. Pan Schweizer udostępnił materiały zawarte w książce przed jej wydaniem redakcji „Timesa”, która zbadała te informacje i wykorzystała je w swoich tekstach. Czy darowizny odegrały jakąkolwiek rolę w uzyskaniu zgody na transakcję uranową, jest rzeczą nieznaną. Jednakże wydarzenie to pokazuje problemy etyczne związane z Fundacją Clintonów, której przewodzi były prezydent i która głównie dzięki wpływom z zagranicy zgromadziła 250 mln dol. aktywów w czasie, gdy jego

Na początku stycznia Departament Sprawiedliwości uruchomił nowe śledztwo dotyczące działalności Fundacji Clintonów

żona kierowała polityką zagraniczną jako sekretarz stanu i nadzorowała wydawanie decyzji przynoszących potencjalne korzyści darczyńcom Fundacji.”

ŚLEDZTWO I PRZEDAWNIE

Prezydent Donald Trump pisał w październiku 2017 r., że sprzedaż zasobów uranu Rosjanom z pomocą Clintonów i przy wiedzy administracji Baracka Obamy jest największą aferą, jaką „fake media” (główne media, które Trump oskarża o tworzenie fake newsów) nie chcą się zajmować. W Kongresie republikanie domagają się, aby prokurator generalny Jeff Sessions mianował drugiego prokuratora specjalnego – obok Muellera – do prowadzenia nowego śledztwa w tej sprawie. W grudniu prokurator generalny Jeff Sessions nakazał Departamentowi Sprawiedliwości przesłuchać agentów FBI, którzy prowadzili wcześniejsze postępowanie.

Na początku stycznia amerykański Departament Sprawiedliwości uruchomił nowe śledztwo dotyczące działalności Fundacji Clintonów i ewentualnych powiązań między darowiznami a decyzjami administracji Baracka Obamy w czasie, gdy Hillary Clinton stała na czele Departamentu Stanu, czyli od stycznia 2009 r. do lutego 2013 r.

Problem jednak w tym, że ewentualne przestępstwa popełnione przez Clintonów

z tego tytułu mogły ulec przedawnieniu, gdyż w lutym mija pięć lat od momentu, kiedy pani Clinton przestała pełnić funkcję sekretarza stanu. Krytycy Clintonów kwestionują zatem działania FBI w czasie, gdy na jego czele stał Robert Mueller (do września 2013 r.), a następnie James Comey (do momentu jego zwolnienia przez prezydenta Trumpa w maju 2017 r.).

Zwolennicy demokratów podnoszą jednak, że żadnej sprawy rosyjskiej Clintonów nie ma, gdyż tak naprawdę Departament Stanu nie decydował sam o „zielonym świetle” dla transakcji z Rosjanami. Hillary Clinton i jej współpracownicy w Departamencie Stanu twierdzą nawet, że sama pani Clinton w ogóle nie brała udziału w podejmowaniu tej decyzji.

Z kolei śledztwo FBI prowadzone od 2009 r. w sprawie rosyjskich praktyk korupcyjnych na amerykańskim rynku uranu zakończyło się aresztowaniem rosyjskiego finansisty Wadima Mikerina i skazaniem go w grudniu 2015 r. na karę 48 miesięcy więzienia. Skazanych zostało także kilku szefów firmy Tenex, amerykańskiej filii Rosatomu specjalizującej się w transporcie uranu. Teoretycznie sprawa ta nie miała związku ze sprawą Uranium One. Powołując się na własne źródła, amerykański „The Hill” twierdził jednak w październiku 2017 r., że w ramach tego śledztwa agenci FBI zgromadzili dokumenty wykazujące milionowe przepływy z rosyjskiego przemysłu atomowego do podmiotu, który świadczył usługi na rzecz Fundacji Clintonów. Gazeta dowodziła jednak przede wszystkim, że FBI wiedziało o praktykach korupcyjnych Rosjan na amerykańskim rynku uranu, zanim administracja Obamy wydała zgodę na sprzedaż Uranium One Rosatomowi. Dziennikarze „The Hill” zastanawiali się także, dlaczego w ostatecznym akcie oskarżenia ograniczono się w ramach ugody prokuratury z oskarżonymi do zarzutu prania pieniędzy dotyczącego kilku transakcji z lat 2011 i 2012, czyli tych, które miały miejsce po zgodzie na sprzedaż Uranium One.

Mamy zatem dwie konkurujące ze sobą „sprawy rosyjskie” w Stanach Zjednoczonych. W amerykańskiej przestrzeni medialnej pojawiają się sugestie, że obecna, ta mająca skompromitować Donalda Trumpa, miała również na celu dalsze przykrywanie tej prawdziwej afery rosyjskiej, która mogłaby pogryźć państwa Clintonów.

Zacznij zdrowo Nowy Rok!

PODARUNEK LUTY 2018
**DO
RZECZY**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

**EASY SMOOTHIE BLENDER
MANTA 350W SBL920**

Cena: 149 zł
Oszczędność: 135 zł

 **MANTA**
Polska firma rodzinna.



PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9303
KROKOMIERZ, MONITOROWANIE TĘTNA, LICZNIK SPALONYCH KALORII,
WSKAŹNIK AKTYWNOŚCI FIZYCZNEJ, PRZYPOMNIENIE O AKTYWNOŚCI,
LICZNIK DYSTANSU, MONITOROWANIE SNU

Cena: 239 zł
Oszczędność: 289 zł

 **MANTA**
Polska firma rodzinna.

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 93d7036a9c



Piotr Semka

Bieg przez płotki po kolejną kadencję na stanowisku kanclerza trwa już pięć miesięcy od wyborów we wrześniu 2017 r. Angela Merkel jest już na ostatniej prostej

Po porażce z koalicją jamajską i morderczych negocjacjach z socjaldemokratami szefowa chadecji czeka już tylko na jedną datę – 4 marca. Tego dnia ogłoszone zostaną wyniki wewnątrzpartyjnego referendum, w którym członkowie SPD opowiedzą się za Grosse Koalition – wielką koalicją socjaldemokratów z chadekami – lub przeciw niej. „Tak” dla czarno-czerwonego mariażu pozwoli Merkel znów poczuć się mocno w siodle.

Zwolennicy status quo w obozie chadecji liczą, że po wielomiesięcznych mękach ze stworzeniem gabinetu pani kanclerz znów mocno chwyci lejce nowego rządu. Zwolennicy zmian wskazują, że kolejną kadencję kanclerską Merkel kupiono za cenę zbyt wielu ustępstw wobec SPD, a koalicja będzie słaba, z czego skorzysta Alternative für Deutschland. A satyrycy kpią, że nowa edycja GroKo przypomina niektóre domy seniora – wszyscy dobrze się znają i nie lubią.

VOX POPULI – VOX GERMANIAE

Głosowanie członków SPD drogą listowną zaczęło się w środę 21 lutego i potrwa do piątku 2 marca. I nikt nie wie, co przyniesie. Owszem, są sondaże wskazujące, że 60 proc. ankietowanych jest za wielką koalicją, ale od dawna mało kto w Niemczech już wierzy, iż ankietowani mówią ankieterom tylko prawdę.

Tym bardziej że jak w ukropie uwijają się aktywiści Jusos czy młodzieżówki SPD, na czele z jej liderem Kevinem Kühnertem, który stał się twarzą akcji #NoGroKo i zdobywa sporą popularność. Za koalicję agituje nowy duet szefostwa SPD, czyli Andrea Nahles i Olaf Scholz. Pani Nahles wcześniej była „wieczną” wiceszefową partii i w latach 2013–2017 ministrem pracy. Nie ma za dużo wdzięku, ale niedawno wygrała szefostwo partii na zasadzie kontrastu dla makia-

Kanclderstwo za każdą cenę

FOT. INCA/NER/PHOTOREX/GETTY IMAGES

welizmu Martina Schulza. W SPD szanuje się jej tożsamościowe poglądy i osobistą uczciwość. A jej zastępcą został Olaf Scholz, aktualny burmistrz Hamburga, uznawany za sprawnego city managera i kogoś, kto u siebie, na hamburskim podwórku, nieźle rozwiązuje wszystkie problemy, z którymi zmagają się cała republika federalna.

Kłopotliwym sojusznikiem dla władz SPD w kampanii na rzecz „tak dla GroKo” jest były kanclerz Gerhard Schröder, który wierzy w „kolektywny rozsądek socjaldemokratów”. Ten przyjaciel Putina i Gazpromu zapewne bardziej na widoku ma trwałość rurociągu Nord Stream 2, ale zakazać mu udziału w debacie nie sposób. Jednak zwykli członkowie socjaldemokratów widzą, że koalicję z Merkel wycieńczają ich partię. SPD w niczym nie

przypomina pełnej optymizmu formacji sprzed roku z wynikiem 32 proc., gdy przez chwilę wiatr w żagle złapał Martin Schulz.

Teraz, w niedawnym sondażu dla „Bilda”, SPD uzyskała ledwie 15,5 proc., przegoniona przez Alternative für Deutschland, która zdobyła 16 proc. Po raz pierwszy od wielu lat socjaldemokraci przestali być partią numer dwa w sondażach. Słabe wyniki wzmacniają siłę argumentów przeciwników wchodzenia do rządu. Z drugiej strony wciąż silna jest lojalność wobec decyzji władz SPD, aby brać władzę. Co zwycięży?

WIECZNA MAMUŚKA

Angela Merkel jak zwykle zachowuje kamienną twarz i tworzy wrażenie, że wszystko pójdzie po jej myśli.

Aby udobruchać SPD, oddała jej niezwykle ważny resort finansów, co nie spodobało się dbającym o dyscyplinę budżetową chadekom.

26 lutego na zjeździe CDU w Berlinie ogłosić ma nazwiska kandydatów do obśadzenia resortów podległych jej partii. Zapowiada, że odmłodzi grupę chadeckich ministrów, którzy w poprzednim rządzie oscylowali między grupą wiekową 50+ a 60+. Jednocześnie nie kryje – chce dokończyć kadencję do 2021 r. i nie odda szefostwa nad partią, które dzierży od 2000 r. „Uważam, że oba stanowiska (szefa rządu i szefa partii) powinny być w jednym ręku, aby zagwarantować stabilność rządu. Tak też pozostanie” – oświadczyła bez ogródek. W sondażach jej partia pozostaje niedościgłym liderem z wynikiem 32,5 proc.

Jednak CDU też się buntuje, choć na razie jeszcze każdy liczy się z szefową. Śmiałkiem otwarcie krytykującym Merkel stał się Jens Spahn, w 2002 r. wybrany w wieku 22 lat do Bundestagu jako najmłodszy deputowany CDU.

Publicznie ocenił, że oddanie socjaldemokratom resortu finansów jest „ciężkim ciosem”, który „bardzo boli”. W sukurs przyszedł mu Paul Ziemiak, szef Junge Union – młodzieżówki CDU. Ostrzegł, że nastroje wśród szeregowych członków partii są „więcej niż złe”. „Potrzeba nam nowych twarzy w rządzie i we władzach partii” – oświadczył.

Były premier Hesji Roland Koch może mówić, co myśli, bo jest już poza polityką. I gorzko wskazuje, że „CDU pozwoliła zrobić ze sobą wszystko, byle tylko doprowadzić do powstania rządu”. I wzywa: „Nie wolno czekać przez cztery lata na zmianę na szczycie partii”.

Odpowiedzią Merkel na krytykę wewnątrzpartyjnej opozycji jest przeformowanie na stanowisko sekretarza generalnego CDU pani Annegret Kramp-Karrenbauer, obecnej premier Kraju Saary. Zwróciła na siebie uwagę Merkel, gdyż wyróżniać ma ją zdolność do godzenia stanowisk konserwatywnych i liberalnych. Popierała akcję na rzecz podniesienia płacy minimalnej i praw pracowników, a jednocześnie broniła wartości rodzinnych i sprzeciwiała się legalizacji małżeństw homoseksualnych. Głośno postulowała, by nie pozwalać tureckim politykom prowadzić kampanii w Niemczech. Nie waha się też mówić, że otwarcie na imigrantów (sama wsparła decyzję Merkel o przyjęciu setek tysięcy

uchodźców w 2015 r.) nie może prowadzić do wyrzekania się zachodnich zasad.

Media przypomniły jej ostrą reakcję, gdy grupa muzułmańskich imigrantów odmówiła przyjmowania kanapek od kobiet ze służb imigracyjnych. „Nie chcą jedzenia od kobiet? To należy im wyjaśnić, że skoro mają takie podejście, to jedzenia nie będzie” – miała wówczas powiedzieć.

Teraz nowa sekretarz ma być narzędziem Merkel do wyciszenia nastrojów kontestacji.

ALTERNATYWA NIE TYLKO Z NAZWY

Na tle „odwiecznej” Angeli Merkel i słabnącej SPD trudno nie zauważyć samozadowolenia AfD. Zajęcie drugiej lokaty w ostatnim sondażu „Bild” wywołało w tej partii nastrój euforii. „Jesteśmy partią całego narodu” – obwieściła na Twitterze szefowa klubu parlamentarnego AfD Alice Weidel.

Równie mocno triumfował Jörg Meuthen, przewodniczący partii. „Ten, kto wydaje pieniądze na uchodźców, zamiast na własnych obywateli, nie powinien się dziwić takim wynikiem” – pisał lider AfD, wyraźnie atakując CDU i SPD oraz ich zapowiedź częściowego łączenia rodzin imigrantów.

Jednak socjaldemokraci z SPD pocieszają się, że to tylko chwilowy skok AfD w sondażach. Gdy SPD zacznie współpracować – zniknie złe wrażenie wynikające z wielomiesięcznych targów koalicyjnych i popularność wróci.

Tak może być, ale tak być nie musi. Pierwsze pół roku w Bundestagu Alternativen für Deutschland może uznać za sukces. Zwyczajni Niemcy mogli przyrzec im się w parlamentarnej praktyce i widzą, że nie są to jacyś prymitywni tyśi skinheadzi oraz szowiniści, tylko partia przypominająca dawne CDU z lat 70., gdy jeszcze nie dała się sterroryzować politycznej poprawności.

AFD zyskuje na posiadaniu paru skrzydeł. Alexander Gauland to mieszczańska twarz partii. Alice Weidel, niekryjąca swego homozwiązku z inną kobietą, to liberałka obyczajowa i ekonomiczna. Björn Höcke to skrzydło socjalne, które odbiera SPD licznych wyborców. I wreszcie jest w Bundestagu Beatrix von Storch, parlamentarzystka AfD z wyraźnym rysem chadeckim. Ta ostatnia pozycja nie jest łatwa w sytuacji, gdy zarówno z ambon Kościoła ewangelickiego, jak

i katolickiego w Niemczech sypią się na AfD gromy oraz ostrzeżenia, że „chrześcijańskiego sumienia nie da się pogodzić z popieraniem politycznego populizmu”. Ten rygoryzm moralny brzmi o tyle fałszywie, że z tych samych ambon nigdy nie potępiano ani polityków SPD, ani Zielonych, którzy wiele zrobili w latach 70. i 80. dla faktycznej legalizacji aborcji na życzenie.

OBRONNE SKĄPSSTWO

Z polskiego punktu widzenia nowa koalicja CDU/CSU-SPD – założmy, że jednak powstanie – chwalona była za poświęcenie sporo miejsca relacjom z naszym krajem w umowie koalicyjnej. Widać w niej podkreślenie wagi relacji RFN z Polską i Węgrami, co jest sygnałem pewnego dystansu wobec planów prezydenta Francji Emmanuela Macrona zacieśnienia Unii do strefy euro. Z drugiej strony umowa koalicyjna zawiera zapis: „Zasady demokracji i praworządności, na których opiera się europejskie pojednanie, muszą być bardziej stanowczo wyegzekwowane w UE”. To sygnał, że Niemcy wesprą pomysł mechanizmu przyznawania dotacji z budżetu UE według ocen stanu praworządności, co w przypadku Polski oznaczać może karanie za reformowanie sądownictwa.

Nowa koalicja umocniła też skłonność Angeli Merkel do obrony rurociągu Nord Stream 2. Pytanie, czy spełnią się propozycje polityków SPD, aby znieść sankcje wobec Rosji. W tej kwestii Merkel jak dotąd była stanowcza w blokowaniu socjaldemokratycznych „Russlandversteher”, czyli zwolenników odwilży z Putinem. I wreszcie ostatni niepokojący element umowy koalicyjnej. Stanowi on, że GroKo przeznaczy na cele obrony „odpowiednie środki”. Może to oznaczać, że rząd Merkel przeznaczać będzie na Bundeswehrę tylko 1,2–1,3 proc. PKB. Tymczasem kanclerz Niemiec obiecywała, że nakłady te wzrosną do 2 proc., czego domaga się od lat USA, a szczególnie mocno Donald Trump, i czego oczekiwała Polska.

Nie wolno lekceważyć rutyny, sprawności i siły państwa niemieckiego, ale wrażenie wewnętrznego kryzysu i gnicia w łonie CDU/CSU oraz SPD podzielają najważniejsze niemieckie dzienniki. Tę koalicję stworzono za wszelką cenę, dla zaspokojenia ambicji Angeli Merkel. Zobaczymy, na jak długo starczy tego paliwa w niemieckiej polityce.

STEFAN SĘKOWSKI: Niemcy czekają, co na umowę koalicyjną między chadekami a SPD powiedzą socjaldemokraci, którzy głosują w partyjnym referendum nad jej akceptacją. Z polskiego punktu widzenia najważniejszymi kwestiami w umowie koalicyjnej są te, które dotyczą wzajemnych relacji i Unii Europejskiej. Jak ocenia pan program europejski zapisany w umowie koalicyjnej?

FRANK SCHÄFFLER: Sprawy europejskie są konkretnie zarysowane tylko w niewielu obszarach. Między innymi w kwestii przekazywania większych sum do budżetu unijnego czy zamiany Europejskiego Mechanizmu Stabilności w Europejski Fundusz Walutowy i zakotwiczenia go w prawie europejskim. Inną propozycją jest zaostrzenie dyrektywy dotyczącej pracowników delegowanych. To nieliczne jednoznaczne kwestie wskazane w umowie, ponadto jest w niej wiele europejskiej liryki. Brakuje własnych pomysłów – przecież te, które wymieniałem, proponowali już czy to Emmanuel Macron, czy Komisja Europejska. Istnieje podejrzenie, że rozdział napisany przez Martina Schulza miał być w dużej mierze uzgodniony z Macronem i Junckerem. Juncker miał dzięki swojemu staremu przyjacielowi Schulzowi i kanclerz Merkel wpisać do umowy koalicyjnej politykę, której do tej pory nie mógł zrealizować.

Martin Schulz ostatecznie nie zostanie ministrem spraw zagranicznych. Czy to coś zmienia?

Papier jest cierpliwy, cztery lata trwają długo, a trudności w polityce europejskiej dopiero się pojawiają. Federalny Trybunał Konstytucyjny wyznaczył dość wąskie granice konstytucyjne dla przenoszenia uprawnień na poziom europejski. W umowie zapisano polityczne cele trzech umawiających się partii – CDU, CSU i SPD, ale one muszą później przejść przez parlament. W wielu z tych kwestii nowy rząd potrzebuje większości dwóch trzecich, a nie ma jej nawet wspólnie z Zielonymi.

Dlaczego krytykuje pan zmiany w dyrektywie dotyczącej pracowników delegowanych? Często podnosi się argument, że to byłoby w interesie silniejszych gospodarczo państw, takich jak Niemcy czy Francja.

To nieprawda, że w gospodarce rynkowej tort jest zawsze taki sam, tylko można go różnie podzielić. W gospodarce rynkowej, gdy usługi przekraczają granice, tort jest – ogólnie rzecz biorąc – większy i każdy na tym korzysta. Na tym polega sukces jednolitego europejskiego rynku, na którym korzystają zarówno Niemcy,



Z Frankiem Schäfflerem, posłem FDP do Bundestagu rozmawia Stefan Sękowski

Euro miało łączyć Europę. A raczej ją dzieli



FOT. RALPH ORLANDO/GETTY IMAGES

jak i Polska. Wspólny rynek jest dla obu błogosławieństwem. Także niemiecki przemysł przeniósł część swoich zakładów do Polski, co uczyniło go bardziej konkurencyjnym. Mieszkam w regionie, w którym produkuje się wiele mebli – wszyscy duzi producenci przenieśli część swojej produkcji do Polski.

Wyborcy nie byli pewnie z tego zbytnio zadowoleni.

Jednak, ogólnie rzecz biorąc, są. Obecnie i tak mamy w Niemczech pełne zatrudnienie. To nie szkodzi Niemcom, bo my na tym skorzystaliśmy. Po upadku żelaznej kurtyny część klasy średniej z mojego regionu tworzyła zakłady produkcyjne w Polsce, Czechach czy na Słowacji po to, by obniżyć swoje koszty i pozostać konkurencyjnym. To samo dotyczy usług. Powinno móc się je oferować transgranicznie. Jednak jeśli może się to dziać tylko za płace obowiązujące w danej branży w danym kraju, to osłabia się tę konkurencję. Wywiera się także nacisk na te państwa, które się nie dopasowują, by zmieniały swoje prawo pracy czy politykę. To forma protekcjonizmu wewnątrz UE, skierowanego przez duże, w domniemaniu bogatsze, państwa, w małe, w domniemaniu biedniejsze. W ten sposób ogranicza się dostęp do europejskiego jednolitego rynku.

Protekcjonizm zdobywa nowych zwolenników. Macron obawia się Frontu Narodowego. Alternatywa dla Niemiec (AfD) depcze w sondażach SPD po piętach. Może UE musi się cofnąć o jeden krok, by później pójść dwa do przodu lub wręcz przetrwać?

Jednolity rynek był do tej pory siłą UE. Prowadził do dobrobytu. Centralizm i polityka odgórna zawsze wywoływały problemy, takie jak kryzys euro czy zadłużeniowy. To z tego powodu ludzie skarżą się na Unię i nie zgadzają się na jej politykę. Jednolity rynek jest, ogólnie rzecz biorąc, akceptowany, ale politycy zawsze próbują realizować partykularne interesy branż czy związków zawodowych, co szkodzi jednak ogółowi. To nie prowadzi projektu europejskiego do przodu, a raczej go cofa.

Tymczasem pańskie ugrupowanie – Wolna Partia Demokratyczna (FDP) – zrezygnowało z budowania koalicji z chadekami i Zielonymi. Może nie mielibyście wielkiego wpływu na to, jak funkcjonowałby rząd, ale teraz nie będziecie mieć żadnego.

Także w kwestiach europejskich nie mogliśmy dojść do wspólnych ustaleń. To był jeden z głównych powodów, dla których zerwaliśmy rozmowy. Nie chcemy

żyrować polityki, która prowadziła do tych problemów. Polityka europejska była jedną z pięć achillesowych zarówno poprzedniego rządu, jak i jeszcze wcześniejszego, w którym uczestniczyliśmy jako koalicjant w latach 2009–2013. Reakcje na kryzys euro czy uchodźczy były jednym z kardynalnych błędów Wielkiej Koalicji. To wzmocniło skrajne siły polityczne, a także centrum w Parlamencie Europejskim, czyli nas. Chcieliśmy innej polityki, a na to Angela Merkel nie była gotowa.

Czy przez politykę europejską FDP wyleciała w 2013 r. na cztery lata z Bundestagu?

Oczywiście, to był jeden z głównych powodów.

W tamtych czasach był pan wewnątrzpartyjnym i wewnątrzkoalicyjnym buntownikiem. Sprzeciwiał się pan jako poseł do Bundestagu budowie Europejskiego Mechanizmu Stabilności i pomocy finansowej dla Grecji. Można odnieść wrażenie, że przez cztery lata pobytu poza parlamentem FDP zbliżyła się do pańskiego stanowiska w tych kwestiach.

Dzisiaj jesteśmy za umożliwieniem państwu prawa wystąpienia ze strefy euro, tego, by państwa mogły ogłaszać upadłość, występując ze strefy euro bez konieczności opuszczania UE. Chcemy „oddychającej waluty”, którą można by porzucić, gdyby jakieś państwo nie było w stanie jej utrzymać lub jej nie chciało. Obecnie w FDP panuje zgoda co do tych kwestii. Nie chcemy uspołeczniania długów czy innych ciężarów, w dyskusji na temat Europejskiego Funduszu Walutowego zajmujemy także bardzo krytyczne stanowisko. Uważamy, że to będzie wykorzystywane do dalszej centralizacji.

Czy liberalna FDP skreśliła w prawo? Przecież takie kwestie jak stosunek do euro czy kryzysu migracyjnego, gdzie prezentujecie inny rodzaj „otwartości” na uchodźców niż np. Zieloni, kojarzy się częściej z prawicą niż z liberałami.

Nie mogę nic począć z podziałem na prawicę i lewicę. Zresztą w Niemczech trudniej się o tym dyskutuje niż w pańskiej ojczyźnie. Podzielałam opinię Fryderyka Augusta von Hayeka, który uważał, że lewica i prawica są właściwie dwoma końcami tego samego okręgu i tak naprawdę powinno się spektrum partyjne rysować w kształcie trójkąta, z liberałami, konserwatystami i lewicą na trzech wierzchołkach. W wielu kwestiach prawicy jest bliżej do lewicy niż do liberałów. FDP to w Niemczech partia gospodarki rynkowej i praworządności.

W którą zatem stronę powinna iść strefa euro?

W stronę „oddychającej waluty”, która w większej mierze opierałaby się na odpowiedzialności. To, co mamy do tej pory, to uspołecznienie strat i złej polityki. Niemcy nie mogą oddziaływać na politykę Francji i odwrotnie, ale w sytuacji kryzysowej muszą ponosić jej koszty. Innym wyjściem byłoby stwierdzenie, że Niemcy powinny oddziaływać na politykę innych państw – ale i to byłoby złe. Francuzi lepiej oceniają, jak powinna wyglądać ich polityka, i odwrotnie. Ryzyko i odpowiedzialność powinny być ze sobą powiązane. Nie powinno być tak, że polityka i odpowiedzialność za nią rozjeżdżają się ze sobą.

Polska powinna przyjąć euro jako swoją walutę?

Jako obywatel nie chcę dawać Polsce żadnych rad, o tym muszą Polacy sami zdecydować.

A jako ekonomista?

Jako ekonomista powiem, że nie byłoby mądre, gdyby europejska wspólnota walutowa przyjmowała nowych członków. Ona najpierw musi się skonsolidować, zanim będzie w stanie to zrobić.

Jednak pojawia się argument, że to bardziej kwestia polityczna niż gospodarcza, że jeśli obecnie będziemy mieli podzieloną Unię, z państwami należącymi do strefy euro, i resztę, to to się wszystko rozjedzie.

To byłoby straszne i obawiam się, że niestety do tego może dojść. Euro miało łączyć Europę, a pana pytanie pokazuje, że raczej ją dzieli. Cała UE powinna być „oddychającą” przestrzenią. Przecież nie każdy musi brać udział we wszystkich przedsięwzięciach. Nie każda centralizacja jest na dłuższą metę dobra i powinna istnieć możliwość, by z czegoś zrezygnować. Zamiast wybrać elastyczność, brukselskie elity starają się w ramach zasady „coraz ściślejszego związku” tworzyć jednolite państwo europejskie. Nie robią tego otwarcie, ale starają się to osiągnąć, kładąc małe cegiełki, i mają nadzieję, że w końcu nie będzie można tego odwrócić. Tego nie chcą jednak ludzie ani w Polsce, ani w Szwabii, ani w Hiszpanii. To nie jest moja wizja jednoczącej się Europy, uważam, że tu trzeba także liczyć się z ludźmi.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Frank Schäffler – polityk niemieckiej liberalnej Wolnej Partii Demokratycznej (FDP). Poseł do Bundestagu w latach 2005–2013 i znów od 2017 r.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Zaraza nowelizacji

Błyskawiczne nowelizowanie dopiero co znolizowanych nowelizacji ustaw to od zarania III RP jedna z najbardziej wyniszczających ją przypadłości. A niedawne przyjęcie nowelizacji wielokrotnie nowelizowanej ustawy o IPN – nowelizacji, o której już przed jej ostatecznym zaakceptowaniem przez parlament i podpisaniem przez prezydenta było wiadomo, że wymaga ekspresowej nowelizacji – jest tego jedynie kolejnym – choć rzeczywiście najbardziej spektakularnym, bo rozgłoszonym na cały świat – przykładem. I to od razu przykładem nowelizacji, nad którą – jak można wnosić z przekazów docierających z różnych części globu – teraz pracować będą nie tylko prawnicy polscy, nie tylko polski Trybunał Konstytucyjny, polski Sejm i Senat i prezydent RP, lecz także prawnicy oraz politycy z Izraela i USA. (Skądinąd nie ma to mówić o suwerenności Polski).

Nowlizowanie właśnie znolizowanych nowelizacji także wcześniej dostarczało mnóstwa atrakcji lub wręcz ekstremalnych przeżyć tym obywatelom oraz firmom, w których i w które z całą siłą uderzały – przypadkiem albo przez legendarną nieuwagę legislatorów, czyli niepodzielnie panujące w polskim parlamencie bałagan i bezmyślność.

Z obowiązku wymienię przykłady kilku ostatnich (oprócz wyżej zasygnalizowanej, spodziewanej nowelizacji ustawy o IPN) spośród mnogiej liczby po raz

pierwszy uchwalonych lub znolizowanych na kolanie ustaw, które trzeba było potem piorunem znów nowelizować. Otóż za nowelizację ustawy o łowiectwie z grudnia 2017 r. zabrano się właściwie natychmiast. Niezbyt długo utrzymały się w 2017 r. zmiany dotyczące lex Szyszko, czyli wycinki drzew na prywatnych działkach. W krótkim czasie – za niedługich przecież rządów PiS – nie jeden już raz zdążono znolizować ustawę o odnawialnych źródłach energii. Pilnej nowelizacji wymaga też ustawa o kształtowaniu ustroju rolnego, po niedawnym znolizowaniu zasad handlu ziemią. I tak dalej, i tak dalej.

Jednak w końcu po co się starać o uporządkowanie polskiego systemu legislacyjnego? Po co się wysilać nad stworzeniem mechanizmu, który ratowałby polskie państwo przed rujną jego powagę, jego reputację, biegunką legislacyjną, prowadzącą od ewidentnego błędu do ewidentnego błędu, skoro suwerenowi to nie przeszkadza? Tym bardziej że w takiej sytuacji politycy musieliby zerwać z fatalną tradycją „pisanie ustaw na sali sejmowej” (często wprost wywracania ich tam do góry nogami) i – rzecz jasna – z przepychaniem ich w ekstrordinaryjnym, rewolucyjnym, bywa, że wymierzonym w prawa opozycji trybie, czasami nocą, z piątku na sobotę, bez obowiązkowych szerokiej konsultacji i zasięgania opinii rad legislacyjnych. I potem poważnego ich traktowania. Czyli musieliby przestać robić politykę „po naszymu”. ©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Warszawskie Eloje i Morłoki

Po kilku latach pobytu za granicą wróciłem do Polski. Postanowiłem kupić używany samochód. Po transakcji wybrałem się do urzędu gminy, żeby go zarejestrować. Ponieważ już kilka lat wcześniej załatwiałem różne sprawy w urzędach (paszport, dowód) i byłem informowany o tym, że urząd, jak oddział banku, załatwia wszystkie sprawy niezależnie od tego, gdzie mieszka klient, udałem się do najbliższego urzędu, na pl. Wilsona na warszawskim Żoliborzu.

Sala urzędu jest przyjemnie urządzona. Uśmiechnięci urzędnicy witają klientów przychylnymi spojrzeniami. Biorę numerki do rejestracji samochodów i dowiaduję się, że czeka jedna osoba. Nieźle, myślę, ale jest jeszcze lepiej. Natychmiast w wolnym stanowisku pojawia się urzędnik i od razu wyświetla się mój numerki. Nie czekam ani sekundy. Urzędnik proponuje mi różne numery do wyboru: 88988, 89998, 89898 i podobne. Po chwili wybieram, pan z uśmiechem wprowadza dane do komputera i nagle... „Zaraz, ale pan mieszka na ulicy... To niestety Bielany, a nie Żoliborz”. Zostaję poinformowany, gdzie jest Urząd Dzielnicy Bielany i jak tam dojechać. Tablice z ładnym numerem wracają na półkę.

Pół godziny i 3,40 zł później różnym krokiem wkraczam do Urzędu Dzielnicy Bielany. Już od wejścia słyszę buczenie i gwar. Podchodzę do automatu z numerkami, wydruk informuje mnie, że czeka 20 osób. W sali obsługi klientów

przed kasami kłębi się tłum seniorów, walczą na łokcie i parasole o prawo wniesienia opłaty w kasie. Numerki zmieniają się co kilka sekund, starsze osoby nie nadążają. Koło mnie siada para. Miło popatrzeć, oboje już na głębokiej emeryturze, ale widać, że całe życie kochali się jak gołąbki. „Kochanie, zobacz – mówi starszy pan – przed nami jest 60 osób”. „Nie martw się, patrz, jak szybko zmieniają się numerki” – odpowiada jego małżonka z uśmiechem.

Po dwóch godzinach czekania miły głos ogłasza wszystkim: „Numer M44, stanowisko 13”. Pędzę co sił, żeby zdążyć przed zmianą numerka, ufff, zdążyłem. Pani urzędniczka bardzo miło mnie obsługuje, ale w ofercie ma tablice z numerami 37954 lub podobne, o żoliborskich można tylko pomarzyć, więc zostawiam stare. Dostaję kwitek do opłaty w kasie. No nieźle – myślę – teraz jeszcze 60 emerytów i kolejna godzina. Jednak mój numerki wyświetla się już po kwadransie, słomem mijam kilku seniorów, opłacam i... Przy stanowisku 13 wita mnie rozbijający uśmiech. „Mamy problem” – mówi pani urzędniczka. „Pan mieszka na Bielanych, ale jest zameldowany na...”. Już sobie wyobrażam, jak jadę na..., biorę numerki do kilkugodzinnej kolejki. A pani mówi: „Proszę się nie martwić, dwa tygodnie temu mieliśmy upgrade systemu i teraz wystarczy, że napisze pan oświadczenie, iż mieszka na Bielanych”.

Kocham Polskę! ©

Author jest profesorem data science w Akademii Finansów i Biznesu Vistula.

TEST „DO RZECZY”: SAMSUNG GEAR SPORT

Fantastyczny ekran, wodoodporność do 50 m, niezły czas pracy na baterii oraz możliwość słuchania muzyki bez zabierania na trening smartfona – to największe zalety modelu Gear Sport. Nie jest to jednak smartwatch dla ludzi, którzy chcieliby móc, chociaż co jakiś czas, prowadzić rozmowy tylko przez zegarek.

W smartwatch wbudowano m.in. GPS, barometr, wysokościomierz i pulsometr. Aplikacja S Health regularnie sprawdza puls, liczbę zrobionych kroków czy pokonanych danego dnia pięter. A za bicie kolejnych „życiówek” użytkownik otrzymuje wirtualne pochwały. Aby lepiej monitorować sportowe sukcesy, zegarek pozwala na wybranie rodzaju aktywności: bieganie (na dworze lub na automatycznej bieżni na siłowni), marsz, rower (tradycyjny na dworze lub treningowy na siłowni), pływanie (Gear Sport jest wodoodporny, ale nurkować już w nim nie można), orbitrek, pajacyki, wyskoki etc. Zegarek może też np. podać liczbę zrobionych przysiadów lub brzuszków, choć nie zawsze jest to wynik w stu procentach prawidłowy. Również GPS nie zawsze podaje naszą dokładną pozycję – jego przybliżone wskazania wystarczą jednak do monitorowania treningów. Sporo dokładniejszy mógłby być również zastosowany w tym modelu pulsometr.

Zaletą testowanego zegarka jest to, że naszym nowym autem do zapięcia pasów zmusza on

do aktywności. Gear Sport co jakiś czas przypomina więc o tym, że już zbyt długo siedzimy w jednym miejscu i czas się wreszcie ruszyć. W nocy zegarek monitoruje zaś nasz sen.

Okrągły ekran AMOLED o średnicy 1,2 cala (i rozdzielczości 360 x 360 pikseli) jest jasny, czytelny i wyświetla żywe kolory. Wygląd tarczy można zmieniać w dowolnym momencie. Jest już też na tyle duży, że możemy na nim szybko sprawdzić pogodę, upewnić się, czy powietrze nie jest zbyt zanieczyszczone, lub zobaczyć, jakie zadania do wykonania jeszcze przed nami. Intuicyjną nawigację po systemie inteligentnego zegarka zapewnia obrotowy pierścień. Aplikacji jest sporo. Ponieważ nie jest to system Android, ale Tizen, brakuje np. takich programów jak Google Maps.

Jeśli chodzi o sam design zegarka, to bardziej podoba mi się inny inteligentny model: Gear S3 Classic. Klasyczną wersję można bowiem założyć i na siłownię, i do opery. Z Gear Sport do teatru czy na spotkanie biznesowe już bym nie poszedł. Gear Sport pozwala jedynie na odebranie telefonu lub odrzucenie połączenia. Niestety, smartwatch został tak skonstruowany, że nie da się z niego lub na niego dzwonić. Co gorsza, brak głośnika sprawia, że testowany smartwatch



nie pozwala nawet na prowadzenie krótkich rozmów telefonicznych, gdy jest bezprzewodowo połączony ze smartfonem.

Jeśli jednak ktoś jest w stanie na czas treningu zerwać się z telefonicznej smyczy, to będzie zadowolony:

Gear Sport ma bowiem aż 4 GB pamięci, można więc przekopiować na niego muzykę i wybiec na trening tylko z zegarkiem oraz bezprzewodowymi słuchawkami.

Sportowy model jest za to mniejszy i lżejszy od swego starszego, klasycznego brata. System działa płynnie i podczas testu ani razu się nie przyciął. Akumulator jest wystarczający, aby na jednym ładowaniu smartwatch działał od dwóch do czterech–pięciu dni. Czas ten zależy m.in. od intensywności używania, a także od tego, czy chcemy, aby wyświetlacz był zawsze włączony, czy wystarczy, gdy będzie się podświetlał akurat, gdy będziemy chcieli na niego spojrzeć. Cena: 1199 zł. ©

Jacek Przybylski

ROBOT W JAŚKU

Po ciężkim dniu w pracy wtulilibyście się w partnerkę/partnera i czując jej/jego ciepło oraz oddech, pospalibyście snem sprawiedliwego, ale... nic z tego, bo ukochana/tudzież ukochany nie tylko brutalnie zawłaszczyła/zawłaszczyl sobie kołdrę i większą część poduszki, skuliła/skulił się w kłębek i pochrapuje przez sen coś tam, coś tam, że głowa boli, że rano trzeba wstać? Znacnie to? Można oczywiście podebrać pociechom misia czy inną przytulankę, ale nad ranem trochę wstyd. Producenci Somnox proponują przytulić do snu swojego... robota. Jeśli przychodzą wam tu do głowy niektóre sceny z kultowego wieki temu filmu „Barbarella – królowa galaktyki”, to zapewniam – nic z tego. Somnox, przypominający opatulony pieluszką jasek, ma poprawiać sen przytulającej go osoby. Jak? Emitując delikatne ciepło imitujące ciepło ciała bliskiej osoby, delikatne dźwięki sugerujące oddech, świecąc lekkim, uspokajającym światłem. Jednym słowem – ma sprawić, że poczujecie się bezpieczniej, roz-

luźnicie się, wchodząc w stan relaksacyjny. Somnox, którego projektanci biorą pieniądze na uruchomienie produkcji, ma – jeśli zamówienie złożycie na Kickstarterze – kosztować ok. 1,4 tys. zł. I to by było na tyle, jeśli chodzi o stan relaksacyjny.



KIESZONKOWY ANALIZATOR

Są ludzie, którzy lubią wiedzieć, ile ważą. Ma to w mojej ocenie coś z mentalnego masochizmu, ale cóż... lubią i już. Są ludzie, którzy muszą – z racji uprawianego zawodu czy sportu – wiedzieć nie tylko, ile ważą, lecz także, zanim

poznać obecny skład swojego ciała. Znaczy się, czy wciąż wody jest więcej niż tłuszczu. Można oczywiście korzystać z profesjonalnych lekarskich badań, a można sięgnąć po One SmartDiet, czyli kieszonkowe urządzenie do pomiaru składu ciała. Producent zapewnia, że gadżecik nie tylko pomoże ustalić, czy używającemu One SmartDiet nie grożą wylew albo cukrzyca, lecz także – dzięki smartfonowej aplikacji – pozwoli na analizę poziomu tłuszczów w organizmie oraz pomoże dobrać odpowiednią dietę i menu żywieniowe. Wystarczy tylko przyłożyć palce do czterech elektrod dotykowych. Producent przekonuje, że wyniki analizy, jakie przygotowuje One SmartDiet, są w 98 proc. zbliżone z tymi, jakie można uzyskać, korzystając z wyspecjalizowanych, medycznych urządzeń. Cena gadżeciku na portalu Indiegogo to ok. 380 zł. ©

Wojciech Wybranowski



Jan Pieniążek

Stopy procentowe są jednym z najważniejszych narzędzi finansowych. Decyzje o ich wysokości mają istotne znaczenie dla rynków finansowych, dla całej gospodarki, a także dla przeciętnego Kowalskiego. Stopy wpływają bowiem na wysokość zysków z lokat oraz koszt kredytów

Najważniejsze stopy na rynku



Rada Polityki Pieniężnej kolejny raz pozostawiła stopy procentowe bez zmian, „Cześć podnoszą stopy procentowe”, „Fed nie podniesie stóp”. Najważniejsze media na całym świecie regularnie informują o stopach procentowych, wywołując ogromne emocje nie tylko wśród ekonomistów. Dlaczego? Decyzje w sprawie zmian stóp podejmowane przez banki centralne – w Polsce jest nim Narodowy Bank Polski, a organem uprawnionym do decydowania o wysokości stóp jest Rada Polityki Pieniężnej – mają wpływ na oprocentowanie kredytów, a także – pośrednio – na oprocentowanie depozytów i kurs walutowy. W związku z tym są one bardzo ważne zarówno dla inwestorów i przedsiębiorców, jak i dla osób fizycznych. Niektóre inwestycje, opłacalne przy niskich stopach procentowych, przy wysokich stają się nierentowne.

PO CO TE STOPY?

Stopy procentowe określają koszt kapitału. Innymi słowy – pokazują, jaką cenę trzeba zapłacić za pożyczanie pieniędzy. Najczęściej z tym terminem można się spotkać, lokując pieniądze w banku lub zaciągając kredyt – podawane wówczas oprocentowanie określa wielkość odsetek, które otrzymamy lub będziemy musieli oddać. Jeśli podawana przez bank stopa procentowa wynosi np. 2 proc. w skali roku, to rok po wpłaceniu 10 tys. zł na lokatę lub konto oszczędnościowe nasze oszczędności powiększą się o 200 zł (od zysku trzeba będzie jednak odjąć podatek od dochodów kapitałowych). Jeżeli zaś bierzemy pożyczkę na 10 proc. w skali roku, to po roku będziemy musieli oddać do banku 11 tys. zł.

Rada Polityki Pieniężnej, określając co miesiąc wysokość stóp procentowych, ustala, po jakiej cenie bank centralny będzie pożyczal pieniądze bankom komercyjnym.

ISTNIEJĄ CZTERY PODSTAWOWE RODZAJE STÓP PROCENTOWYCH:

– stopa referencyjna (nazywana również stopą interwencyjną lub stopą repo) – to najważniejsza stopa procentowa określana przez NBP. Określa minimalną rentowność krótkoterminowych, z reguły siedmiodniowych, bonów pieniężnych sprzedawanych bankom komercyjnym przez bank cen-



tralny w ramach tzw. operacji otwartego rynku. NBP emituje takie papiery i sprzedaje je bankom komercyjnym, aby absorbować z sektora bankowego nadmiar pieniądza, lub skupuje je, gdy chce bankom pieniądze dostarczyć. Stopa referencyjna NBP stanowi podstawę do określenia wysokości krótkoterminowych stóp procentowych na rynku międzybankowym. To zaś wpływa na poziom oprocentowania kredytów oferowanych przez banki swoim klientom. Obecnie wysokość stopy referencyjnej to 1,50 proc.

Od 2016 r. ze stopą referencyjną NBP powiązano również wysokość odsetek

ustawowych i maksymalnego oprocentowania kredytów konsumpcyjnych.

– stopa lombardowa – określa cenę, po której NBP udziela bankom komercyjnym pożyczek pod zastaw papierów wartościowych. To instrument stosunkowo rzadko wykorzystywany przez banki komercyjne. Obecnie stopa ta wynosi 2,50 proc.

– stopa depozytowa – określa wysokość oprocentowania, na jakie bank centralny przyjmuje jednodniowe depozyty od banków komercyjnych; również jest to stosunkowo rzadko wykorzystywany instrument. W Polsce stopa depozytowa wynosi 0,5 proc.

– stopa redyskonta weksli – określa cenę, po której banki komercyjne mogą zdyskontować w banku centralnym weksle odkupione od swoich klientów. W Polsce ten instrument jest stosunkowo rzadko wykorzystywany przez banki komercyjne. Stopa redyskonta weksli jest jednak ważna dla tych, którzy zaciągali kredyt studencki – od niej bowiem

1,50

proc.

**TYLE WYNOŚY OBECNIE STOPA REFERENCYJNA,
NAJWAŻNIEJSZA STOPA OKREŚLANA PRZECZ NBP**



cję w odpowiednich ryzach (od 2004 r. cel inflacyjny wyznaczony przez Radę Polityki Pieniężnej wynosi 2,5 proc. z możliwością odchylenia do 1 punktu procentowego w górę lub w dół).

Jeżeli cel inflacyjny jest spełniony – czyli wzrost cen jest jak najbliższy określonego poziomu – to polski bank centralny jest zgodnie z ustawą o Narodowym Banku Polskim zobowiązany do wspierania polityki gospodarczej rządu. Jeżeli inflacja jest istotnie niższa od celu, to bank centralny może obniżyć stopy procentowe celem zwiększenia ilości pieniądza dla banków komercyjnych.

Obniżanie stóp procentowych stanowi zachętę do wydawania pieniędzy. Decyzję o obniżce stóp polski bank centralny podejmuje wtedy, gdy uważa, że istnieje ryzyko, iż inflacja obniży się znacząco poniżej celu. Obniżenie stóp ma na celu zwiększenie akcji kredytowej, a przez to wzmocnienie popytu konsumpcyjnego i inwestycyjnego. Obniżenie stóp oddziałuje również w kierunku osłabienia krajowej waluty, zwiększając dochody z eksportu. W konsekwencji szybszego wzrostu popytu zwiększa się również dynamika cen, czyli inflacja.

Gdy Rada Polityki Pieniężnej obniża stopy procentowe, kredyty stają się tańsze. Jak bowiem pisaliśmy wyżej, stawka referencyjna NBP ma wpływ na wysokość stawek POLONIA (średnią ważoną stawkę operacji przeprowadzanych na rynku międzybankowym o jednodniowym terminie zapadalności), a także WIBOR (Warsaw Interbank Offered Rate), czyli wysokości oprocentowania pożyczek na polskim rynku międzybankowym dla różnych terminów zapadalności. Trzymiesięczna stawka WIBOR obok marży banku jest zaś m.in. jedną z części składowych np. kredytu hipotecznego. W związku z tym obniżenie stóp procentowych NBP może pośrednio oddziaływać w kierunku wzrostu dostępności kredytów hipotecznych. Dzięki niższemu oprocentowaniu kredytów bieżących i inwestycyjnych obniżają się także koszty funkcjonowania przedsiębiorstw, umożliwiając im szybszy rozwój i – co za tym idzie – zwiększanie skali zatrudnienia. Obniżenie maksymalnego oprocentowania kredytów konsumpcyjnych, będące następstwem obniżenia stóp procentowych NBP, oddziałuje również w kierunku wyższego kredytu konsumpcyjnego.

Inną konsekwencją obniżenia stóp procentowych jest niższe oprocentowanie depozytów. Jeśli stopy procentowe w banku centralnym obniżają się, to bankom komercyjnym łatwiej jest uzyskać środki w banku centralnym i w związku z tym nie muszą szczególnie mocno zabiegać o oszczędności klientów indywidualnych. W takiej sytuacji banki komercyjne mogą obniżyć oprocentowanie depozytów dla gospodarstw domowych i przedsiębiorstw, które mogą być mniej skłonne do oszczędzania, a bardziej – do zwiększenia konsumpcji i inwestycji.

WPŁYW PODWYŻSZENIA STÓP PROCENTOWYCH NA GOSPODARKĘ

2,50 proc.

TO CEL INFLACYJNY WYZNACZONY PRZEZ RADĘ POLITYKI PIENIĘŻNEJ

zależy wysokość odsetek od tego kredytu. Obecnie wynosi 1,75 proc.

Bank centralny ustala również wysokość rezerwy obowiązkowej, którą muszą utrzymywać w NBP wszystkie banki komercyjne. Nie jest to instrument służący do kontroli wzrostu cen – ma on jednak wpływ na stabilność systemu finansowego. W Polsce z każdego depozytu bank komercyjny musi odłożyć w banku centralnym 3,5 proc. Od stycznia 2018 r. oprocentowanie tych środków wynosi 0,50 proc. Od marca 2018 r. stopa rezerwy obowiązkowej od środków pozyskanych co najmniej na dwa lata będzie wynosiła 0 proc.

CEL: STABILNOŚĆ CEN

Możliwość decydowania o wysokości stóp procentowych to jedno z najważniejszych narzędzi makroekonomicznych wykorzystywanych do kreowania polityki gospodarczej kraju. W ten sposób banki centralne mogą bowiem dbać o stabilność cen, czyli utrzymywać infla-

Bank centralny może podwyższyć stopy procentowe, gdy dostrzeże ryzyko wzrostu inflacji istotnie powyżej celu. Po podwyższeniu stóp procentowych pozyskiwanie pieniądza w banku centralnym staje się droższe, a w ślad za tym rośnie oprocentowanie lokat bankowych. Rośnie również oprocentowanie kredytów udzielanych przez banki komercyjne. Z tego względu niektóre inwestycje mogą okazać się nieopłacalne. Wyższe koszty funkcjonowania przedsiębiorstw wynikające z droższego kredytu oddziałują w kierunku zmniejszania kosztów (m.in. za pomocą redukcji zatrudnienia). Zmiana stóp procentowych ma wpływ nie tylko na nowe kredyty, lecz także na te już zaciągnięte po zmiennej stopie procentowej (uzależnione np. od 3M WIBOR). W związku z tym mniejsza jest również zdolność gospodarstw domowych do pozyskania nowych kredytów, a spłacanie już zaciągniętych staje się trudniejsze. Podwyżka stóp prowadzi również zwykle do umocnienia się krajowej waluty, co z kolei może prowadzić do pogorszenia konkurencyjności eksportu, a w konsekwencji do spadku



■ eksportu i wzrostu atrakcyjności towarów importowanych. W konsekwencji niższego wzrostu popytu obniża się również inflacja.

POLSKA GOSPODARKA PĘDZI

Ustalając wysokość stóp procentowych, banki centralne zwracają obecnie uwagę nie tylko na wskaźniki dotyczące inflacji, lecz także na sytuację sektora bankowego, stan gospodarki kraju, dane dotyczące popytu detalicznego, inwestycji, zamówień w gospodarce czy na sytuację w światowej gospodarce. Bardzo ważne przy podejmowaniu decyzji o wysokości stóp są nie tylko bieżące dane, lecz także prognozy rozwoju sytuacji gospodarczej. Od tych czynników zależy bowiem, czy i w jakim stopniu konieczne jest podwyższenie lub obniżenie stóp procentowych. Działania banku centralnego zależą więc od tego, czy czynniki powodujące odchylenie inflacji od celu pozostają w sferze oddziaływań banku centralnego (a więc

czy są związane ze zbyt niskim lub zbyt wysokim popytem). Jeśli np. odchylenie inflacji od celu jest powodowane przez czynniki o charakterze zewnętrznym, m.in. przez wahania ceny ropy na światowych rynkach czy klęski żywiołowe, działania banku centralnego będą uzależnione od tego, czy czynniki te powodują silny wzrost lub spadek oczekiwań inflacyjnych.

Na przykład w Polsce, pomimo utrzymywania się inflacji poniżej celu w ostatnich latach, wynikającego głównie z czyn-

ników niezależnych od krajowej polityki pieniężnej (spadku cen ropy i rosyjskiego embarga na polską żywność), inflacja oczekiwana przez przedsiębiorstwa oraz gospodarstwa domowe w dłuższym okresie pozostawała zbliżona do celu inflacyjnego. Odchylenie oczekiwań inflacyjnych od celu oznaczałoby, że gospodarstwa domowe oraz przedsiębiorstwa mogą zmniejszyć popyt na dobra i usługi w oczekiwaniu na spadek cen, przyczyniając się do utrwalenia zbyt niskiej inflacji. Tak jednak się nie stało, co pozwoliło inflacji – po odchyleniu się od celu – powrócić w okolice celu inflacyjnego.

W Polsce ostatni raz Rada Polityki Pieniężnej zmieniła stopy procentowe w marcu 2015 r., obniżając wysokość wszystkich podstawowych stóp o 50 punktów bazowych. Było to wystarczające do niedopuszczenia do obniżenia się długookresowych oczekiwań inflacyjnych znacząco poniżej celu.

Od marca 2015 r. stopy utrzymywane są na niezmiennym, ale wciąż wyższym niż w większości krajów europejskich poziomie. Takie podejście uzasadnia wiele czynników. Z jednej strony dane GUS jasno pokazują, że koniunktura w Polsce jest korzystna. W całym roku 2017 PKB wzrósł o 4,6 proc. (wobec 2,9 proc. w 2016 r.). Dynamika polskiego PKB w 2017 r. była dwukrotnie wyższa niż średnia dla Unii Europejskiej. Z drugiej strony inflacja pozostaje w okolicy, lecz nieznacznie poniżej celu inflacyjnego, a dostępne prognozy wskazują, że wzrost może nieco spowolnić w nadchodzących kwartałach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Projekt realizowany z Narodowym Bankiem Polskim w ramach programu edukacji ekonomicznej.

Rada Polityki Pieniężnej

RPP zgodnie z Konstytucją RP jest organem Narodowego Banku Polskiego. W jej skład wchodzi przewodniczący (jest nim prezes NBP) oraz dziewięciu członków – po trzech powołują prezydent, Sejm oraz Senat. Kadencja członków RPP trwa sześć lat i nie ma możliwości odwołania ich w jej trakcie. RPP określa założenia polityki pieniężnej NBP, czyli decyduje o tym, jak korzystać z narzędzi polityki pieniężnej, aby nie dopuścić do wzrostu cen (inflacji) ponad zakładany poziom.



ALIOR
BANK

BANK PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

TANKUJ TANIEJ Z RACHUNKIEM PARTNER

Wybierając bezpłatny Rachunek Partner z kartą debetową, zyskujesz **niską cenę paliwa na wszystkich stacjach w Polsce.**



paliwo.aliorbank.pl

Aby nie płać za prowadzenie rachunku wystarczy opłacać z Rachunku Partner lub Rachunku Pomocniczego zobowiązania wobec ZUS lub US (min. jedno w miesiącu) oraz spełnić JEDEN z poniższych warunków: a) otrzymywać wpływy od kontrahentów lub wpłacać utarg na Rachunek Partner lub Rachunki Pomocnicze w kwocie nie mniejszej niż 2500 zł/mies. (nie wliczając przelewów z rachunków własnych (także prowadzonych w innych bankach oraz z powiązanego rachunku indywidualnego) LUB b) skorzystać z dowolnego kredytu dla firm. Niespełnienie warunków wiąże się z pobraniem opłaty za prowadzenie rachunku Partner w wysokości 25 zł/mies. Promocją „Cashback dla Przedsiębiorców” objęte są płatności bezgotówkowe realizowane kartą Mastercard Debit Commercial na stacjach paliw w Polsce; zwrot do 100 zł/mies. następuje po spełnieniu warunków regulaminu. W okresie promocji Bank nie pobiera opłat miesięcznych za kartę oraz opłaty za korzystanie z usługi cashback dla Przedsiębiorców. Oferta dla nowych klientów biznesowych Alior Banku. Szczegóły oferty i regulamin dostępne są w placówkach i na www.aliorbank.pl



Łukasz Zboralski

Gdyby nie oni, z igrzysk wracalibyśmy z kwaśnymi minami

Dzisiaj kiedy występy polskiej kadry skoczków narciarskich już za nami, można to napisać – podopieczni trenera Stefana Horngachera jechali tam po medale. I byliśmy prawie pewni tego, że je przywiozą. Ba, byliśmy przekonani, że będą wśród tych medali krążki ze złota.

– Warto, żebyśmy mieli marzenie, by Kamil Stoch zdobył teraz medal na igrzyskach. Ja w to mocno wierzę – mówił „Do Rzeczy” przed igrzyskami Wojciech Fortuna, mistrz olimpijski z Sapporo. – Jak się jest w takim gazie, to się dwa razy wygrywa mistrzostwo olimpijskie – dodawał. I niewiele się pomylił.

MEDALE SKRADZONE

Gdyby nie to, że w Pjongczangu odbyły się dwa indywidualne konkursy, przez wiele lat czytalibyśmy w polskiej prasie o tym, jak mało brakowało nam do szczęścia i jak zmanipulowano polskie złoto. Bo nie wszystko było czyste jak śnieg podczas pierwszego konkursu na małej skoczni.

W pierwszej serii, odbywającej się w niełatwych warunkach, najlepiej skoczył Stefan Hula (111 m), a drugi wynik – ex aequo z Norwegiem Johannem André Forfangiem – miał Kamil Stoch (106,5 m). To, co działo się potem, trudno było zrozumieć. Wiatr wiał na olimpijskiej skoczni tak mocno, że Szwajcar Simon Ammann musiał kilka razy schodzić z belki, zanim oddał skok. I nagle wszystko przestało zależeć od umiejętności, sprzętu i wyszkolenia, a karty w konkursie zaczęły rozdawać los. W polskich domach przed telewizorami zapadła głucha cisza, gdy walczący o najwyższą stawkę Stoch opadł w odległości 105,5 m. A prawdziwym szokiem było lądowanie Huli w takiej samej odległości i odejęcie mu ponad 18 pkt za dobre warunki. Polacy zostali dosłownie zepchnięci z podium.

I nic dziwnego, że Adam Małysz, dyrektor koordynator Polskiego Związku Narciarskiego, kipiał z wściekłości. – Nie wiem, jakim cudem odjęto Stefanowi tyle punktów. Byłem w szoku. Przez cały



czas przez radio dostawałem informacje, że warunki są słabe – mówił. I dodawał z goryczą: – Dzisiaj to nie był sport, to była loteria. Tak krzywdzący konkurs nie powinien mieć miejsca.

Światowa federacja narciarska FIS przyznała później lakonicznie, że z powodu wiatru konkurs na małej

skoczni w Pjongczangu był najgorszym i najtrudniejszym w historii zimowych igrzysk olimpijskich.

Walter Hofer, dyrektor Pucharu Świata, winę za to zrzucił na... skoczków.

– Zawodnicy długo czekali, byli przemarznięci, ale żaden z nich się nie poskarżył – mówił w rozmowie z tel-



Tomasz Kot, Stefan Hula, Dawid Kubacki i Kamil Stoch cieszą się z pierwszego w historii polskich skoków drużynowego medalu olimpijskiego (brązowego) FOT. ERIC GAILLARD/REUTERS/FORUM

wie warunków pogodowych, skokami nie kręci już tylko wiatr. I mówią już o tym głośno także eksperci i sami zawodnicy.

MEDALE DOWIEDZONE

Przed dwoma kolejnymi konkursami nastroje polskich kibiców nie były więc najlepsze. Z jednej strony obawiano się kolejnej nieobliczalnej rozgrywki (a przed drugim konkursem warunki pogodowe znów nie nastrajały najlepiej), a z drugiej – bano się, czy skoczkowie wytrzymają presję i czy będą chcieli za wszelką cenę potwierdzić to, że medale im się należą.

Jednak kadrowicze okazali się niezwykle profesjonalistami. Już po dziwnym pierwszym konkursie tonowali nastroje. Przyjmowali to ze spokojem i przygotowywali się do kolejnych zmagani.

Na dużej skoczni w pierwszej serii Kamil Stoch zajął pierwsze miejsce, czym potwierdził swoją wysoką formę i wielką klasę. Pierwszą piątkę zamknął Stefan Hula (ostatecznie był 10.). W drugiej serii świetnie skakali rywale, ale Kamil nie dał sobie odebrać pierwszego miejsca. Pierwszy medal dla Polski w Pjongczangu miał kolor złota – a nasz najlepszy skoczek trzeci raz został mistrzem olimpijskim.

Kibice świętowali i przygotowywali się na pierwszą historyczną możliwość, czyli zdobycie medalu drużynowego w skokach narciarskich. Dziennikarze przeliczali punkty z konkursów indywidualnych, z których wynikało, że teoretycznie Polacy mają szansę co najmniej na brąz.

– Na pewno mamy szansę na medal, ale nie wiem, jakiego koloru. Faworytami numer jeden są Norwegowie, potem Niemcy – mówił po ostatnim indywidualnym konkursie trener Horngacher. Okazało się to właściwą diagnozą. W drużynowym konkursie prawie od początku widać bowiem było, że liczą się tylko trzy drużyny – Polacy, Niemcy i Norwegowie. Ci ostatni coraz bardziej odskakiwali i przybliżali się do złota, a Polska i Niemcy toczyły bój o srebro. Bój o centymetry. Przed ostatnim skokiem Kamila Stocha to nasza drużyna zajmowała drugie miejsce. Skoczył dobrze, ale otrzymał gorsze noty niż Andreas Wellinger.

Wydawało się, że będzie euforia z historycznego dokonania, ale po wyświetleniu się ostatecznej klasyfikacji

czwórka naszych kadrowiczów jednocześnie martwiła się i cieszyła. Wiadomo – tego nie pokazały kamery relacjonujące zmagania w Pjongczangu – że Stoch był przez chwilę tak zły, iż nawet rzucił kaskiem o ziemię. Potem nerwy przeszły i została radość.

W czasie, gdy czterech skoczków – Kamil Stoch, Stefan Hula, Dawid Kubacki i Maciej Kot – świętowało zdobycie drużynowego trzeciego miejsca, jeden musiał przeżywać osobisty dramat. Piotr Żyła akurat na igrzyskach skakał gorzej niż koledzy i nie dostał nawet szansy na występ. Do końca pozostał na ławce rezerwowych. I choć – jak to on – wszystko przyjmował z uśmiechem, a dla Stocha zagrał na gitarze hymn Polski i opublikował go w sieci, w środku musiał czuć piekący ból. I tego nie zmieniła pewnie nawet drużyna, która wspominała przy nim o sukcesie przy każdej okazji. Chłopaki z brązem nie tylko zgarnęli medale igrzysk, lecz także zapewnili sobie spokojną przyszłość.

BRĄZOWI EMERYCI

Medale igrzysk to przede wszystkim sportowy sukces. Mają one też jednak całkiem wymierne dodatki – czyli premie przyznawane przez Polski Komitet Olimpijski. Za złoty medal Kamil Stoch dostanie 120 tys. zł. Za brązowe krążki PKOl wypłacał w tym roku 50 tys. zł, ale krążek drużynowy tego koloru był wyceniany na tylko na 75 proc. tej kwoty. Dlatego Stoch, Kubacki, Kot i Hula od komitetu dostaną więc po 37,5 tys. zł dodatku.

Jeśli jednak mowa o finansach, to najważniejsze dla olimpijczyków jest to, że krążek z igrzysk oznacza otrzymanie specjalnej sportowej emerytury. Każdy ze skoczków ma już pewność, że jeśli ukończy 40 lat (i zakończy sportową karierę), to nie zostanie z niczym – będzie dostawał od państwa świadczenie. Ile? Dzisiaj sportowa emerytura to nieco ponad 2,6 tys. zł netto. Tych pieniędzy nie dostanie jednak taki sportowiec, który został skazany prawomocnym wyrokiem za przestępstwo lub został przyłapany na doping.

Szkoleniowiec Stefan Horngacher także zostanie wynagrodzony za sukces, do którego doprowadził kadrę skoczków. Dodatek za zdobycie przez podopiecznego złotego medalu to 60 tys. zł, a brązowego – 25 tys. zł.

Olimpijskie konkursy potwierdziły hierarchię w światowych skokach, która ustalała się przez cały sezon. I chociaż wiatr robił, co mógł, żeby po swojemu rozdzielać medale, to było widać, kto jest naprawdę mocny. Nie tak łatwo jest strącać pomniki.

Kamil Stoch był jedną z największych gwiazd zawodów w Korei. W wielkim stylu obronił tytuł mistrza olimpijskiego na dużej skoczni i pomógł kolegom wywalczyć historyczny brązowy medal w konkursie drużynowym. To świadczy o tym, jak dobrze został przygotowany do sezonu przez Stefana Horngachera i jego sztab.

W skokach narciarskich nie jest łatwo wywrócić hierarchię do góry nogami w trakcie sezonu. Można zrobić sobie przerwę, ukryć się przed ciekawskimi spojrzami dziennikarzy, konkurencji i kibiców, ale jeśli dołek formy jest bardzo głęboki, to na szczyt się nie wejdzie. Tak robił nieraz Adam Małysz, który wracał na dobrze sobie znane skocznie i pod okiem trenera – wujka Jana Szturca – szukał błysku. Bazę miał solidną, ale chodziło o detale, które robiły różnicę i czyniły go niedościgionym dla konkurencji.

TRAFIĆ Z FORMĄ

Polski mistrz rozpętał się tej zimy powoli, ale systematycznie. W początkowych konkursach Kamil Stoch może nie ołśniewał, po drugim miejscu w Wiśle na kolejne podium trzeba było poczekać, ale im dłużej trwał sezon, tym było lepiej. Pokaz mocy nastąpił pod koniec grudnia i na początku stycznia, gdy nie było mocnych na Polaka w Turnieju Czterech Skoczni. Stoch wyglądał po sukcesie na skrajnie wyczerpanego, ale prezes Polskiego Związku Narciarskiego Apoloniusz Tajner, który podobne chwile przeżywał z Adamem Małyszem, zapewniał, że nie ma żadnych powodów do niepokoju. Wszystko było pod kontrolą, a Stoch był nawet zbyt „wypoczęty” jak na wysiłek, jakim jest Turniej Czterech Skoczni.

W Zakopanem wszyscy przeżyliśmy niespodziankę, gdy Stoch nie zakwalifikował się do drugiej serii konkursu, ale to był tylko wypadek przy pracy. Prezes Tajner tuż przed wylotem do Korei mówił, że austriacki trener reprezentacji cały sezon ma rozpisaną na godzinę i minutę. Wie, kiedy skoczkowie mają skakać, kiedy leżeć, kiedy i ile jeść, kiedy się rozerwać. Wie, kiedy ma przyjść najwyższa forma, i wszystko doskonale mu się sprawdzało. Dlatego teraz można

Krajobraz po igrzyskach



Łukasz Majchrzyk

Po igrzyskach w Pjongczangu jedni będą opatrywać rany, inni świętować. Kto był mocny w Korei, ten mocny pozostanie



być spokojnym o pozostałą część sezonu. Oczywiście to jest tylko sport i nikt nie da gwarancji sukcesu, ale wydaje się, że w nadchodzących tygodniach polskich kibiców czekają kolejne miłe chwile.

Po powrocie z igrzysk olimpijskich w Soczi, gdzie Stoch zdobył dwa złote medale, Polak z powodzeniem walczył o zwycięstwo w klasyfikacji końcowej Pucharu Świata: wygrał w Lahti i Kuopio w Finlandii, dorzucił trzecie miejsce podczas zawodów w Oslo i na koniec sezonu mógł unieść w górę Kryształową Kulę.

Teraz jest ogromna nadzieja, że finał w Planicy będzie podobny. Już od 2 do 16 marca skoczkowie będą rywalizować w tzw. Raw Air, gdzie w ciągu siedmiu dni rozegrają cztery konkursy, a – jak wiadomo – przynajmniej od dwóch lat Stoch w takiej sytuacji radzi sobie znakomicie – potrafi zachować koncentrację i skumulować energię na najważniejsze skoki. Dobry występ w zawodach „Raw Air”, które są zaliczane do klasyfikacji generalnej Pucharu Świata, powinien pomóc Polakowi utrzymać bezpieczną przewagę nad



FOT. GRZEGORZ MONIOT/PAP

tylko Michael Hayböck pofrunął na porównywalną odległość, ale on z kolei zaprzepaścił swoje szanse w serii finałowej.

Jak zawsze groźni powinni być skoczkowie z Norwegii, którzy fantastycznie się zaprezentowali podczas konkursu drużynowego i zawsze mają w zanadrzu jakieś nowinki sprzętowe, za którymi musi nadążyć konkurencja. Indywidualnie najwyżej w klasyfikacji generalnej jest Daniel-André Tande (4. miejsce), ale traci do Stocha ponad 150 punktów.

Austriacy, którzy w ostatnich latach byli potęgą w skokach narciarskich, teraz wyraźnie są bez formy, a do tego na forum publicznym piorą swoje brudy. Heinz Kuttin po słabym występie jego zawodników w Korei jest coraz mocniej krytykowany. Obecnego trenera reprezentacji zaatakował jego poprzednik Alexander Pointner, który opowiadał o słabej formie i złej atmosferze.

Byłemu szkoleniowcowi w ostrych słowach odpowiedział były podopieczny Thomas Morgenstern, który stwierdził w rozmowie z „Przeglądem Sportowym”, że Pointner ma w tym swój interes i chciałby wrócić do pracy z kadrą. Jeszcze w zeszłym sezonie Kraft świetnie radził sobie w Pucharze Świata i wtedy krytyków nie było słychać. Teraz wyraźnie obniżył formę, przed Pjongczangiem jeszcze na pewien czas się ukrył, żeby poprawić błędy, ale z dołka nie zdołał się wydobyć. Czy da radę odrodzić się w ostatniej części sezonu? Jeśli do tej pory nie skakał dobrze, to ciężko przypuszczać, żeby nagle, po dwukrotnej zmianie strefy czasowej, szybko wrócił do wysokiej formy.

Kuttin próbuje się bronić, szuka winnych wokół siebie, ale ma coraz mniej argumentów na swoją obronę. Być może w słowach Morgensterna jest sporo prawdy i Pointner rzeczywiście realizuje plan powrotu do pracy z reprezentacją, ale nawet jeśli Kuttin odejdzie ze stanowiska, to władze austriackiej federacji wcale nie muszą sięgać po szkoleniowca, którego pożegnały kilka lat temu.

CO ZROBI HORNGACHER?

Na horyzoncie jest inny fachowiec, który ma dużo wyższe notowania i który również doskonale zna tamtejsze środowisko. Horngacherowi po tym sezonie kończy się kontrakt z Polskim Związkiem Narciarskim, a chętnych do zatrudnienia tego szkoleniowca na pewno nie

zabraknie. Razem z obecnym trenerem mogą odejść także jego współpracownicy, tacy jak choćby dr Harald Pernitsch, który ma opinię najlepszego fachowca od oceniania mocy skoków i dobierania odpowiednich obciążeń treningowych. Prezes Tajner i Adam Małysz próbują przekonywać Austriaka. Wola przedłużenia współpracy występuje podobno po obu stronach, ale ostatecznej deklaracji na razie od nikogo nie usłyszeliśmy.

To może być serial również pasjonujący, jak same konkursy Pucharu Świata, bo Horngacher potrafi wyciągać skoczków z dołka i wprowadzać znów na szczyty. Tak zrobił ze Stochem, tego samego mógłby dokonać z Gregorem Schlierenzauerem, który w dalszym ciągu szuka dawnej chwały. Ciężko wyobrazić sobie jego dalszą pracę z Kuttinem po tym, jak trener stwierdził, że jego skoki podczas zawodów olimpijskich nie były nawet przeciętne.

Konflikt między zawodnikami a trenerem oznaczałby ostateczne pogrzebanie marzeń o powrocie do dawnej potęgi bez podjęcia radykalnych decyzji. Wydaje się jednak, że bez zmiany na stanowisku trenera austriackiej kadry się nie obejdzie. Schlierenzauer ma ledwie 28 lat, jest młodszy od Stocha i mógłby jeszcze odnosić wielkie sukcesy, ale powtarza, że skakanie na słabym poziomie go nie interesuje i nie wie, czy będzie kontynuował karierę.

Takie słowa muszą dać do myślenia władzom austriackiej federacji, które mogą się obawiać, że już niedługo nic nie zostanie z dawnej potęgi. Taką sytuację mają już przeciwiconą w Finlandii, która jeszcze kilka lat temu była potęgą, a dziś jest drużyną przeciętną, bez żadnej gwiazdy, która musi się ratować 41-letnim Jannem Ahonenem, który lata chwały ma już za sobą.

Adam Małysz podobno nieustannie dopytuje Horngachera o to, czy szkoleniowiec zechce przedłużyć umowę. Austriak miał zapewnić, że jeśli dostanie konkretną ofertę od rodaków, to uprzedzi Polski Związek Narciarski odpowiednio wcześniej, przynajmniej miesiąc przed końcem sezonu, żeby można było wybrać następnego trenera dla Stocha i spółki. Czy Horngacher ruszy do ojczyzny, żeby znów budować na zgłiszczach, czy zostanie w Polsce, gdzie cieszy się uznaniem kibiców i zarabia bardzo dobrze? Sezon kończy się 23 marca w Planicy. Wtedy już wszystko powinno być wiadomo.

drugim Richardem Freitagiem. Kto wie jednak, czy w końcówce sezonu najgroźniejszy nie będzie inny Niemiec? Andreas Wellinger bił się ze Stochem o zwycięstwo w Turnieju Czterech Skoczni, do tego skakał w Pjongczangu znakomicie i pokazał olbrzymią moc, zwłaszcza w konkursie na dużej skoczni.

Przegrał tam wprawdzie ze Stochem walkę o złoty medal, ale w obu próbach skakał dalej od Polaka. Jego lot w drugiej serii na odległość 142 m był imponujący. W konkursie indywidualnym jeszcze

Kiedy siada na belce startowej, ożywają się wszyscy kibice. Podnosi się aplauz, a kciuki zaciskają dłonie trzymające nie tylko japońskie flagi. – Mój cel jest taki sam za każdym razem, to zdobycie złotego medalu – mówił japoński skoczek przed tegorocznymi igrzyskami. I choć w Pjongczangu Noriaki Kasai nie skakał najlepiej, to biorąc pod uwagę fakt, że jest zaledwie trzy lata młodszy od Stefana Horngachera, trenera polskiej kadry skoczków, i pięć lat starszy od Adama Małysza, który zakończył karierę skoczka w 2011 r., to nic dziwnego, że Kasai budzi taką sympatię fanów skoków.

To jego ósme igrzyska olimpijskie. Żaden inny zawodnik sportów zimowych nie startował w igrzyskach tyle razy, ale Kasai już zapowiedział, że poprawi swój rekord. – Jestem podekscytowany udziałem w igrzyskach po raz ósmy, ale równie zirytowany, że nie zdobyłem medalu. Pokazałem tylko połowę tego, na co mnie było stać. Drugą połowę pokażę za cztery lata – powiedział Kasai, który podczas kolejnych igrzysk będzie miał już 49 lat.

ZA MŁODZI, ZA STARZY

Kiedy dziewięcioletni Noriaki pierwszy raz zakładał narty, Microsoft dopiero stawał u progu sukcesu, stery w firmie przejmował Bill Gates, Polacy przeżywali tragiczną śmierć Anny Jantar, a „ojciec” Facebooka Mark Zuckerberg jeszcze nie przyszedł na świat, podobnie jak wielu tych, z którymi w Pjongczangu w 2018 r. mierzył się Kasai.

Noriakiego, chłopca z biednej rodziny, do skakania zachęcił kolega. Było to w czasach, gdy skoczków uczono stylu klasycznego, nikt jeszcze nie śnił, by w locie układać narty w literę V. Szybko okazało się, że Noriaki ma do tego sportu talent. W 1987 r. wygrał turniej dla gimnazjalistów z Hokkaido



FOT. DAN ISTENEN/GETTY IMAGES



Radosław Wojtas

W tym wieku na igrzyska olimpijskie jeździ się raczej w roli trenera, a nie zawodnika. Noriaki Kasai w Pjongczangu mierzył się ze skoczkami młodszymi o kilkanaście lat i zapowiedział, że jeszcze długo będzie zasiadał na belce

i trafił do reprezentacji kraju. Chłopaka nie stać było wtedy nawet na kombinezon, ale z pomocą ruszył kolega, który pożyczył mu odpowiedni ubiór.

Pierwszy raz w konkursie Pucharu Świata Kasai wystąpił, gdy był jeszcze w liceum. Nie zdobył punktów, ale powoli torował sobie drogę do ścisłej czołówki japońskich skoczków. W sezonie 1989/1990 na konkursy Pucharu Świata jeździł już regularnie. Kombinezon z olimpijskimi okręgami pierwszy raz założył w 1992 r. We francuskiej Albertville nie błyszczał, ale jeszcze w tym samym roku pierwszy raz stanął na podium w konkursie zawodów Pucharu Świata i zdobył mistrzostwo świata w lotach narciarskich.

Kryształowej kuli nigdy nie uniósł nad głowę, ale dwukrotnie zajmował trzecie miejsce w klasyfikacji generalnej PŚ,

dwa sezony PŚ w lotach ukończył na drugim miejscu. Olimpijskie krążki zakładał na szyję trzykrotnie. Pierwszy raz w Lillehammer w 1994 r., gdy japońska drużyna z Kasaiem w składzie wywalczyła srebro. W 2014 r. w Soczi, gdy Noriaki był po czterdziestce i już wtedy przez wielu był wysyłany na sportową emeryturę, wywalczył w drużynowym konkursie brąz, a indywidualnie – srebro na dużej skoczni. O włos lepszy był wtedy od Japończyka tylko bezkonkurencyjny w tym czasie Kamil Stoch.

NIEZNISZCZALNY

Noriaki Kasai codziennie biega, jeden z pokoi swojego domu zamienił na siłownię, gdzie spędza dużo czasu. Dzięki temu w testach wydajnościowych wypada lepiej niż wielu skoczków młodszych od niego o pokolenie.

Dla Japończyków Kasai jest bohaterem nie tylko ze względu na osiągnięcia w sporcie. Nie miał bowiem łatwego życia. Noriakiego i jego dwie siostry wychowywała matka. W domu się nie przelewało. W 1994 r., gdy skoczek był już w światowej czołówce i brak pieniędzy nie był dla jego rodziny problemem, wstrząsnęła nim wiadomość o poważnej chorobie jednej z sióstr. U młodszej od niego Kumiko zdiagnozowano niewydolność szpiku kostnego. Zorganizował dla niej najlepsze leczenie, a sam wzmógł treningi, wierząc, że wywalczenie olimpijskiego złota dla siostry pomoże jej przezwyciężyć chorobę.

Trzy lata później w domu jego matki wybuchł pożar, w którym Sachika doznała bardzo poważnych obrażeń, a po roku zmarła. Do końca motywowała syna. Jeden z listów, napisany przez matkę krótko przed śmiercią, Noriaki zabiera na zawody. Jego siostra Kumiko zmagala się z chorobą przez lata. Zmarła w styczniu 2016 r. w wieku 38 lat. Do historii przeszedł skok Noriakiego na zawodach rozgrywanych dwa dni po jej śmierci. Z czarną opaską na rękę Kasai wyrównał rekord Azji w długości skoku.

Własną rodzinę Noriaki założył dopiero w 2014 r., żeniąc się z młodszą o 12 lat Reiną Harimą. Mają dwuletnią córeczkę i to pewnie dla niej Kasai będzie chciał skoczyć po olimpijskie złoto. – To jest mój cel, to moja życiowa motywacja. Zrobię wszystko, żeby go zdobyć – mówił Kasai przed igrzyskami w Pjongczangu.

Czy zdobędzie złoto za cztery lata? W przypadku „The Legend”, jak się o nim mówi, który swój najdłuższy w życiu skok na odległość 241,5 m oddał w 2017 r., wszystko jest możliwe.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



JESTEŚMY PALIWEM DLA POLSKIEGO SPORTU

GRUPA LOTOS – ZAŁOŻYCIEL NARODOWEGO
PROGRAMU ROZWOJU SKOKÓW I BIEGÓW
NARCIARSKICH



www.lotos.pl



NASZ TEST: MERCEDES-BENZ E350E



Luksusowa limuzyna, którą można podłączyć do tradycyjnego gniazdka elektrycznego, to propozycja dla miłośników komfortowej, ekologicznej i niemal bezgłośnej jazdy. Dodatkowa litera „e” oznacza, że pod maską znajdziemy dwa silniki: spalinowy i elektryczny. Technologia hybrydowa wymaga jednak jeszcze dopracowania – realny zasięg na naładowanym do pełna akumulatorze wynosi bowiem mniej niż 30 km.

W KABINIE

Wnętrze jest wykończone w typowym dla Mercedesa stylu. Wygodne fotele – zarówno podgrzewane, jak i wentylowane – są obite wysokiej jakości skórą. Eleganckiego charakteru kabinie dodają też drewniane inkrustacje. Wieczorami romantyczny nastrój buduje dyskretne oświetlenie. Niestety, konieczność umieszczenia gdzieś akumulatorów sprawiła, że E350e ma bardzo mały bagażnik, którego pojemność wynosi zaledwie 400 l, oraz niewielki bak – 50 l.

JAZDA

Pod maską tego mercedesa poza dwulitrowym silnikiem benzynowym o mocy 211 KM znajduje się silnik elektryczny o mocy 88 KM. Dzięki temu ekologiczną limuzyną można nie tylko szpanować bezgłośnie jazdą po mieście, lecz także bez trudu osiągnąć na autostradzie prędkość nawet

250 km/godz. Dwutonowa limuzyna od zera do pierwszej setki przyspiesza zaś w 6,2 s. Dzięki napędowi elektrycznemu pracującemu jednocześnie z silnikiem spalinowym startując na światłach, można bez trudu wpędzić w kompleksy niejednego małolata.

Ekologiczna limuzyna Mercedesa nie wydaje się jednak autem dla młodych, bogatych mędźców, którzy na drogach próbują odreagować korporacyjny stres, lecz dla nieco starszych, dostojnych prezesów, którzy nikomu już niczego nie muszą udowadniać. Zamiast sztywnego zawieszenia resory zostały ustawione tak, aby zapewnić jak najbardziej komfortową jazdę. Wnętrze jest też rewelacyjnie wyciszone.

Z napędem czysto elektrycznym – a więc cichym i bezemisyjnym – według Mercedesa przejechać można 33 km z prędkością nieprzekraczającą 130 km/godz. Podczas naszego testu maksymalny zasięg wynosił jednak 24 km. Ładowanie wtyczką podłączoną do zwykłego gniazdka elektrycznego trwa ok. 3 godz. Przy użyciu specjalnej stacji ładującej czas ładowania można skrócić do ok. 75 min.

Mocno od deklaracji producenta różni się też spalanie. Średnie spalanie w cyklu mieszanym

na dystansie ok. 60 km zamiast deklarowanych 2,5 l/100 km wynosiło ok. 8–10 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych niezależnej organizacji Euro NCAP Mercedes klasy E zdobył komplet pięciu gwiazdek. Auto może być opcjonalnie wyposażone w elektronicznych asystentów, którzy rozpoznają znaki drogowe, ostrzegają przed samochodami w martwej strefie lusterek lub alarmują, jeśli nagle zaczniemy zjeżdżać ze swojego pasa. Inny asystent wyczuwa z kolei oznaki zmęczenia i rozkojarzenia kierowcy i w razie potrzeby zaleca konieczność zrobienia przerwy w jeździe.

Wrażenie robi również dopracowany tryb autonomicznej jazdy, który przydaje się zwłaszcza podczas dalekich podróży po autostradach.

CENA

Za luksusową hybrydę Mercedesa trzeba zapłacić co najmniej 289,7 tys. zł. To jednak najuboższa wersja tego modelu. Za pakiet wspomagania bezpieczeństwa jazdy trzeba dopłacić niemal 11 tys. zł. Pakiet technologiczny i wyposażenia business to koszt ponad 214 tys. zł. Po dodaniu wyciszających szyb atermicznych oraz dachu panoramicznego, asystenta martwego punktu itp. łączna cena limuzyny E350e rośnie do ponad 370 tys.

KONKURENCI

BMW serii 530e, Audi A6, Jaguar XF, Infiniti Q70, Volvo S90 ☺☺

Jacek Przybylski



MAŁGORZATA GAŁĄZKA-SOBOTKA

Polska medycyna musi być innowacyjna



TYGODNIK LISICKIEGO

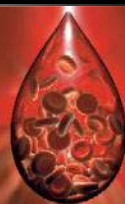
LUTY 2018

DO RZECZY O ZDROWIU

DODATEK SPECJALNY

Chcemy mieć polskie leki?
Potrzebne wsparcie dla firm

HEMOFILIA:
LECZYMY
CZY SKAZUJEMY
NA POWIKŁANIA?



Gen, który szkodzi płucom



Biotechnologia i choroby rzadkie

PARTNER WYDANIA



eprasa.pl 93d7036a9c



Z dr Małgorzatą Gałązką-Sobotką
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Innowacje w Polsce



KATARZYNA PINKOSZ: Polska medycyna może być innowacyjna?

DR MAŁGORZATA GAŁĄZKA-SOBOTKA: Musi. Trzeba sięgnąć po innowacyjne technologie lekowe i nielekowe, rozwiązania organizacyjne w zakresie dystrybucji świadczeń opieki zdrowotnej, by stawić czoła wyzwaniom w zakresie opieki zdrowotnej. A te będą rosnąć – po pierwsze, z powodu starzejącego się społeczeństwa i wydłużenia życia, a po drugie z faktu, że coraz bardziej interesujemy się zdrowiem. Wzrasta nasza chęć działań profilaktycznych: będziemy coraz częściej chodzić do lekarza nie z powodu choroby, tylko dlatego, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Te dwa zjawiska – wzrost świadomości, odpowiedzialności za zdrowie oraz starzenie się społeczeństwa – będą lawinowo zwiększać zapotrzebowanie na opiekę zdrowotną. To zmusza nas do sięgnięcia po innowacyjne metody leczenia, które zwiększą skuteczność i obniżą łączne koszty choroby, a także po bardziej skutecznych i efektywnych metodach organizowania leczenia w oparciu o technologie telemedyczne.

Czy polskie firmy farmaceutyczne mogą stać się konkurencyjne dla dużych innowacyjnych firm światowych produkujących leki?

Niestety, Polska wypada słabo w statystykach innowacyjności. Według najnowszego raportu Innovation Union Scoreboard 2017 znaleźliśmy się wśród krajów o umiarkowanej innowacyjności, określanej jako moderate innovators, za nami są z krajów Europy tylko Bułgaria i Rumunia. Wśród największych inwestorów w B+R w Polsce jest tylko kilka firm farmaceutycznych. Nakłady polskich firm farmaceutycznych są kilkakrotnie niższe od nakładów zagranicznych firm, w tym również tych z Europy Wschodniej – Węgier, Słowenii czy Chorwacji. Przyczyny tkwią w naszej historii, zapóźnieniach rozwoju gospodarczego i mentalnej spuściznie po okresie komunizmu. O innowacyjności naszych przedsiębiorstw w obszarze technologii lekowych i nielekowych mówimy jako o procesie, który ma kilkanaście lat historii i nadal raczkuje. Od lat mówimy o budowaniu kultury innowacji, tworzymy ramy prawne, finansowe i infrastrukturalne,

by pobudzać innowacje. Cieszymy się, że rośnie liczba polskich patentów, ale jeszcze daleka droga do komercjalizacji nowych technologii lekowych. Potrzebujemy wielu systemowych rozwiązań, by prowadzone w Polsce projekty badawcze mogły zakończyć się wymiernymi efektami w postaci rejestrowanych nowych leków polskich producentów.

Premier Mateusz Morawiecki zapowiadał, że Polska będzie stawiać na innowacyjność i biotechnologię. Są na to realne szanse?

Mamy doskonały potencjał, świetnie wykształconych lekarzy, biotechnologów, bioinformatyków, infrastrukturę akademicką, która coraz bardziej umiejętnie wchodzi w relacje z biznesem. Jeśli ten cel ma być urzeczywistniony, to potrzebujemy stworzenia ekosystemu innowacji. Konieczny jest stały rozwój instrumentów finansowania projektów realizowanych we współpracy nauki i biznesu, komercyjnych i niekomercyjnych badań klinicznych. Mamy potencjał, a jeśli pojawią się też decyzje systemowe, to nie widzę powodu,

by się nam nie udało. Na drogę do budowania innowacyjnej gospodarki w obszarze biotechnologii wchodził kiedyś Izrael, z naszego regionu Słowenia i Czechy. Te kraje też kiedyś były na początku tej drogi.

Dzisiaj mówimy – tak odczytuję wypowiedź premiera Morawieckiego – że to jest nowe otwarcie dla rozwoju innowacji w obszarze biotechnologii. Państwo deklaruje determinację i gotowość do konsekwentnych działań w tym obszarze. Należy obserwować oczekiwania firm, które już dzisiaj prowadzą prace badawczo-rozwojowe i nie mogą czekać na ugruntowanie się nowych regulacji oraz mechanizmów. Niezauważone, zlekceważone tracą swój potencjał lub – co gorsza – zostaną zmotywowane, by w innym kraju poszukać „lepszego klimatu do rozwoju”. A propozycje dzisiaj płyną z wielu stron. Podam przykład, który obserwuję od kilku miesięcy: polskiej grupy biotechnologicznej, która pracuje nad kilkoma cząsteczkami i boryka się z gigantycznym problemem braku odpowiedniego zaplecza laboratoryjnego, które byłoby dostępne na preferencyjnych warunkach. Proponowane dzisiaj instrumenty finansowego wsparcia szyte są tylko dla dużych. Małym firmom państwo, Polski Fundusz Rozwoju, pomaga tylko wówczas, gdy znajdzie się dodatkowy inwestor – a o takich trudno na raczkującym polskim rynku innowacji. Trzeba stworzyć bardziej elastyczny system wsparcia, uwzględniający zróżnicowane potrzeby i możliwości pionierów polskich innowacji.

Polskie leki biotechnologiczne byłyby szansą dla polskich pacjentów również ze względu na niższe ceny?

Im więcej firm, ośrodków badawczych, tym szanse dla pacjentów rosną. O cenie leku decyduje jednak koszt jego stworzenia i zasięg komercjalizacji. Niestety, nowoczesne technologie charakteryzują się coraz wyższymi kosztami, ale ich skuteczność daje również ogromne oszczędności i przynosi wymierne korzyści – w postaci wyleczenia lub wydłużenia życia i poprawy jego jakości.

Innowacje w medycynie i biotechnologii mogą być szansą dla chorych z chorobami rzadkimi, dla których do tej pory nie było leków?

W kontekście chorób rzadkich dotykamy szczególnie kwestii niekomercyjnych badań klinicznych. Wiele firm farmaceutycznych nie podejmuje tematu rozwoju leków na choroby rzadkie. Tutaj jest ogromna rola państwa i niekomercyj-

nych badań klinicznych, których w Polsce jeszcze nie prowadzimy. Powinniśmy włączać się w międzynarodowe konsorcja badawcze – ze względu na konieczność opieki nad pacjentami, których los zderzył z chorobą rzadką, na którą nie cierpi wiele osób, więc może być nieatrakcyjna dla firm farmaceutycznych.

Nasze konstytucyjne i moralne zobowiązanie to robić wszystko, by poprawić los osób z chorobami rzadkimi. W tym obszarze niekomercyjne badania kliniczne i stworzenie systemu ich wsparcia to ważne zagadnienia w tworzeniu strategii rozwoju biotechnologii w Polsce.

Innowacje to też innowacyjne zarządzanie. Na czym miałyby ono polegać?

Konieczne jest rozpowszechnienie telemedycyny, nowoczesnych technologii komunikacyjnych. Wszystko po to, by zwiększyć dostępność do leczenia, zmniejszać obciążenie lekarzy i pielęgniarek. Tego potrzebuje polski system ochrony zdrowia.

Telemedycyna, e-recepta, diagnozowanie przez sztuczną inteligencję – czy to dobre kierunki rozwoju?

Na pewno nieuniknione. Za 10–30 lat wiele decyzji, które dziś podejmują lekarze, będzie być może podejmował komputer; sztuczna inteligencja, która łącząc miliony danych, postawi diagnozę i pokaże drogę postępowania.

A lekarz?

Będzie mógł skupić się nad tym, co również dzisiaj jest jedną z największych potrzeb pacjenta, czyli nad prowadzeniem go w chorobie. Da choremu instrukcję, jak się odnaleźć, jak żyć z chorobą, gdyż sam proces postawienia diagnozy i leczenia może być zorganizowany na poziomie sztucznej inteligencji. Jeszcze 20 lat temu wydawało się nam to abstrakcją, a dziś staje się realne. Być może w takiej rzeczywistości przyjdzie nam żyć. Nie zmieni to jednak potrzeby uwagi lekarza, jego psychospołecznej i fizycznej opieki nad pacjentem. Wiele chorób, uznawanych jeszcze niedawno za śmiertelne, dziś jest przewlekłych, dlatego musimy nauczyć się z nimi funkcjonować. Tego zawsze będziemy oczekiwać od lekarza. Dlatego tak dużo mówi się o powrocie do humanistycznego rdzenia tego zawodu.

Minister Łukasz Szumowski mówił niedawno, że potrzebna jest szeroka debata o ochronie zdrowia. O czym powinniśmy rozmawiać?

To musi być debata ustrojowa: powinniśmy odpowiedzieć na pytania: Jaką rolę – jako obywatele – powinniśmy odgrywać w systemie zabezpieczenia naszego zdrowia? Jakie są nasze oczekiwania i nasza odpowiedzialność? Nawet najbogatsze państwo nie będzie w stanie podołać wszystkim wyzwaniom zdrowotnym. Konieczna jest dyskusja o relacji obywatel – państwo, o prawach, a także o obowiązkach. Swoim stylem życia i wyborami decydujemy, jak dysponujemy naszym zdrowiem. A państwo musi stworzyć takie rozwiązania systemowe, które pozwolą nam wspierać w chorobie, ponieważ sami rzadko kiedy sobie z nią poradzimy.

Musimy odpowiedzieć na pytania: Do czego dąży nasz system ochrony zdrowia i co jest miarą jego efektywności? Kiedy opieka zdrowotna, za którą płacimy składkę, jest efektywna?

Czyli czy pieniądze wydane na ochronę zdrowia nie są wyrzucane w błoto?

Właśnie. Musimy zacząć mierzyć efekty zdrowotne, stworzyć mechanizmy finansowe, które będą prowadziły do szybkiego wyleczenia lub opanowania choroby, a uchronią nas przed nieuzasadnionymi procedurami. Trzeba określić w politycznym konsensusie, jak wysoki powinien być poziom finansowania ochrony zdrowia, jak wysoką składkę akceptujemy lub jakie dodatkowe opłaty jesteśmy w stanie zaakceptować, aby zagwarantować sobie bezpieczeństwo zdrowotne. Pewne jest też to, że musimy zerwać z tradycją „interwencyjnych” reform, które nie odwołują się do wizji systemu, dlatego są tak mało efektywne i zasadniczo nic nie zmieniają. Powodują tylko frustrację osób, które muszą je wdrażać, oraz tych, którzy muszą być „ofiarami” tych reform.

Co chcemy osiągnąć w systemie zdrowia w Polsce za 5, 10 lat? Jak sprawdzimy, czy to się udało? Czy żyjemy dłużej w zdrowiu? Czy szybciej wykrywamy nowotwory? Czy ograniczamy koszty społeczne chorób? Bez twardej analizy systemu, pomiaru efektywności, analizy błędów i promocji dobrych praktyk nie stawimy czoła wyzwaniom, które narastają.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Doktor Małgorzata Gałgka-Sobotka, dyrektor Centrum Kształcenia Podyplomowego oraz Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia Uczelni Łazarskiego.



Rozmowa z Markusem Siegerem, prezesem zarządu Grupy Polpharma

Impuls dla gospodarki

MONIKA DŁUGOSZ: Polpharma jest liderem polskiego rynku farmaceutycznego. Jednak firmy zagraniczne, globalne, działające w Polsce, coraz więcej inwestują w badania i rozwój w Polsce. Niedawno Servier otworzył w Warszawie swoje laboratorium kontroli jakości, Roche współpracuje z UW przy tworzeniu projektu BioMed Academy. A jaka będzie na to odpowiedź Polpharmy?

MARKUS SIEGER: Bardzo się cieszymy, że wielkie międzynarodowe koncerny zaczęły inwestować w Polsce, że cenią wiedzę i kompetencje Polaków. Nie można jednak porównać skali inwestycji tych firm do inwestycji Polpharmy. Jesteśmy nie tylko największą polską firmą farmaceutyczną, lecz także największym inwestorem w polskiej ochronie zdrowia, co wykazał raport opublikowany przez Centrum im. Mikołaja Kopernika w czasie ostatniego Forum Ekonomicznego w Krynicy.

Polska to dla Polpharmy kluczowy rynek. Przyczyniamy się do rozwoju polskiej gospodarki, ponieważ to tu opracowujemy swoje leki, tu je produkujemy w oparciu o najnowocześniejsze

technologie, stąd je również eksportujemy, przez co realnie wpływamy na wzrost gospodarczy oraz poprawę bilansu handlowego kraju. Od 2000 r. zainwestowaliśmy już ponad 3 mld zł w nowoczesne zakłady, laboratoria oraz badania i rozwój nowych produktów. Rozwijamy się w segmencie zaawansowanych leków generycznych, które wykorzystują innowacyjne technologie oraz przyjazne dla pacjenta postaci leków, zwiększające komfort terapii. Chciałbym podkreślić, że nie wszyscy producenci leków generycznych w Europie i poza nią mają kompetencje do rozwijania tego typu produktów, nazywanych w języku farmaceutycznym „difficult to make”.

Inwestujecie też w biotechnologię?

To nasz drugi priorytet. Leki biologiczne są nadzieją dla wielu pacjentów cierpiących na ciężkie choroby (np. nowotwory, choroby immunologiczne), w przypadku których stosowane do tej pory terapie lekami tradycyjnymi, opartymi na związkach chemicznych, okazały

się nieskuteczne. Nasze inwestycje biotechnologiczne obejmują laboratorium badań i rozwoju oraz obszar produkcji ulokowane w Gdańskim Parku Naukowo-Technologicznym, a także nowo budowaną fabrykę w Duchnicach pod Warszawą, gdzie będzie prowadzona produkcja z przeznaczeniem na rynek globalny. Nowa fabryka to jeden z najnowocześniejszych zakładów produkcji biotechnologicznej w Europie i największa inwestycja prowadzona od zera w polskiej branży farmaceutycznej w ostatnich latach. Do tej pory przeznacziliśmy ok. 700 mln zł na rozwój i produkcję leków biologicznych, a w ciągu następnych kilku lat zamierzamy zainwestować kolejne 1,3 mld zł.

Biotechnologia ma być kołem zamachowym polskiej gospodarki. Co to właściwie oznacza?

Budowa silnego przemysłu biofarmaceutycznego w Polsce nie tylko umożliwi pacjentom dostęp do najnowocześniejszych terapii, a polskiej gospodarce da impuls do rozwoju w jednym z najbardziej innowacyjnych sektorów medycyny, lecz

także da nam szansę na ekspansję zagraniczną – na wzór Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Szwajcarii czy Korei Południowej. O ile w produkcji generycznej jest ogromna konkurencja, o tyle sektor biotechnologiczny, jako bardziej kosztochłonny i zaawansowany technologicznie, jest bardziej elitarny. Kierunek ten wpisuje się w Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, wspierając globalizację polskiego przemysłu, rozwój innowacyjnych technologii i nowoczesnej infrastruktury, a także budowę nowoczesnych kompetencji we współpracy z nauką.

Polska może stać się potentatem w produkcji leków biotechnologicznych?

Mamy potencjał w tej dziedzinie. Jednak polski sektor biofarmaceutyczny jest jeszcze bardzo młody, a rozwój i produkcja leków biologicznych są wciąż wielkim wyzwaniem dla polskich firm ze względu na konieczność posiadania odpowiednich kompetencji oraz bardzo wysokie koszty inwestycji. Będziemy w stanie reinwestować nasze zyski w biotechnologię wtedy, gdy nasza podstawowa działalność w dziedzinie leków generycznych będzie dalej się rozwijać. Niestety, wobec często zmieniających się warunków prowadzenia biznesu i stałej presji na obniżkę cen staje się to coraz trudniejsze. Dlatego odpowiednie warunki do funkcjonowania branży generycznej mają istotny wpływ także na rozwój polskiej biotechnologii. Zważywszy, że cykl inwestycyjny i rozwojowy w branży farmaceutycznej jest dłuższy od cykli politycznych, szczególnie ważne jest dla nas zapewnienie stabilności regulacji oraz strategiczne porozumienie na poziomie administracji publicznej i wszystkich kluczowych interesariuszy, by tę dziedzinę wspierać. Potrzebne są skuteczne rozwiązania prawne, instrumenty finansowania działalności badawczo-rozwojowej i tworzenie centrów kompetencyjnych, by w pełni wykorzystać potencjał tego młodego sektora. Liczymy na to, że ze względu na wielkość i strategiczny wymiar inwestycji w dziedzinie biotechnologii realizowanych przez Polpharmę będziemy ważnym partnerem polskiego rządu w tworzeniu pozytywnych warunków regulacyjnych i biznesowych dla polskiej biotechnologii.

Większość leków sprzedawanych w Polsce to leki powstałe za granicą. Jest szansa, że będzie odwrotnie, że będziemy się leczyć polskimi lekami?

Tak. Jednym z instrumentów, które mogą wesprzeć produkcję farmaceutyczną w Polsce, jest projekt – RTR, czyli Refundacyjny Trybu Rozwojowego. To znakomita inicjatywa polskiego rządu, która ma szansę sprawić, by ogromne pieniądze, które jako państwo wydajemy na refundację leków, mogły jednocześnie służyć polskiej gospodarce.

Istotą tego mechanizmu jest określenie, jaki wpływ na polską gospodarkę ma dana firma, m.in. poprzez produkcję prowadzoną w Polsce, płacone podatki, eksport, zatrudnienie, wydatki na innowacje. Instrument ten przełoży się na dalszy wzrost polskiego PKB, jeśli wpływ danej firmy na gospodarkę będzie realnie brany pod uwagę przy decyzjach refundacyjnych i kształtowaniu cen leków. Dzięki temu pacjent otrzyma szansę leczenia produktami wytwarzanymi w kraju, firma produkująca w Polsce – możliwość dalszego rozwoju, a krajowa gospodarka – jeszcze więcej środków do podziału na cele zgodne z polską racją stanu.

RTR to mechanizm skierowany nie tylko do firm polskich, lecz także zachęta dla firm zagranicznych, by – poprzez lokowanie produkcji w Polsce – pomagały budować krajową gospodarkę. Inwestycje globalnych koncernów w lokalną produkcję dałyby możliwość także polskim podmiotom rozwoju partnerstwa biznesowego i naukowego.

Będziemy też sprzedawać polskie leki za granicę?

Sektor biotechnologiczny jest ze swej natury globalny. Nakłady na rozwój pojedynczego leku, również biopodobnego, są tak wysokie, że tylko jego komercjalizacja na całym świecie pozwala wygenerować zyski, dające możliwość finansowania kolejnych projektów. Trafnie wybrany produkt i jego szybki rozwój umożliwiający wejście na rynek tuż po wyczerpaniu ochrony patentowej jest gwarancją globalnego sukcesu. Inwestycje w biotechnologię są zatem szansą na ekspansję zagraniczną polskich producentów, dając im szansę na konkutowanie na poziomie światowym w najnowocześniejszej grupie leków.

Dlaczego wspieranie biotechnologii ma się nam opłacać?

Dzięki niższym kosztom terapii lekami biopodobnymi więcej polskich pacjentów cierpiących na ciężkie choroby będzie mogło skorzystać z nowoczesnego

leczenia. Oznacza to również zmniejszenie wydatków dla płatnika, a co za tym idzie – uwolnienie środków na inne leki potrzebne pacjentom. Biotechnologia, będąc przemysłem wysokich technologii, wymaga również aktywnej współpracy z nauką. Stwarza to możliwość rozwoju polskim naukowcom, pozwala na wspólne pozyskiwanie środków unijnych z uczelniami i ośrodkami naukowymi oraz przyczynia się do rozwoju polskiej gospodarki. To także unikalna szansa globalizacji polskich produktów i zwiększenia konkurencyjności kraju w wyjątkowo innowacyjnej dziedzinie. Słowem – Polska ma ogromny potencjał, by zbudować silny lokalny przemysł biotechnologiczny, który będzie w stanie konkutować w skali międzynarodowej. Może to przynieść nam wszystkim znaczące korzyści, ale wymaga skoordynowanych działań ze strony rządu, wspierających rozwój tego młodego sektora.

Wspomniał pan o lekach biopodobnych. Co to za leki?

Leki biologiczne (biotechnologiczne) to duże, złożone struktury białkowe, które powstają przy udziale żywych organizmów, np. komórek bakterii, drożdży, ssaków. Dają możliwość skutecznego i bezpiecznego leczenia w przypadku ciężkich chorób, takich jak nowotwory, choroby sieroce czy schorzenia o podłożu immunologicznym, dla których nie było dotąd możliwe zastosowanie leków wytworzonych tradycyjnie. Terapie biopodobne są biorównoważne w stosunku do leków biologicznych już dopuszczonych do obrotu, mogą stanowić ich zamienniki. Ich skuteczność, bezpieczeństwo i jakość są potwierdzone wieloma badaniami. Produkcja i wprowadzenie do sprzedaży leków biopodobnych po wygaśnięciu ochrony patentowej są kluczowe, by móc obniżyć wydatki na leki, zwiększyć dostępność do terapii. Dlatego na rozwoju tych produktów Polpharma postanowiła się skupić w pierwszej kolejności.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

rozmawiała Monika Długosz



Markus Sieger – prezes zarządu Grupy Polpharma, która jest liderem polskiego rynku farmaceutycznego oraz największym polskim producentem leków i substancji farmaceutycznych.



Katarzyna Pinkosz

50 lat temu rodzice dziecka z hemofilią mogli usłyszeć, że dożyje najwyżej czterdziestki. Nastąpił taki postęp w leczeniu, że dziś chorzy mogą żyć tyle samo, ile osoby bez hemofilii. A nowe leki dają wręcz możliwość zapomnienia o chorobie

Jakub Kania jest administratorem sieci komputerowej, pracuje w Agencji Rozwoju Przemysłu i na UW. Ma hemofilię, rzadką chorobę krwi, która krzepnie wolniej z powodu niedoboru (lub braku aktywności) czynnika krzepnięcia. Wbrew powszechnym przekonaniom to nie skaleczenia czy zranienia są głównym problemem chorych, tylko krwawienia wewnętrzne – zwykle do stawów i mięśni. Może je spowodować nawet niewielki uraz, uderzenie się, potknięcie, a czasem wręcz występują bez uchwytnej przyczyny. Noga po takim krwawieniu do stawu kolanowego może mocno boleć przez kilka dni, a chory przez wiele dni jest praktycznie unieruchomiony. Najbardziej niebezpieczne są krwawienia do mózgu i innych narządów. Mogą zagrozić życiu.

Żeby krwawienie zahamować, konieczne jest podawanie czynnika krzepnięcia – VIII w przypadku hemofilii A lub IX w przypadku hemofilii B. Leki podaje się w dożylnych zastrzykach.

Nawet niewielkie wylewy niszczą jednak stawy. – Mam mocno zniszczone stawy skokowe. Co prawda nie chodzę o kulach, ale od czasu do czasu zdarzało mi się używać laski – mówi Kania. Ma tylko 27 lat, u starszych chorych stawy są tak mocno uszkodzone, że wielu z nich miało już liczne operacje ortopedyczne, często poruszają się tylko o kulach lub na wózkach inwalidzkich. Przez wiele lat hemofilia była leczona w Polsce gorzej niż niedostatecznie – pod względem zaopatrzenia w leki byliśmy poniżej ustalonego przez WHO minimum niezbędnego do ratowania życia.

Dzięki działalności Polskiego Stowarzyszenia Chorych na Hemofilię i grupy hematologów udało się stworzyć prawie 10 lat temu Narodowy Program Leczenia Chorych na Hemofilię. Leków jest dziś znacznie więcej, poprawiła się też organizacja leczenia. Wcześniej było możliwe



Czekając na przełom

FOT. ETOPIA

tylko podawanie czynnika po wylewie, co nie zapobiegało powikłaniom stawowym. – W 2008 r. rozpoczęto leczenie profilaktyczne dzieci: dostają czynnik dwa–trzy razy w tygodniu, dzięki czemu ryzyko krwawień jest bardzo małe. Dążymy do tego, by u dzieci w ogóle nie pojawiły się problemy ze stawami i niepełnosprawność. Również u dorosłych z ciężką postacią hemofilii jest możliwość leczenia profilaktycznego – mówi prof. Wojciech Młynarski, pediatra, onkolog i hematolog dziecięcy z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi.

NIEBEZPIECZNY INHIBITOR

Szczególnie trudna jest sytuacja chorych, u których pojawiło się powikła-

nie – tzw. inhibitor czynnika krzepnięcia. – U osoby z ciężką postacią hemofilii nie jest wytwarzany czynnik krzepnięcia. Gdy podajemy czynnik dożylnie, układ odpornościowy czasem traktuje go jak obce białko i wytwarza przeciwciała go zwalczające. Pacjent dostaje lek, a i tak ma krwawienia, często groźne – wyjaśnia prof. Młynarski.

U części osób inhibitor sam znika. Jeśli tak się nie stanie, to sposobem na jego pozbycie się jest próba wywołania tolerancji poprzez codzienne podawanie bardzo wysokich ilości czynnika. Leczenie jest jednak drogie i uciążliwe, bo wkłucia do żyły trzeba robić codziennie przez wiele miesięcy. Gdy odczulanie się nie powiedzie,

sposobem leczenia krwawień jest stosowanie tzw. leków omijających. – Są dwa preparaty, jednak to leczenie jest drogie: leki dla pacjenta po urazie mogą kosztować nawet milion złotych. Nie zawsze są też skuteczne – dodaje prof. Młynarski.

CZYNNIK NIECZYNNIK

Dla chorych z inhibitorem nadzieja mogą być nowe leki o innym mechanizmie działania. Nie są czynnikiem krzepnięcia, potrafią jednak zastąpić jego działanie, nie dopuszczając do krwawień. Jeden z nich został zarejestrowany w USA, a niedawno Komitet ds. Produktów Lecniczych Stosowanych u Ludzi (CHMP) wydał pozytywną opinię na temat jego stosowania w Europie w profilaktyce krwawień u chorych z hemofilią A powikłaną inhibitorem. – Emicizumab może całkowicie zmienić spojrzenie na leczenie hemofilii. Badania kliniczne wykazały jego znacznie większą skuteczność niż leków omijających – zapewnia prof. Młynarski. Dodatkowym atutem jest to, że podaje się go podskórnie raz w tygodniu. Dla chorych, którzy do tej pory musieli wkuwać się do żyły nawet codziennie, to zmiana jakości życia.

Od roku ten lek przyjmuje Jakub Kania w ramach badania klinicznego prowadzonego u chorych z hemofilią A. – Od tej pory nie miałem ani jednego wylewu! To zupełnie inna jakość życia. Gdy pojechałem do Wilna, przez cały dzień zwiedzałem, a następnego dnia nie miałem wylewu i mogłem dalej chodzić po mieście. Wcześniej to nie było dla mnie możliwe – opowiada.

Profesor Młynarski podkreśla, że lek jest bardzo skuteczny i w jego przypadku rewolucja w leczeniu hemofilii jest bezsprzeczna. – Jednak na całym świecie dopiero uczymy się go stosować. Nie wiemy jeszcze zbyt dużo na temat monitorowania leczenia i potrzebujemy więcej wiedzy o bezpieczeństwie stosowania. Na razie wygląda na to, że lek jest bezpieczny, skoro został zarejestrowany w USA, a lada moment ma być zarejestrowany w Europie – mówi prof. Młynarski.

Chociaż leczenie hemofilii w Polsce bardzo się poprawiło, a liczba czynników krzepnięcia w przeliczeniu na jednego mieszkańca jest już na niezłym poziomie, to wiele problemów pozostaje nierozwiązanych. Czy sytuacja zmieni się wraz z nowym Narodowym Programem Leczenia Chorych na Hemofilię?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Walczymy o zmiany

Rozmowa z **Bogdanem Gajewskim**, prezesem Polskiego Stowarzyszenia Chorych na Hemofilię

Na jakie zmiany najbardziej czekają chorzy?

Wszystkich pacjentów z ciężką postacią hemofilii, którzy mają ciężki przebieg choroby, trzeba objąć leczeniem profilaktycznym. Wielu z nich stosuje zbyt małe dawki oraz wstrzykuje leki z nieprawidłową częstotliwością, co powoduje uszkodzenia stawowe i zaniki mięśniowe.

Nie funkcjonują prawidłowo ośrodki leczenia. Hemofilia jest chorobą rzadką, jej powikłania wymagają opieki specjalistów z różnych dziedzin medycyny. Ośrodki powinny zapewniać chorym dostęp do pełnego zakresu diagnostyki i leczenia. Nie mogą istnieć tylko na papierze. Chorzy powinni w nich znaleźć realną pomoc. Kontakt telefoniczny z ośrodkiem powinien być możliwy przez całą dobę. Dzisiaj w nagłych sytuacjach kontakt z lekarzem specjalistą jest utrudniony lub praktycznie niemożliwy. Odnosząc się do międzynarodowych wymagań certyfikacyjnych, już sam brak możliwości kontaktu dyskwalifikuje takie miejsce jako ośrodek sprawujący opiekę nad chorymi na hemofilię. Od lat staramy się o procedury ratownictwa. W przypadku podejrzenia poważnego krwawienia lub urazu u chorego na hemofilię ratownik pogotowia lub lekarz izby przyjęć powinien kontaktować się z ośrodkiem leczenia hemofilii.

Chorzy potrzebują też dostaw domowych leków. Często są to całe pudła leków, których objętość przekracza pojemność małej szafy. Jeśli chory jest osobą niepełnosprawną, to ma ogromny problem z ich przywiezieniem. Zwłaszcza gdy mieszka kilkadziesiąt kilometrów od szpitala. Oszczędza, stosuje mniejsze dawki leków, więc częściej ma wylewy.

Niedługo kończy się Narodowy Program Leczenia Chorych na Hemofilię. Powstanie nowy?

Powstaje. Jednak czy powstanie? Spotykamy się prawie od roku, prace bardzo się przeciągają. Powinny być zakończone do końca czerwca, gdyż program musi jeszcze trafić do AOTMiT i być przyjęty przed uchwaleniem budżetu na następny rok. Jeśli tak się nie stanie, może to oznaczać chaos w naszym leczeniu. Przez długi czas w pracach nie uczestniczyli odpowiedzialni za program urzędnicy Ministerstwa Zdrowia. A lekarze i pacjenci nie znają się na prawnych uwarunkowaniach tworzenia tego typu programów. Ostatnio na spotkaniu

z posłami, które zorganizowaliśmy w Sejmie, wiceminister Marek Tombarkiewicz zapewnił, że program powstanie. Dziękujemy za tę deklarację. Mamy nadzieję, że tak się stanie.

A co z lekami? Przez wiele lat stowarzyszenie walczyło o dostęp do leków zgodny z zaleceniami światowymi...

Leczenie hemofilii bardzo się zmienia. Klasyczne polega na podawaniu czynników krzepnięcia. Niestety, nawet leczenie profilaktyczne nie chroni w 100 proc. przed krwawieniami, gdyż poziom czynnika w osoczu chorego dość szybko spada. W przypadku nowych terapii, które są obecnie wprowadzane do leczenia, aktywność leku długo utrzymuje się prawie na tym samym poziomie. A to oznacza znacznie lepszą ochronę przed krwawieniami. Na jakość życia chorych wpływa pozytywnie wydłużenie czasu działania nowych leków. Dotyczy to zarówno leków dla chorych na hemofilię A, jak i hemofilię B.

Zapisy Narodowego Programu, który właśnie powstaje, uwzględnią możliwość stosowania nowych terapii?

Narodowy Program powinien organizować całość opieki nad chorymi na hemofilię. Konkurencja nowych leków stworzy szansę na spadek cen. Chorzy dobrze zaopatrzeni w leki przeciwkrwotoczne będą lepiej funkcjonowali i mieli mniej powikłań. Chcielibyśmy, by w ramach programu było możliwe stosowanie nowych terapii i żeby był do nich dobry dostęp na terenie całej Polski. Należy jednak pamiętać o tym, że najnowsze leki działają inaczej niż czynniki

krzepnięcia, dlatego trzeba określić, jak będzie prowadzone leczenie w sytuacjach nagłych, gdy np. zdarzy się wypadek lub pacjent będzie wymagał operacji. Stosowanie nowych terapii powinno być prowadzone pod kontrolą wysoko wyspecjalizowanych ośrodków, by dostosować terapię do sytuacji pacjentów i uniknąć nieprzewidzianych działań ubocznych.

Pacjenci z inhibitorem mają poważnie uszkodzone stawy, często poruszają się na wózkach inwalidzkich lub o kulach. Wprowadzenie nowych terapii to dla nich też szansa na rehabilitację i usprawnienie, by mogli lepiej funkcjonować w życiu. Mamy nadzieję, że niektóre nowe leki będzie też można stosować u pacjentów z hemofilią niepowikłaną inhibitorem. Narodowy Program musi jednak organizować całość opieki nad chorymi na hemofilię: ośrodki, rehabilitację, dostawy domowe. ©



Frank miał niecałe trzy miesiące, gdy trafił do Centrum Zdrowia Dziecka z powodu przedłużającej się tuż po urodzeniu żółtaczki. Złe były też wyniki badań wątroby. W CZD szybko postawiono diagnozę – wrodzony niedobór alfa-1 antytrypsyny (AAT), jednego z białek wytwarzanych w wątrobie. To rzadka choroba genetyczna, która u dzieci zwykle manifestuje się tak jak u Franka – postępującą marskością i niewydolnością wątroby. Prowadzi to często do konieczności wykonania przeszczepu wątroby. U Franka nie był jeszcze konieczny, jednak przy ciężkim niedoborze AAT zdarza się, że trzeba przeszczepić wątrobę nawet u kilkumiesięcznego niemowlęcia.

Co niewydolność wątroby ma wspólnego z rozedmą płuc, czyli przewlekłą obturacyjną chorobą płuc (POChP), powszechnie uważaną za chorobę palaczy papierosów? Otóż genetyczny niedobór AAT manifestuje się u dorosłych znacznie częściej niż u dzieci. Objawy są jednak zupełnie inne i dotyczą przede wszystkim płuc. Alfa-1 antytrypsyna chroni układ oddechowy przed czynnikami szkodliwymi, które niszczą tkankę płuc. Niskie stężenie tego białka prowadzi do stopniowego i nieodwracalnego uszkodzenia ścian pęcherzyków płucnych i rozwoju rozedmy płuc, czyli POChP.

WAŻNA DIAGNOZA

Zadyszka, duszność, kaszel – to typowe objawy POChP. Początkowo pojawiają się one tylko przy dużym wysiłku fizycznym, potem także przy spokojnym spacerze, wykonywaniu codziennych czynności, a jeszcze później nawet przy siedzeniu czy leżeniu. Niewydolność układu oddechowego może prowadzić do niewydolności serca, zwiększa ryzyko przedwczesnej śmierci. W Polsce POChP jest czwartą przyczyną zgonów.

Osobami szczególnie narażonymi na zachorowanie są palacze papierosów. W wyniku narażenia na dym papierosowy, a także szkodliwe pyły, gazy, wreszcie też smog, czyli zanieczyszczenia powietrza, w płucach zaczyna rozwijać się stan zapalny. Brak lub niski poziom AAT w organizmie znacząco osłabia ochronę płuc przed tymi czynnikami, sprzyja rozwojowi choroby płuc i ich trwałemu uszkodzeniu.

– Chorzy z niedoborem alfa-1 antytrypsyny stanowią szczególną grupę chorych, ponieważ choroba płuc rozwija się u nich szybciej, zwykle rozpoczyna się w młodszym wieku i często ma charakter postę-

Gen, który szkodzi płuc



Katarzyna Pinkosz

Na przewlekłą obturacyjną chorobę płuc narażeni są zwłaszcza palacze. Jednak przyczyną może być też mutacja genetyczna. Rozedma płuc postępuje wówczas szybciej i wymaga niestandardowego leczenia

pujący – potwierdza prof. Joanna Chorostowska-Wynimko z Zakładu Genetyki i Immunologii Klinicznej Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc.

Dlatego tak ważne jest jak najwcześniejsze postawienie diagnozy, potwierdzenie, że przyczyną problemów jest właśnie niedobór alfa-1 antytrypsyny. Należy podkreślić, że polscy chorzy mają obecnie szeroki dostęp do diagnostyki na najwyższym poziomie europejskim. Wykonanie badania genetycznego w kierunku niedoboru AAT jest proste, bezpłatne dla pacjenta i może je zlecić każdy lekarz, również pierwszego kontaktu. Do badania wystarczy pobrać kroplę krwi na specjalną bibułę, a po wyschnięciu włożyć ją do koperty i wysłać pocztą do Zakładu Genetyki w Instytucie Gruźlicy i Chorób Krwi.

Jednak chociaż badania genetyczne w kierunku niedoboru AAT są w Polsce dostępne już od 2010 r., to nadal lekarze zalecają ich wykony-

wanie zbyt rzadko. – Od pierwszego opisu związku między obniżonym stężeniem AAT a rozedmą płuc minęło ponad 50 lat, jednak nadal w środowisku medycznym, w tym również w Polsce, pokutuje wiele



FOT. FOTOLIA

błędnych poglądów, które usprawiedliwiają postawę nihilizmu diagnostycznego i terapeutycznego – oburza się prof. Chorostowska. Szacuje się, że w Polsce ciężki niedobór AAT może mieć nawet ponad 4,1 tys. osób. Niestety, zdecydowana większość z nich nie została zdiagnozowana. Większości chorych na POChP takich badań się nie proponuje.

– W środowisku medycznym pokutuje błędny mit, że badania trzeba wykonywać tylko u młodych palaczy, u których rozwija się rozedma płuc. To nieprawda: badania powinno się wykonywać u wszystkich chorych z rozpoznaniem POChP, niezależnie od wieku i stopnia zaawansowania choroby. Kolejną dużą grupą wymagającą diagnostyki są chorzy na astmę oskrzelową, u których występuje niecałkowita odwracalność obturacji oskrzeli, lub chorzy na rozstrzenie oskrzeli, a także dorośli z przewlekłą patologią wątroby o niejasnej przyczynie – dodaje prof. Chorostowska.

Postawienie rozpoznania niedoboru AAT jest ważne nie tylko dla chorego, lecz także dla jego krewnych. Zawsze proponujemy wykonanie badań również najbliższym – rodzeństwu, rodzicom, potomstwu.

W ten sposób zwiększamy szansę na uchwycenie zagrożenia, jeszcze zanim doszło do uszkodzenia płuc. – U osób z potwierdzonym niedoborem AAT, bez dolegliwości ze strony układu oddechowego, możemy zastosować profilaktykę pierwotną, która jest bardzo prosta: niepalenie papierosów, unikanie narażania na bierno palenie czy zanieczyszczenia środowiska. Życie z daleka od papierosów pozwala radykalnie zmniejszyć ryzyko wystąpienia rozedmy u osób z ciężkim niedoborem AAT do poziomu identycznego jak u zdrowych. Dlatego diagnostyka genetyczna w rodzinach jest tak ważna – przekonuje prof. Chorostowska.

Płuca pięcioletniego Franka na razie są zdrowe, jednak też potrzebują ochrony. – Nikt w jego obecności nie pali papierosów, staramy się chronić go przed infekcjami, w domu mamy oczyszczacz powietrza. Gorzej jest ze smogiem, bo syn chodzi do przedszkola i musi przecież wychodzić na zewnątrz, jednak też staramy się go chronić – mówi Robert Durlik, ojciec Franka i szef Stowarzyszenia na rzecz Osób z Niedoborem Alfa-1 Antytrypsyny w Polsce. Stowarzyszenie działa od półtora roku i stara się szerzyć wiedzę o tej rzadkiej chorobie zarówno wśród pacjentów, rodziców chorych dzieci, jak i wśród lekarzy. – Pacjent czy rodzic dziecka często dowiadują się o diagnozie, ale również często są pozostawieni sami sobie. Nie wiedzą, co robić. Niewielu jest też w Polsce lekarzy, którzy wiedzą o tej rzadkiej chorobie. Informujemy, gdzie są najlepsi specjaliści, gdzie warto się leczyć – dodaje Robert Durlik.

W POSZUKIWANIU LEKU

Osoby z genetycznie uwarunkowanym niedoborem AAT nie powinny

przede wszystkim palić papierosów. Jeśli POChP już się pojawiło, to konieczne jest jego leczenie zgodnie z aktualną wiedzą. – W Polsce mamy w tej chwili bardzo dobry dostęp do leków stosowanych w POChP i z sukcesem wykorzystujemy je również u chorych z niedoborem AAT. Jednak jest to leczenie wyłącznie objawowe, a przypadku ciężkiego niedoboru białka AAT konieczne jest stosowanie terapii przyczynowej – przekonuje prof. Chorostowska.

Na świecie wciąż poszukuje się metod leczenia ciężkiego niedoboru AAT, w zaawansowanej fazie są np. badania nad terapią genową, która pomogłaby naprawić uszkodzony gen. To jednak jeszcze kwestia lat, a choroba tyle nie poczeka. Na razie jedyną dostępną formą leczenia przyczynowego, a więc przeznaczonego dla chorych z ciężkim niedoborem AAT, jest suplementacja brakującego białka, uzupełnienie jego poziomu w organizmie, by w ten sposób chronić płuca. Lek jest produkowany z osocza zdrowych dawców, a podaje się go w postaci wlewów dożylnych, zwykle raz w tygodniu. Nie jest w stanie co prawda wyleczyć choroby, ale hamuje jej postęp. – Największe korzyści odnoszą chorzy z umiarkowaną i ciężką obturacją: podawanie im leku znacznie spowalnia tempo destrukcji płuc. Coraz częściej mówi się jednak, że powinni być leczeni też chorzy, u których widać szybki postęp choroby, ale u których nie doszło jeszcze do znacznego uszkodzenia płuc. Wyniki badań klinicznych dają nam pewność, że wczesne rozpoczęcie leczenia jest kluczowe. Pozwala uzyskać największą korzyść zdrowotną – przekonuje prof. Chorostowska.

Lek jest od wielu lat stosowany w USA i Europie Zachodniej, a w wielu krajach refundowany. Niestety, w Polsce na razie nie jest dostępny w ramach NFZ, a chorym wciąż nie można proponować nic więcej poza standardowym leczeniem POChP i profilaktyką.

– Z pomocą lekarzy chcemy szerzyć wiedzę o tej rzadkiej chorobie genetycznej, starać się o to, by chorzy mieli dostęp do najnowszych metod leczenia, bo postęp w medycynie jest ogromny. Nie można przede wszystkim się poddawać. Znam wiele osób z niedoborem AAT, które dobrze funkcjonują. Trzeba tylko wziąć chorobę jak byka za rogi – dodaje Robert Durlik.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Czy w Polsce jest duże zapotrzebowanie na badania kliniczne?

Coraz większe, bo ostatnie kilka lat to nie tylko badania sponsorowane przez zagraniczne firmy, lecz także intensywny rozwój polskich biotechnologicznych start-upów.

Co Clinmark ma z nimi wspólnego?

Badania kliniczne, które przeprowadzamy na zlecenie firm farmaceutycznych lub biotechnologicznych, to najbardziej skomplikowana, najdroższa część procesu wprowadzenia na rynek nowego leku czy wyrobu

badania. Bo jeśli nie zostaną dobrze zaplanowane, przeprowadzone i udokumentowane, to pojawiają się problemy przy rejestracji leku lub wyrobu medycznego, co może spowodować konieczność powtórzenia wartych wiele milionów euro i trwających nierzadko kilka lat badań.

Co może zrobić firma biotechnologiczna, która doszła do etapu badań klinicznych?

Teoretycznie ma trzy drogi – może sprzedawać się dużej firmie farmaceutycznej, ale to oznacza zazwyczaj utratę kontroli i w przyszłości znacznej części zysków, może

świadczenie są potrzebne, aby wymyślić lek i przetestować go w laboratorium, a zupełnie inne, aby go przebadать i doprowadzić do rejestracji. Trzeba mieć spryt, wiedzę, jak coś połączyć, gdzie oszczędzić, jak przyspieszyć badanie. To nie jest takie proste. Spotykając się z naukowcami, często widzę totalne niezrozumienie, jak poprowadzić proces komercjalizacji – są bezradni, nie rozumieją, skąd takie koszty. Potrzebują wsparcia i drogowskazu w postaci doświadczonej firmy. W tym biznesie kluczowe znaczenie ma też czas – czasami nawet kilka

i odpowiednich szkoleń, jak komercjalizować koncepcje naukowe. Naukowiec zostaje z problemami sam. Nawet jeśli firma pozyska dofinansowanie z NCBiR, to większość środków musi przeznaczyć na zakup maszyn, zatrudnienie ludzi – niewiele zostaje dla podwykonawców, takich jak firmy zajmujące się badaniami klinicznymi. Tymczasem koszty badań klinicznych to nawet 70 proc. kosztów doprowadzenia leku do rejestracji.

Dlaczego biotechnologie są tak istotne dla rozwoju gospodarki?

Na innowacyjności można zbudować potęgę. Przykład Korei Południowej – to był biedny kraj, zbudowany na skałach. Jedyne, co mieli, to wiedzę i ciężką pracę, dzięki której mogli rozwijać know-how i technologie. Pod względem innowacyjności przeskoczyli Japończyków. LG i Samsung robią wszystko: elektronikę, leki, produkty do medycyny estetycznej, samochody itd. Jednak Koreańczycy mogą liczyć na wsparcie rządu. W Polsce wciąż wiele zdolnych osób ucieka za granicę, choć na szczęście coraz więcej zostaje i tu rozwija swoje pomysły. A przecież biotechnologie to potężna i stabilna gałąź gospodarki. Na całym świecie każdy wyda ostatnią złotówkę na zdrowie. Polacy, przy odpowiednim wsparciu, są w stanie dostarczać swoje pomysły na cały świat. Dla kraju to korzyść wizerunkowa, tym bardziej że mamy potencjał, tylko jesteśmy niedoszacowani. Pokazują to przykłady polskich firm, które mają innowacje na tym polu: Selvita bada skuteczność swojego leku na białaczkę, a Mabion już niedługo zarejestruje nowy lek na nowotwory – pod warunkiem że dobrze im wyjdą badania kliniczne.

Rozmawiała Marta Szuma

Rozmowa z Markiem Wasilukiem, prezesem zarządu firmy Clinmark

Niedoszacowany potencjał



Marek Wasiluk, lekarz, absolwent studiów MBA, prezes zarządu Clinmark, od lat zajmuje się badaniami klinicznymi

medycznego. Do ich przeprowadzenia potrzebne są know-how, doświadczenie, zasoby. A start-upy najczęściej mają pomysł na lek lub wyrób medyczny, opracowania naukowe dotyczące teoretycznego mechanizmu działania produktu, ale nie mają wiedzy, jak go przetestować na zwierzętach i ludziach, aby dane były wiarygodne. A to konieczne, aby można było lek zarejestrować. Jeśli firma ma jeden produkt, to nie opłaca tworzyć od podstaw własnego działu badań klinicznych. Clinmark nie tylko realizuje badania, lecz także pomaga klientom w ich planowaniu, przeprowadza konsultacje z odpowiednimi władzami, nadzoruje jakość

wybrać sobie do współpracy dużą zagraniczną firmę, która przeprowadzi badania kliniczne, ale to z reguły oznacza potworne koszty, na które małe firmy z reguły nie stać. I może też wejść we współpracę z mniejszą firmą, taką jak my, która ma już know-how i zasoby, markę, wiarygodność oraz renomę, a także działa na różnych polach, takich jak doradztwo i audyt. Jesteśmy otwarci na taką współpracę, będąc często partnerem polskich firm biotechnologicznych.

Sama taka firma sobie nie poradzi?

Moim zdaniem nie, bo zupełnie inne myślenie i do-

miesiące może stanowić o byciu pierwszym i potężnym zyskach lub nie.

A przecież co rusz słyszymy o nowych środkach na innowacje: UE, z budżetu państwa. To wsparcie jest niewystarczające?

Były zapowiedzi rządowe, że będzie 500 mln zł na innowacje, ale czy tak się stanie – czas pokaże. Tymczasem już dziś polscy naukowcy mają kreatywne pomysły, są innowacyjni i potrzebują środków na rozwój. W Polsce wsparcie dla biotechnologii nie funkcjonuje dobrze, bo nie ma żadnych klastrów, stowarzyszeń firm biotechnologicznych, nie ma dzielenia się know-how

STEK À LA SOWA

Od zawsze znany jestem z miłości do mięsa. Testuję wszelkie dostępne na rynku rodzaje, smażę, piekę, grilluję. Uważam, że podstawa w kuchni to m.in. znajomość produktu i jego umiejętne wykorzystanie. Często testem dla moich nowych kucharzy jest po prostu usmażenie dobrego steku. Stopień wysmażenia jest tu niezwykle istotny i czasem zdarzają się niespodzianki.

Lubię wołowinę pod każdą postacią, ale przynajmniej raz na dwa tygodnie marzy mi się dobrej jakości stek. To danie, które zadowala wszystkich. Dobra jakość mięsa i nieprzekombinowanie zawsze się obronią. W moich restauracjach coraz częściej sięgają po steki panie – mięso sauté, bez gęstych sosów, panierki to przecież czyste białko pełne składników odżywczych, w dobre dbania o sylwetkę i mody na bycie fit to idealny posiłek. Moim ulubionym dodatkiem do soczystego mięsa jest ostry dip żurawinowy. Lubię mieszać smaki, kombinować, a połączenie słodkiej żurawiny z ostrą papryczką chili jest rewelacyjne. Kieliszek czerwonego wina i może to być propozycja à la Sowa na szybki obiad, kolację czy wizytę gości.

Składniki (dla 4 osób)

- 4 steki wołowe po 200 g

Marynata

- 4 gałązki rozmarynu
- 1 pęczek tymianku
- 2 łyżeczki grubo mielonego czarnego pieprzu

- 2 łyżki oliwy z oliwek
- sól

Dip cebulowo-żurawinowy

- 250 g cebuli
- 1 łyżka oleju
- 1 mała zielona papryczka chili
- odrobina wermutu, np. Noilly Prat
- 100 ml sosu cumberland
- 75 g suszonej żurawiny amerykańskiej
- sól, pieprz

Przygotowanie

Zioła opłukać, grubo posiekać, a następnie wymieszać z pieprzem i oliwą z oliwek. W powstałej marynacie obtoczyć steki, dokładnie wsmarować marynatą w mięso. Steki przykryć i odstawić na noc do lodówki.

Cebulę obrać, grubo posiekać i podsmażyć na rozgrzanym oleju. Papryczkę chili oczyścić, opłukać, drobno pokroić, dodać do cebuli i smażyć przez chwilę. Następnie dolać odrobiny wermutu, sos cumberland i całość wymieszać. Żurawinę grubo posiekać i dodać do mieszanki. Tak przygotowany dip doprawić do smaku odrobiną soli i pieprzu.

Steki wyjąć z marynaty, osuszyć i piec na rozgrzanym grillu węglowym z obu stron przez ok. 5 min. Posolić i podawać z dipem. © *oprac. raw*



Robert Sowa – kucharz, restaurator, autor, juror „Top Chef Polska”



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wegeproblem

Ich napój herbowy: latte z mlekiem sojowym. Poza tym odżywiają się kotletami z fasoli, jarmużem i batatami, na deser bezy z wody po gotowaniu ciociorki. Ha, ha, ha, wariaci. Kto nie nabijał się z wegan (zanim sam nie został weganinem)? Mięsożerca, do czego nawet sam przed sobą niechętnie się przyznaje, może by i rzucił padlinę, bo wie, że to dobre dla ludzkości, dla środowiska. Jednak rozstanie z kielbaską byłoby zbyt przykre.

Niektórzy, nawet

całkiem liczni, zdobywają się jednak na ten bohaterski krok. Przez ostatnie 10 lat liczba wegan wzrosła o 160 proc. Także w Polsce. Na liście Happy Cow, internetowego serwisu wegańskiego, Warszawa zajęła trzecie miejsce na liście 10 najbardziej prowegańskich miast na świecie, wyprzedzona jedynie przez Berlin i Los Angeles. Mamy 38 wegańskich restauracji! Weganizm to już dużo więcej niż odkrycie żywieniowców, to wielka moda, która opanowała Pierwszy Świat. Quinoa, granaty, awokado, fasola są przecież smaczne, zdrowe i wcale nie takie drogie.

Tylko skąd one są? Niestety, nie z pobliskiego gospodarstwa starej Zaguliny. Awokado przyjeżdża z Kenii lub z Meksyku, fasola z Brazylii, żurawiny z USA, jagody goji z Chin. Nie mówiąc o banalnych truskawkach i szparagach z Hiszpanii, bananach

z Hondurasu... Doszło do tego, że kraje eksportujące owoce, warzywa i ziarna, które miejscowa ludność jadła tam od wieków, nagle nie mają ich dosyć dla siebie, bo rzucili się na nie mieszkańcy bogatych krajów. Kenia, największy eksporter awokado, wstrzymała eksport tych owoców.

Meksyk, drugi obok Kenii producent tych żywnościowych, musi je importować, żeby sprostać zapotrzebowaniu prawie 130-milionowego kraju. A przecież w Meksyku od wieków awokado było jednym z podstawowych składników

diety ludzi ubogich. Kilogram kosztował tyle, ile wynosi jeden dzień minimalnej płacy. Jednak rozrost upraw spowodował także deforestację kraju i wysuszenie gleb. W swojej ojczyźnie – Peru – quinoa stała się tak droga, że najbiedniejszych mieszkańców na nią nie stać.

Co zatem robić? Co jeść, żeby pomagać sobie i nie szkodzić środowisku?

Odpowiedź naukowców: jeść lokalne i sezonowe. Tak odżywiali się ludzie przez tysiąclecia. Czy zadowolimy się lokalną marchwią, kapustą, cebulą i wrócimy do tego, żeby pomidorami oraz sałatą cieszyć się tylko w sezonie? A może w tej sytuacji niektórzy zmienią zdanie i pozwolą sobie na kotlecik schabowy ze świnki, którą upasiono obierkami od kartofli u sąsiedniej Zaguliny? Z czystym sumieniem. ©





JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Zapomniany brat króla Jana

Otym, że Jan III Sobieski, pogromca Turków, miał starszego brata, który zginął gwałtowną śmiercią, wiedzą dziś tylko historycy. Był to Marek, urodzony w 1628 r., najstarszy syn Jakuba Sobieskiego i Teofili z Daniłowiczów, starosta krasnostawski i rotmistrz królewski. Uczył się w szkołach w Krakowie, studiował na uniwersytecie, a w 1644 r., w wieku 16 lat, objął starostwo krasnostawskie, które scedował na niego ojciec. W 1647 r. razem z bratem Janem podróżował po Francji, odbywając prywatne studia w Paryżu, zwiedzał hiszpańskie Niderlandy, skąd wrócił na wieść o wybuchu powstania Chmielnickiego. Niemal natychmiast rozpoczął też karierę wojskową. W pierwszym kwartale 1649 r., w wieku niespełna 21 lat, został rotmistrem chorągwi husarskiej liczącej 100 koni, wchodzącej w skład pułku Jeremiego Wiśniowieckiego. Walczył w obronie Zbaraża w 1649 r., a 13 lipca brał udział we wspólniejszej szarży jazdy, która zakończyła się pogromem atakujących Kozaków.

Jego talenty wojskowe były chyba znaczne, skoro już w 1650 r. otrzymał list przypowiadni na kolejną chorągiew – tym razem kozacką. Na czele obu oddziałów wziął udział w marcu 1651 r. w wyprawie hetmana Marcina Kalinowskiego na Kozaka Daniłę Neczaja, który łamał ustalenia pokojowe i próbował opanować Braclawszczyznę. Sobieski złączył się z hetmanem 19 marca i walczył w bitwie pod Winnicą, gdzie oblężonemu Iwanowi Bohunowi przybył na pomoc kozacki pułk Jussyfa Głucha. W powstałej sytuacji wojska koronne wycofały się, tracąc tabory. W krótkim czasie po bitwie Sobieski został dowódcą pułku jazdy, a później – w czasie batalii pod Beresteczkiem – walczył pod komendą hetmana wielkiego koronnego Mikołaja Potockiego.

29 czerwca brał udział w szarży jazdy, która skończyła się odwrotem – siły polskie zostały otoczone przez Tatarów i Kozaków, zginęło jednak wielu znamienitych wojowników, w tym prawdopodobnie Tuhaj-bej, którego szablę zdobył właśnie Marek Sobieski.

Dobrze zapowiadającą się karierę wojskową bohatera przerwała klęska pod Batochem w 1652 r. Doszło do niej, kiedy hetman



FOT. WIKIPEDIA

Marcin Kalinowski zagroził Chmielnickiemu i Tatarom drogę do Mołdawii, zakładając warowny obóz nad Bohem. Niestety, jego fatalny charakter i słabe umiejętności wojskowe doprowadziły do buntu części oddziałów, które nie chciały uderzyć na Kozaków i wycofały się z taboru. W obliczu nieprzyjaciela doszło do bratobójczej walki, a rozwścieczony hetman nakazał piechocie strzelać do jazdy. Podczas tych wydarzeń Sobieski, na ile możemy ufać ocalałym strzępom źródeł, pozostał wierny dowódcy, biorąc udział w walkach z Tatarami na czele swego pułku. Kiedy obóz został otoczony, Kalinowski, który wycofał się w szeregi piechoty cudzoziemskiego autoramentu, powierzył mu obronę jego czoła. Sobieski nie zdołał jednak wypel-

nić zadania – w taborach wybuchł pożar, a kiedy piechota rzuciła się, aby go gasić, Kozacy wpadli przez opuszczone stanowiska.

Marek Sobieski trafił do niewoli. W zwykłych okolicznościach pewnie zachowałby głowę, jednak Batoch skończył się okrutną rzezią jeńców. Chmielnicki, mszcząc się za Beresteczko i wcześniejsze pacyfikacje Ukrainy, nakazał wymordować wziętych do niewoli oficerów i towarzyszy. Jak pisał Krzysztof Korycki: „Dał zaraz Nuradyn sołtanowi 50 000 talarów, Kamieniec mu obiecał poddać, żeby niewolnika wyścinać pozwolił. Po rozgromieniu wojska, w poniedziałek i we wtorek niewolników ścinano. We środę dopiero wyszedł emir, że kto te dwa dni przeżył, niech żyje. Ale już tylko chłopcy mali a białogłowy zostali się, a insi wszyscy poginęli”.

Jak podaje Wawrzyniec Rudawski – Sobieski, Przyjemski i syn hetmana Kalinowskiego zostali doprowadzeni do Chmielnickiego i zabici na jego oczach. Pozostałych jeńców wyprowadzono na majdan i ścinano jak bydło. „Kiedy więźniowie konając, wołali Jezus! – pisał Wespazjan Kochowski – przestraszyli Tatarów, a zatem po gardłach siekali, żeby imienia zbawienego nie wspominali”.

Tak w wieku zaledwie 25 lat zginął starszy brat sławnego Jana, w 1652 r. bardziej znany z wojskowych talentów. Kto wie, może gdyby nie rzeź i klęska, to właśnie on zasiadłby na tronie Rzeczypospolitej zamiast Jana III Sobieskiego? Jego ciało wykupiła matka i pochowała w Żółtkwi, skąd w 1946 r. dominikanie ewakuujący się przed władzą ZSRS przenieśli je i złożyli w swym kościele w Krakowie. Dopiero w 1983 r., w ramach obchodów zwycięstwa nad Turkami pod Wiedniem, pochowano je uroczystość w bazylice Świętej Trójcy. ©©



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Dekady zaniedbań

MARCIN MAKOWSKI: Ponad dwa tygodnie temu rozmawialiśmy o możliwej eskalacji dyplomatycznego konfliktu polsko-izraelskiego. Niestety, nie trzeba było długo czekać, tym razem jako pretekst posłużyła wypowiedź Mateusza Morawieckiego na Forum Bezpieczeństwa w Monachium. Jesteś zaskoczony?

MATTHEW TYRMAND: Nie jestem. W tym przypadku więcej jednak dorabiania drugiego dna niż realnego problemu. Faktycznie premier nieprecyzyjnie dobrał słowo do delikatnego tematu. Mówiąc o odpowiedzialności za zbrodnie podczas II wojny światowej, użył słowa sprawcy (perpetrators), jak rozumiem, chcąc powiedzieć zdrajcy albo kolaboranci (traitors, collaborators). Tak zresztą wynika z późniejszego oświadczenia KPRM. Zgadzam się z tym, co na łamach portalu DoRzeczy.pl napisał na gorąco Łukasz Warzecha – słowa, ich kontekst i świadomość ich użycia za granicą, właśnie w tak newralgicznych sytuacjach, mają ogromną wagę. Nie podoba mi się jednak, że wiele osób nagle ruszyło do ataku na Morawieckiego, który przynajmniej stara się łagodzić ten konflikt. Po raz kolejny przy tej okazji pytam: Gdzie jest minister

Zbigniew Ziobro, którego resort w dużej mierze współtworzył ustawę? Dlaczego nie bierze na swoje barki chociaż części medialnego ciężaru debat i tłumaczenia polskiego stanowiska? Nie mówię o zastępowaniu MSZ, ale wspólne i odważne stanowisko całego rządu byłoby bardziej niż wskazane. Znajomy z amerykańskich służb zagranicznych powiedział mi ostatnio, że on rozumie dyplomację jako sposób przekonania ludzi do swojego punktu widzenia poprzez dyskusję.

I tej dyskusji twoim zdaniem nam brakuje? Wybacz, ale do tanga trzeba dwojga. Izrael niespecjalnie się do niej kwapi.

To jedna strona medalu, druga to fanatyczne zachowanie części polskiej prawicy, która ruszy do walki z całym światem, nawet gdyby miała być w niej osamotniona. Nie pojmuję tego etosu, który na dłuższą metę bez podstaw w realnej sile dyplomatycznej państwa, prowadzi do strat gospodarczych. Spójrz na taką Beatę Mazurek, rzecznik klubu PiS, wicemarszałek Sejmu. Morawiecki zorientował się, że jego słowa zostały odczytane w złym kontekście, i je sprostow-

wał. W tym samym czasie Mazurek pisze na Twitterze, że nie ma za co przepraszać, a wszyscy inni są w błędzie. Czy naprawdę partia nie ma lepszych ludzi do mówienia w swoim imieniu? Takich, którzy zrozumieliby, że w Izraelu trwa teraz okres wyborczy i lokalni politycy tylko czekają na amunicję z Polski. Zgadzam się pod tym względem ze słowami, które niedawno wypowiedział o. Tadeusz Rydzyk. Wszystkim nam przydałyby się trzy dni milczenia, kilka głębokich oddechów i odrobina dystansu. Emocje nie są dobrym doradcą, a premier powinien otrzymać od swojego środowiska znacznie więcej wsparcia.

Dużo mówisz o tym, co powinna zrobić Polska, to ja odbiję piłeczkę. W całej tej dyskusji nie ma za grosz symetrii. Nasz kraj jest na każdym kroku kłamliwie pomawiany przez zagraniczne media. Mamy się temu przyglądać? Niedawno na Breitbart Jerusalem tekst o „strachu polskich Żydów przed antysemityzmem” zilustrowano zdewastowanym cmentarzem żydowskim we Francji. Zdjęcie pochodziło z 2004 r.

Widziałem ten tekst przekopowany z Associated Press i jestem zażenowany ich ignorancją. Zgadzam się, że debata na temat obecnej sytuacji w Polsce jest mało symetryczna, na Zachodzie właściwie nie ma polskiego punktu widzenia. Opowiadał o tym niedawno również Morawiecki, pokazując, że od czasu wojny, przez komuny do Okrągłego Stołu, Warszawa nie miała możliwości stworzenia prawdziwej polityki historycznej. W tym samym czasie Niemcy mogły płacić Izraelowi i działać na polu, które było przez inne kraje niezagospodarowane. W latach 90. postkomunistom nawet nie śniła się walka o wizerunek Polski, bo byli zbyt zajęci jej okradaniem. Teraz dekady zaniedbań się mszczą. ©©

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

105

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE





KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Lex Waluś

ARKADIUSZ MYRCHA: Bum! Stowarzyszenie Duma i Nowoczesność za zgodą MSWiA przeprowadza zbiórkę pieniędzy dla rasisty – zabójcy czarnoskórego działacza politycznego, Janusza Walusia, odsiadującego wyrok w RPA. Co na to Joachim Brudziński?

Takim tweetem posła PO opozycja i sprzyjający jej komentatorzy nakręcili miesiąc temu regularną nagonkę na Joachima Brudzińskiego za coś, co akurat było poza jego kontrolą, bo w 2014 r. rząd Platformy – i chwala mu za to – zliberalizował ustawę o zbiórkach publicznych, znosząc

i Nowoczesność zbiera na „zakup leków i jedzenia w więziennej kantine”, a taki cel jest i zgodny z prawem, i mieści się w sferze pożytku publicznego, jako pomoc społeczna dla osób w trudnej sytuacji, więc minister Brudziński nie miał żadnej możliwości ani zakazania zbiórki, ani jej zamknięcia, bez względu na to, co sądzą o samym Walusiu i o stowarzyszeniu Duma i Nowoczesność. Można się zżymać, że narodowcy zamiast na chore dzieci zbierają na chorego Walusia, ale takie ich prawo. Środowisko pozarządowe przez lata walczyło o pozbawienie władzy możliwości decydowania o tym, na jakie cele obywatele mogą wydawać własne pieniądze. Jedni zbierają na stypendium dla alimenciarza i oszusta, inni na leki i jedzenie dla więźnia, a państwu nic do tego. I komu to przeszkadzało?

Szkoda, że minister Brudziński dał się zaszczyć i z powodu jednego przypadku, na dodatek ordynarnie zmanipulowanego przez opozycję, zmienia dobre przepisy, przyznając sobie prawo zakazania zbiórki, której cel „byłby sprzeczny z zasadami współżycia społecznego lub naruszał ważny interes publiczny”. Taki zapis worek pozwoli władzy – tej i każdej kolejnej – zakazać

praktycznie po uważaniu zbiórki na niepodobający się jej cel, bo to minister jednoosobowo będzie decydował, co jest „sprzeczne z zasadami współżycia społecznego lub narusza ważny interes publiczny”.

Gdyby dzisiaj obowiązywały proponowane przez rząd przepisy, Brudziński mógłby zakazać zbiórki na leki dla Walusia, ale mógłby też zakazać zbiórki na stypendium dla Kijowskiego, na pomoc prawną dla Obywateli RP blokujących miesięcznice, na filmowy projekt Sekielskiego dokumentujący pedofilię wśród księży, na inicjatywę wspierającą uchodźców – proponowany zapis jest bowiem tak nieprecyzyjny, że da się nim uzasadnić wszystko. A minister będzie miał prawo nie tylko zakazać zbiórki dopiero planowanej, lecz także zamknąć zbiórkę już trwającą, nakazując przekazanie zebranych w niej środków na zupełnie inny cel, co trudno traktować inaczej niż po prostu jako okradanie ofiarodawców.

Opozycja awanturowała się o zakazanie zbiórki na Walusia, więc dostała „Lex Waluś”. Zbiórki na leki dla Walusia nowelizacja co prawda nie zdąży już objąć, ale będzie jak znalazł na inne zbiórki, które się władzy nie spodobały. Tego chcieliście, Grzegorz Dyndały? ©©

Jedni zbierają na stypendium dla alimenciarza i oszusta, inni na leki dla więźnia, a państwu nic do tego

konieczność uzyskiwania pozwolenia na nie od władzy. Dzisiaj, jeśli cel zbiórki jest zgodny z prawem i mieści się w sferze zadań publicznych, rola ministra ogranicza się do wpisania zbiórki na rządowy portal.

Gdyby opozycja pofatygowała się przeczytać coś więcej poza tytułem zbiórki „dla Walusia”, wiedziałaby, że niesławne stowarzyszenie Duma

PODSŁUCHANE

Pomyłka

Ryszard, mnie się zdaje, żeś jednak trochę przeholował z tym Kukizem. Że niby oni nas wrobili w tę ustawę. Ja wszystko rozumiem, ale to zabrzmiało, jakbyśmy nie wiedzieli, co robimy. Jarku, ale przecież musiałem coś powiedzieć. Zwłaszcza wobec tego bagna, w któreśmy się wpakowali.

„Coś” nie znaczy, że akurat to. Poza tym ja to wszystko

jakoś jakby inaczej pamiętam. Czyli że jak?

Owszem, kukizy tam nas młotkowali w sprawie tych banderowców, niech im już tam będzie, ale ja sobie przypominam naszą rozmowę w sprawie tych analiz, co to z emeszetu przyszły w sprawie ustawy. Naprawdę? Ja nic nie pamiętam...

Bo ty mówiasz, Rysiu, zaskakująco słabą pamięć. A ja tu... o proszę, ja tu nawet sobie zapisałem. I cytuję, uwaga: „Nie słuchaj, Jarku, tego

durnia Waszczykowskiego, bo on się wszystkiego boi, robimy tę ustawę i nikt nam nie podskoczy”, koniec cytatu.

Nie, niemożliwe, to na pewno pomyłka. No, może faktycznie takie spotkanie było, ale moim zdaniem to nie ja mówiłem, tylko Zbyszek.

Tak mówisz? No dobrze... Halo, pani Basiu, proszę przynieść taśmę z tego spotkania, co to pani mówiłem, zanim Ryszard przyszedł. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Ja nie chcę, żeby Jarosław Kaczyński ze swoim kotem urządzali mi życie”.

ROBERT BIEDROŃ, prezydent Słupska, w Radiu Zet



fol. Jerzy Gumowski

Rasizm

Strasznie było dużo na świecie krzyku o „polskim rasizmie”, gdy grupa skrajnych „narodowców” poniosła teksty z „czystą krwią” i „białą Europą” w Marszu Niepodległości 11 listopada. To miał być rasizm antykolorowy (antymurzyński, antymuzułmański, etc.) Tymczasem świat jest pełen rasizmu antybiałego, którego żaden politpoprawny bojownik „antyrasizmu” nie kontestuje, panuje w tej kwestii cisza jak Macronem zasiał, nawet prawdziwie przyzwoici ludzie nie otwierają ust, przytłoczeni terrorem ze strony Salonu. Rasizm stosowany wobec „białosów” jest dla świata „spoko”, „cool”, „git”.

Ten kontrbiały rasizm coraz częściej przybiera formy administracyjne, prawne, urzędowe. Ostatni (zeszłoroczny) nabór stażowy rozgłosił BBC regulaminowo wykluczał zgłaszanie się białych kandydatów. Władze Uniwersytetu Sztokholmskiego postanowiły (2015) usunąć ze ścian uczelni wszystkie portrety zasłużonych dla niej naukowców, motywując decyzję faktem, że „przedstawiają one białych profesorów”. Zamiast nich na ścianach wydziału prawa pojawiły się symbole LGBTQ (tęczowy łos itp.). Analogiczne ekscesy mnożą się w Beneluksie, we Włoszech i w Hiszpanii (szerzony przez barcelońskich lewaków nacjonalizm kataloński bazuje m.in. na teorii „rasy katalońskiej”, pono różnej od hiszpańskiej), ale przoduje postowieceniowa Francja (tuż za nią Dania i Holandia pchają się na medalowe pudło rasistowskich „antyrasistów”). Bałkany i Europa Wschodnia są jeszcze od tej dewiacji wolne.

Wszystkich francuskich przejawów „walki z rasizmem” (kontrbiałym, rzecz prosta), czyli wszystkich tamtejszych afer, skandali, hucp oraz przekrętów, których motywem i motorem jest kliniczny rasizm — nie sposób przytoczyć felietonowo, miejsca za mało. Forsowna islamizacja całej francuskiej przestrzeni publicznej (kulturowej, politycznej, itd.) powoduje, że każda wypowiedź na rzecz białych obywateli (przy szczególnym uwzględnieniu obywateli wyznania katolickiego, jak również tych pochodzenia żydowskiego) spotyka się z głośnymi oskarżeniami o „propagowanie biologicznego rasizmu”, a nawet z wytoczeniem sprawy sądowej (tego doświadczyli m.in. znany pisarz i filozof Pascal Bruckner, tudzież znany historyk George Bensoussan). Agnieszka Kolałowska: „Cały dyskurs Macrona jest lewicowym myśleniem oczu (...) Widać u niego skłonność do knebnowania i oskarżania o rasizm każdego, kto ośmieli się napomknąć o francuskiej kulturze, tradycjach czy wartościach” (2017). Tradycyjne wartości ulega-

ją gnojeniu, nawet te fundamentalne laickie, jak flaga (deptana na ulicy), hymn (wygwizdywany na stadionie) czy sama Republika. Czarnoskóra (Gabon), nosząca się po afrykańsku francuska deputowana (z ramienia partii France Insoumise) Daniela Obono, publicznie broniła piosenki „Nique la France” („Pierdolić Francję”) wykonywanej przez francuski raperski zespół ZEP (Strefa Ludowej Ekspresji). Ludowa ekspresja zbyt dużej części Francuzów jest wciąż zbyt niepolitpoprawna biało: podczas procesu wytoczonego wielkiej firmie kosmetycznej L’Oreal za samą chęć prezentowania w reklamach szamponu Fructis Style głównie modelek białoskórych (duża grzywna), wyszło przy okazji na jaw (sondaż), że francuskie klientki znacznie chętniej kupują produkty sprzedawane przez biały (a nie kolorowy) personel. Pas bien!

Po drugiej stronie Atlantyku kraje Łacińskiej Ameryki mają inne problemy (kartele, fawele, burdele, menele marksistowskie u władzy, etc.) — biali („gringos”) raczej nie należą do tych kłopotów. Co innego Stany Zjednoczone, amerykański lider (choć Kanada zaciekle goni) narracji politpoprawnej, dezawuuującej „białosów”. Janke-

∞
Cesarz Napoleon: „Rasizm jest obłędem i łajdactwem”
∞

bie metkę „liberalów”, oraz czarnoskórzy „bracia”, ze wszech sił, „współ w zespół”, robią co mogą dla postawienia białej rasy do kąta, a ci radykalniejsi chcą posłania jej ciupasem do grobu. Przykładowo: głośny Amiri Baraka, czarny muzułmanin z Rutgers University, do śmierci (2014) żądał „wyzwolenia czarnego ludu metodą wybić białej rasy”, vulgo: metodą ludobójstwa. Układał też poematy pełne takich fraz: „Weź pod ścianę białego i rozwal sukinyśna, rozwalmy ich wszystkich!”, „Połączmy się, przyjaciele, by ich mordować!”, „Spalmy wszystko co tylko należy do białosów!”, „Zgwałć białe dziewczuchy, zgwałć ich ojców, poderżnij białosom gardła!”. Salon miał pewien kłopot z Baraką, bo ten był (jak większość Murzynów) wściekłym antysemitą, piętnującym czołowe amerykańskie gazety („New York Times”, „Washington Post”, „Wall Street Journal”), że są żydowskie, ponieważ Żydami są ich właściciele, wydawcy oraz redaktorzy naczelni, i piszącym m.in. tak: „Czuję bluesa do eksterminacji żydów, syndrom Adolfa Hitlera mocno tkwi we mnie”. To nie przeszkadzało wyższym uczelniom (np. Columbia University) fetować Barakę oraz podobnych mu czarnoskórych ekstremistów rasowych, jak chociażby Louis Farrakhan, też wielbiciel Hitlera nienawidzący Żydów i wielkich białych twór-

ców (muzykę Bacha, Beethovena i Mozarta uznał za „gówno”). Tych swoich „czarnych braci”, którzy nie odrzucają kultury europejskiej, zwie „zdrajcami rasy”. Nottabene: tytuł „Zdrajca rasy” nosiło jeszcze niedawno pismo wydawane na Uniwersytecie Harvarda, postulujące m.in. „zniszczenie białej rasy”.

„Biała rasa” amerykańska znajduje się pod pręgierzem zwłaszcza w sferach edukacji i kultury. Tę pierwszą opresję determinuje z jednej strony nabór studentów (czyli tzw. „akcja afirmacyjna”, dająca Murzynom ogromne ułatwienia i preferencje, będące „pozytywną dyskryminacją białych” zaakceptowaną przez Sąd Najwyższy USA), a z drugiej nabór wykładowców (exemplum symboliczny wręcz przypadek prof. Warda Churchilla nieposiadającego żadnych kwalifikacji, ale zaangażowanego przez University of Colorado, bo napisał w podaniu, że jest „lewicowcem z plemienia Czirokezów”). Znana pedagog Diane Ravitch ujawniła swoją rozprawą o nader restrykcyjnej cenzurze edukacyjnej („The Language Police: How Pressure Groups Restrict What Students Learn”, 2003), że aprobowaną przez władze tendencją jest minimalizowanie osiągnięć białych i uwypuklanie osiągnięć czarnych gwoili eliminowania „zdolizmu”, czyli — jak to ujął okólnik Northampton Smith College — „panującego niegdyś ciemienia odmiennie uzdolnionych przez chwilowo uzdolnionych” (sic!).

„Chwilowo uzdolnieni” biali — nawet ci sławni globalnie — dostają też ciężkie ciosy w sferze kultury (głównie literatury i filmu). Fenomenalne „Przygody Hucka” Marka Twaina (zwane przez Hemingwaya „matką całej współczesnej amerykańskiej literatury”) wyleciały z listy lektur szkolnych już dawno temu, gdyż czarny literaturoznawca John Wallace uznał je (1996) za „rasistowski śmieć”, twierdząc, że każdego belfra, który je poleca, „trzeba wywalić ze szkoły na zbity pysk jako rasistę”. Skreślono również innych wielkich twórców (Emerson, Hawthorne, Melville, Faulkner), „wypromowanych niegdyś przez spisek białych krytyków”. Na indeksie znalazły się także wielkie „rasistowskie” dzieła filmowe, nie tylko „Przełomienie z wiatrem”, lecz i propagandowo antyrasistowski „Zabić drozda”, któremu mimo to zarzucono „zinstytucjonalizowanie rasizmu”!

Dla każdego przyzwoitego człowieka zinstytucjonalizowany rasizm to mord na Polaku Janie Pawle Pietrzaku (2008), sierżancie US Marines, dokonany przez czterech czarnoskórych jego kolegów z wojska (wielbicieli prezydenta Obamy i „braci flekujących białosów”), bo ośmielił się poślubić Murzynkę, Quianę Jenkins.

Kończy mi się miejsce, więc jeszcze tylko pytanie: czy talmudyczna (w „Talmudzie” zapisana) nienawiść starozakonnych wobec „gojów”, i permanentna wszechżydowska złość na Polaków — to rasizm, czy może coś innego?... ☹☹

Waldemar Łysiak



WOLNOŚĆ PAMIĘĆ

TROPEM WILCZYM.PL

BIEG PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH



4 MARCA w Twoim mieście!

NAJWIĘKSZY BIEG PAMIĘCI NA ŚWIECIE



eprasa.pl 93d7036a9c